

Wiedza dla wszystkich



ROSNA GENIUSZE

J. FELICZE

# Rosną geniusze

Przekład Joanny Barbanel

Z serii:

„WIEDZA DLA WSZYSTKICH“

1                      9                      3                      7

---

---

Wydawnictwo „M I N E R W A“, Warszawa

W. Karalun



1544217

SPIS RZECZY:

	Str.
<i>Dante Alighieri</i>	7
<i>Leonardo da Vinci</i>	37
<i>Michał Anioł Buonarroti</i>	71
<i>Rafael Sancio</i>	95
<i>Miguel Cervantes</i>	113
<i>Isaac Newton</i>	133
<i>Ludwik van Beethoven</i>	157
<i>Hans Krystian Andersen</i>	173
<i>Tomasz Alva Edison</i>	197

ok 12  
Druk. P. Brzeziński, tel. 11.72-95.

K-173/84

**Dante Alighieri**



Folko Portinari spojrział w okno, za którym na zalanej słońcem ogrodowej murawie bawiły się dzieci.

— Proszę spojrzeć, messer Alighieri, jak dowodzą! — rzekł. — Ale nie widzę wśród nich pańskiego Dantino.

— Po cóż zajmuje się pan dziećmi, sąsiedzie — odrzekł gospodarz messer Alighieri. — Mój Dantino ukrył się pewnie gdzieś za drzewem przed towarzyszami. Dzieci lubią bawić się w chowanego.

Folko dolał wina do kielicha gościa, gawędząc z nim dalej, podczas gdy dwaj inni goście siedzący za stołem rozprawiali półgłosem o słuszności wyroku zapadłego w pewnej sprawie sądowej.

— Jaki pan szczęśliwy! — mówił Folko z westchnieniem. — Żona pana, monna Lapa, nie potrafiłaby skrzywdzić nawet największego wroga. A ja boję się ożenić. Czyż można poznać serce dziewczyny? Nasze florenckie modnisie mają malowane policzki, sztuczne zęby i włosy, a zdaje się, że dusze ich kła-

nią tak samo, jak powierzchowność. Czyż można znaleźć wśród nich taką istotę, jak moja nieboszczka żona?

Folko znów westchnął głęboko i mówił z wzrokiem utkwionym w okno:

— Ot teraz: wszystkie dzieci bawią się, a moja Beatrice chodzi wśród nich poważna, jak dorosły człowiek uśmiechając się serdecznie do wszystkich. Na inną dzieci gniewałyby się, nazywałyby ją ślamazarą, a jej — nigdy. Biedactwo! Jest bardzo słabowite. Wystarczy trochę żywszego ruchu lub najmniejsze podniecenie, a już blednie jak płótno i serce zaczyna jej tłuc, jakby miało pęknąć. To anioł, nie dziewczynka — mówił dalej Portinari wzruszony. — Zupełnie niepodobny do niej jest mój syn — chłopak jak inni. Gdy Beatrice uśmiecha się, wydaje mi się, że słońce świeci jaśniej, a kwiaty mocniej pachną. Bice! Bice!

Głos Folka brzmiał przedziwnie miękko. Beatrice usłyszała go i przybiegła z ogrodu.

W swojej odświętnej czerwonej sukience, w szarfie ze złotego brokatu, w której lśnił rubin, wyglądała rzeczywiście bardziej na anioła, niż na ośmioletnią córkę zwykłego śmiertelnika Folka Portinari. Na przejrzystych skroniach dziewczynki rysowały się błękitne, delikatne żyłki, złote, jedwabiste kędziory opadały na ramiona. Na ustach jej igrał serdeczny uśmiech, ale błękitne oczy patrzyły ze smutkiem, w którym nie było nic dziecięcego. Ojciec przytulił ją do siebie i całując mówił wzruszony:

— Oto ona, messer Alighieri, moja maleńka Bice! Proszę, spójrz pan na nią. Czyż odważę się

kiedyś dać temu delikatnemu stworzeniu macochę, która może zamiast ciepła wniesie w mój dom kłótnie i swary? Niech już raczej moja dziewczynka zostanie pod opieką owidowiałego ojca i niech ją Bóg błogosławi! On zesłał mi ją na pociechę. Idź, Bice, baw się w ogrodzie, dziecinko.

Tymczasem zebrane w ogrodzie Portinari dzieci zdążyły się już pobić. Dnia tego obchodzono we Florencji „Maggi“ — święto maja. Wszystkie ulice miasta umajone były gałęzmi głogu. Wczesnym rankiem służebna ubrała głogiem cały ogród i dom Portinari. Gdziekolwiek tylko spod wesołej zieleni wyglądały błyszczące ozdoby barwnego dachu.

Chwyciwszy drzewko głogu przystrojone kolorowymi wstążkami dzieci biły się zawzięcie. Każde z nich chciało kroczyć na czele procesji majowej z pięknym drzewkiem w ręku.

Dziewięcioletni Dante Alighieri, nie przywykły w domu do kłótni, patrzył oburzony na tę zwadę, której nie dostrzegli dorośli zajęci rozmową. Gdy między drzewami mignęła czerwona sukienka Beatrice, przygotował się, by zwalić z nóg każdego, kto dotknie dziewczynki choćby palcem. Zaledwie jednak z ust Beatrice wyrwał się lekki okrzyk oburzenia, burza ucichła i dzieci zaczęły odwracać się od siebie z zakłopotanymi minami. Było im wstyd przed małą gosposią. Folko Portinari mógłby teraz na przykładzie pokazać swemu gościowi, jaki wpływ wywiera jego córka na rówieśników. Drzewko leżało na posypanej żwirem ścieżce, wiatr igrał beztrudno barwnymi wstążeczkami. Bice podniosła je ostrożnie i otrząsnęła z ziemi. Z różnobarwnym drzewkiem w ręku, w aure-

oli złotych włosów dziewczynka była tak czarująca, że jakieś dziecko zawołało:

— Niech ona będzie naszą Maggi!

— Maggi, Maggi! Królowa święta! Królowa kwiatów! Królowa wiosny! — zahuczało dokoła. — Pice-Maggi! Bice!

Twarz dziewczynki rozbłysła znów w uśmiechu. Brat jej, jeden z najczynniejszych przed chwilą zabijaków, owinał ją girlandą kwiatów, które dzieci w wielkiej obfitości porozwieszały rankiem na drzewach. Zewsząd wyciągnęły się ku Beatrice ręce i po chwili na purpurowej szacie „królowej“ zagrała tęcza różnobarwnego kwiecica, a złocistą główkę otoczył wianek z puszystych, wonnych kwiatów białego klematis.

Podczas gdy dzieci stroiły swą królową, mały Dante nie poruszył się. Oparty o pień cyprysu stał i patrzył na dziewczynkę wzrokiem zastygłym z zachwytu. Była tak piękna, że nie śmiał zbliżyć się do niej. Lękał się dotknąć rąbka jej sukienki. Wydawała mu się święta.

Dziś po raz pierwszy ojciec przyprowadził Dantego do willi Portinari. Dziś po raz pierwszy ujrzał Dante Beatrice. Ująwszy się za ręce dzieci krążyły dokoła niej wesołym korowodem, a ona stała pośród nich nieruchoma jak posązek.

Od mocnej woni kwiatów kręciło się Dantemu w głowie. Nie czuł nawet, że po opalonych policzkach spływają mu łzy zachwytu... Był to zachwyt artysty wpatzonego w przedziwne dzieło sztuki, zachwyt człowieka, który zatopiwszy się w modlitwie czuje bliskość Bóstwa. Wydało się Dantemu, że to

nie córka Folka Portinari stoi wśród dzieci, że to anioł spłynął z srebrzystego obłoku i lada mgnienie uniesie się znów w górę, utonie w świetlistym błękitcie...

Cudne zjawisko nie zniknęło jednak. Królewski orszak zbliżał się ku cyprysowej alei. Nieśmiało, cicho usmiechnęła się Beatrice do Dantego i podała mu purpurową lilię. Chłopcu wydało się, że lilia w jego ręku zaśniła jak rubin w szarfie królowej maja...

Głosy dziecięce śpiewające słodką wiosenną pieśń brzmiały niby chóry anielskie. — Maggi! Maggi! — Głosy cichły. Barwne szaty migotały wśród ciemnych gałęzi cyprysów coraz dalej, coraz dalej... Czerwony kwiat lśnił w dłoni Dantego jak rubin w szarfie Beatrice...

Niepostrzeżenie zapadł zmierzch. Szyby okien zapłonęły w promieniach zachodzącego słońca. Cienie stawały się coraz dłuższe. Od rzeki powiało chłodem. Dzieci zaczęły rozchodzić się do domów.

Folko Portinari odprowadzał gości do ogrodowej furtki.

— Moje uszanowanie, wielce dostojny messer Folko — rozlegały się wyszukane, uprzejme słowa pożegnania.

— Sługa uniżony, doktorze Guido, daj Boże szczęśliwej drogi! Uszanowanie, czcigodny, najdroższy messer Giacono! Niechaj święty Giovanni, patron naszego miasta, ma pana w swej opiece przez całą drogę!

W tak uroczysty sposób żegnał Folko Portinari swych gości, błogosławiąc ich na drogę do najbliższej dzielnicy. Ojca Dantego prosił jednak, by został.

— Beatrice wyjdzie wkrótce do kościoła, mój urwis pobiegnie z pewnością na rynek przyglądać się komediantom. Zostanę sam. Proszę, niech pan spożyje ze mną wieczerzę. Smutno mi samemu...

W powietrzu rozkołysał się dźwięk dzwonów z kościoła San Giovanni. Folko skarżył się znów przed gościem na swój los. Przykucnąwszy obok ojca Dante patrzył smutno w okno, za którym dogasał dzień. Dzwony były cicho na Anioł Pański. W oddali dzwyczały srebrzyste dzwoneczki wracających z pastwiska kóz. Brzęczenie ich zlewało się miękko z muzyką kościelnych dzwonów.

Beatrice w towarzystwie służebnej udała się do kościoła; w ręku miała modlitewnik w perłowej oprawie, zamknięty na srebrne klamry. Powietrze było czyste i przejrzyste.

Z kwiatów willi Portinari unosiła się woń coraz mocniejsza. W oddali słyhać było skrzypienie wrót i cichy kobiecy śmiech. A skroś tę drżącą ciszę płynęły z otwartych podwojów kościoła akordy organów i fala dźwięcznych głosów:

— Ave Maria...

Folko częstował ojca Dantego ostrym sosem rybnym, dolewał mu wina i mówił:

— Oboje z żoną pragnęliśmy dziewczynki. Jakże cieszyliśmy się, gdy podczas chrzcin ksiądz włożył do urny biały groch zamiast czarnego, na znak, że Florencji przybyła jeszcze jedna dziewczynka! Pij pan, pij pan, messer Alighieri, to najlepsze wina-falankino i vernacio. Schowałem parę butelek dla najlepszych przyjaciół. Przyjemnie przy kubku wina wspomnieć z przyjacielem przeszłość... Proszę, messer Alighieri,

niech mi pan opowie, jak ułożyło się panu życie po bitwie pod Monteaperti.

Wino rozwiązało język messer Alighieri, który zatonął we wspomnieniach.

— Po wygnaniu, messer Folko, gdy pan znalazł schronienie w wiernej Sienie, tułałem się po rozmaitych miastach włoskich w poszukiwaniu schronienia i pracy, ale nigdzie nie znajdowałem. Po trochu wyprzedawłem wszystkie swoje rzeczy i skromny posąg zony mojej Belli, wszystko do ostatniego naszyjnika. Bella miała właśnie zostać matką. Cóż mogłem dać w przyszłości jej i dziecku? Nie miałem sam gdzie złożyć głowy. Potomek sławnego rycerza Kacciagvido, uczestnika wypraw krzyżowych, Kacciagvido, którego prochy spoczywają w Ziemi Świętej — nie mogłem przecież wziąć się do ordynarnej pracy kamieniarza lub szewca! Szukałem wszędzie zajęcia dla swego oręża, nie udało mi się jednak urządzić przy żadnym z włoskich władców. Zrujnowałem się zupełnie. Gdy z posagu Belli nic już nie zostało, wyjechała na moją prośbę do Florencji, do krewnych. Wtedy właśnie urodził się Durante, mój pierworodny, którego nazywamy po prostu Dante, Dantino... Dwa lata po jego urodzeniu, w roku 1267, pozwolono mi wraz z innymi wygnańcami wrócić do Florencji. Zostałem Bellę umierającą... Zostałem z dzieckiem, dla niego ożeniłem się z Lapa. Nie żałuję tego kroku, sąsiedzie, dalibóg nie żałuję!

Folko uderzył pięścią w stół i mówił podniecony:

— Wspaniałe były kiedyś czasy, sąsiedzie! Nie te, co teraz! I młodzież nie jest dziś taka, jak za naszych czasów! Pamięta pan bitwę pod Monteaperti?



Straszna była, okrutna! Ile lat minęło już od niej? Szczęść lat po bitwie przyszła na świat moja Bice!

— A pięć lat po niej — mój Dantino! Pamiętasz, sąsiedzie — zaczął Alighieri, w zapale przechodząc na „ty“ — szliśmy nieustannie prosto na wroga... Była to bitwa rozstrzygająca o losie Florencji. Myśleliśmy, że uda nam się rozbić armię wściekłego Farinato del Uberti i uwolnić na zawsze rodzinne miasto od przeklętych gibellinów...

— Ten Farinato — podjął Folko — miał język ostry, jak brzytwa. Czasem jednak — gdy chciał zdobyć zwolenników — płynęły z jego ust słowa słodkie jak miód. Dzięki niemu partia gibellinów wciąż wzrastała na sile i...

— Głupstwo! — przerwał pogardliwie zapalczywy Alighieri. — To był zwyczajny gaduła, ten Farinato — przecież i nam nie brak mówców.

— A jednak, gdyby nie Farinato, sąsiedzie, gibellini nie uzyskaliby nigdy pomocy króla Manfredi. Tylko dzięki niemu gibellini odnieśli zwycięstwo nad nami. Zamienił on króliki na lwy.

Alighieri obrócił się całym ciałem do Folka i krzyknął prawie:

— Nie jesteś gwelfem, nie jesteś gwelfem, jeżeli tak mówisz! Przypomnij sobie, dlaczego wygrali bitwę: jeden z naszych — niech imię jego będzie przekłętą na wieki, Banco del Abati — zdradził nas... Przekradł się tyłami do chorążego i odciął mu rękę... Pamiętam dobrze, jak zachwiały się drzewce i jedwabna tkanina wzbijała się w górę. Wtedy wraz z innymi poczułem, że już po nas i ogarnęło mnie przeraże-

nie. Pamiętasz naszą ucieczkę? Pamiętasz, jak wróg gonił nas, a myśmy pędzili w popłochu?

Głowa opadła mówiącemu na piersi. — Dziesięć tysięcy gwelfów zostało na polu bitwy — szepnął z goryczą Folko.

Pełnym powagi wzrokiem przyglądał się Dante przyjaciółom pogrążonym we wspomnieniach. Myślał o czymś z natężeniem. Nagle zapytał:

— Ojczy, a czy gibellini to źli ludzie?

Pytanie było zbyt proste. Alighieri zwrócił ku chłopcu zaczerwienioną twarz, spojrział zdziwiony i nagle zawołał nieprzytomny z gniewu:

— Twój ojciec jest gwelfem, wszyscy nasi krewni są gwelfami, wszyscy nasi przyjaciele — gwelfami, ty także jesteś gwelfem! Jakże śmiesz wątpić, że gibellini to źli ludzie?

Gniewne te słowa nie stanowiły żadnej odpowiedzi dla badawczego umysłu chłopca, nie wyjaśniły mu wcale, na czym polega nikczemność gibellinów. Zamilkł. Skulony nieśmiało w wielkim fotelu, wyglądał w swym błękitnym ubraniu jak nieruchomy, błękitny kłębuszek.

Beatrice dawno już wróciła z kościoła, służebna dawno już wniosła do komnaty zapalone świece, a messer Folko i messer Alighieri wspominali wciąż jeszcze swoje wyprawy wojenne.

We wszystkich miastach włoskich walczyły ze sobą zacięcie dwa stronnictwa: gwelfów i gibellinów. Gwelfowie byli zwolennikami władzy papieskiej, gibellini — cesarskiej. Co pewien czas gwelfowie brali górę nad gibellinami i skazywali ich na wygnanie. Po powrocie do rodzinnego miasta gibellini wypędzali

gwelfów, ci ostatni usiłowali znów obalić władzę przeciwnika i znów wszystko zaczynało się od nowa.

Początek tych stronnictw sięga XIII wieku. Młody florentyjczyk, signor Buon del Monti, zerwał ze swą narzeczoną pochodzącą ze znakomitego rodu Amidei, pokochawszy inną damę, i został za to zabity przez krewnych narzeczonej. Sprawa ta wzburzyła całą Florencję, która podzieliła się na dwa obozy: stronnictwo rodziny Buon del Monti i stronnictwo rodziny Amidei. Barwy walczących rodów zbroczyły krwią całe Włochy. W ten sposób z prywatnej zwady powstała wojna domowa. Jedno stronnictwo walczyło pod hasłem wierności dla papieża i przybrało nazwę gwelfów; drugie głosiło hasło wierności dla cesarza i przybrało nazwę gibellinów. W gruncie rzeczy i jednych, i drugich bardzo mało interesowała walka papieżstwa z cesarstwem. Większość gwelfów i gibellinów szła śladami ojców, którzy byli gwelfami lub gibellinami.

Włochy ówczesne uległy rozbiciu na mnóstwo drobnych, oddzielnych państewek. Papież i cesarz po prostu rozrywali kraj na strzępy. W 800 roku papież uwieńczył króla frankońskiego Karola Wielkiego koroną cesarską i ogłosił go „wielkim cesarzem rzymskim, pomazańcem Bożym“. W ten sposób papież jakby uzyskał prawo rozporządzania władzą świecką według swej woli.

Przy pomocy wojsk królewskich gibellini odnieśli w r. 1260 pod Monteperti wspaniałe zwycięstwo nad gwelfami, których wygnali z Florencji. Messer Alighieri, ojciec Dantego, znalazł się wśród wygnańców.

By całkowicie wytępić gwelfów, gibellini zamie-

rzali zniszczyć zupełnie Florencję, której mieszkańcy zbyt często wszczynali z nimi walkę. W obronie swego ojczystego miasta stanął jednak gorąco Farinato i Florencja ocalała.

Po zwycięstwie odniesionym nad gibellinami pod Benevente, wygnani gwelfowie otrzymali pozwolenie na powrót do Florencji. Messer Alighieri zwrócono skonfiskowany majątek. Żonę zastał na łożu śmierci. Został sam z małym dzieckiem, które nie umiało jeszcze chodzić. Ulegając namowom przyjaciół, którzy uważali, że powinien się ożenić, aby dziecko miało należyłą opiekę, pojął Alighieri za żonę młodszą signorę Lapa z bogatego rodu Cialuffi. Tak wyglądała sytuacja rodzinna messer Alighieri na początku naszego opowiadania.

Ogród Portinari spowił już dawno miękki mrok; przejrzysta mgła zatarła surowe kontury cyprysów; dawno już Beatrice pogrążona w słodkim śnie spoczywała w swoim pokoiku. W pucharach przyjaciół złocono się jeszcze wciąż falankino. Z otwartego okna płynął świeży powiew, liście w ogrodzie szeleściły delikatnie, jakby w zamyszeniu. Wraz z przejrzystym, chłodnym mrokiem wkradło się do komnaty tajemnicze, słodkie znużenie.

— W taką noc — rzekł przesądny Folko — duch Astarot chodzi po domach darząc szczęściem i miłością tych, którzy oddają mu cześć.

Alighieri wstał. Nagle ciemność nocy przecięła oslepiająca rakieta. Widać było, jak gdzieś w pobliżu wzbiła się w górę, popłynęła zataczając łuk na niebie i utonąła w mroku. Za ścianą słychać było kroki.



Ktoś grał na lutni, ktoś śmiał się cicho. Mocna woń mięty, róż i lawendy napełniała powietrze.

— Czas na nas, Dantino— rzekł messer Alighieri. — Chodź, mały. Nie, niech mię pan nie zatrzymuje już, sąsiedzie. Najwyższy czas. Żona czeka już dawno.

Było już późno, gdy messer Alighieri z synem opuszczał willę Portinari. Błękitna noc zawisła tajemniczo nad Florencją. Radosny do niedawna ogród wyglądał jak zmartwiały w srebrzystym świetle księżycy, a szelest starych drzew brzmiał jak łkanie. Lilia Beatrice zwiędła w ręku chłopca: z jej płomiennej korony został tylko nędzny strzępek.

## II

Ostatnie blaski słońca zgasły. Ciemność nie przyniosła jednak Florencji spoczynku. Tej ciepłej majowej nocy drgał życiem każdy zakątek miasta. Od rzeki Arno płynęły tony pieśni, śmiech i plusk wiosel, ulice pełne były ludzi. Wśród dorosłych kręciły się urwisy, które podkradłszy się cicho z tyłu, wśród śmiechów i okrzyków gniewu obrzucały spacerujących łupinami kasztanów. Na wszystkich domach ciemniały śliczne, na wpeł zwiędłe gałęzie głogu. Za wysokimi murami wspaniałych pałaców tajemniczo i sennie szemrały fontanny. Z oddali dochodziły głośne okrzyki komediantów, śmiech tłumu i radosne dźwięki pieśni...

Cała Florencja śpiewała w tę cudną majową noc. Śpiewała ziemia i stare, mętne Arno. Śpiewały drzewa i kwiaty, śpiewały surowe mury pałaców. Śpie-

wało samo powietrze... Wszystko śpiewało ku czci i chwale małej, świętej Beatrice... Przynajmniej tak myślał Dante... Zapach kwiatów na ulicach był tak samo ciężki, jak w willi Portinari. Florencja, miasto kwiatów, tonęła w ogrodach.

— Spójrz, Dantino — rzekł ojciec. — Willa messer Cercchi jaśnieje jak niebo. A może nawet na niebie nie ma aż tyle gwiazd!

Ogród bogatego kupca Cercchi płonął światłem. Z za zębatego jego muru wylatywały wspaniałe pęki i strzały ogniste, rozlegały się dźwięki muzyki, wesoły śpiew i okrzyki zachwyty. Hojny kupiec urządził wielką zabawę ludową. Cały dzień bawiła się dziś młodzież w jego domu w ślepą babkę i boccia, w biegi i wdrapywanie po słupie. Teraz właśnie signor Cercchi raczył gości baletem. Zabawne miny błazna i piękny taniec hiszpański z mieczami wywoływały jednakowy zachwyt i zdumienie.

Willa Cercchi została już daleko w tyle, a ojcu Dantego wciąż jeszcze nie chciało się wracać do domu. Poszedł z chłopcem nad brzeg Arno, gdzie od rana bawili się florentyjczycy. Rzeka spała cicho, lśniąc błękitnym odcieniem. Oliwki z nadbrzeżnych sadów chwiały się nad nią niby srebrzyste morze. To tu, to tam rozbłyskiwało światło łodzi, a w oddali, na samym środku Arno, kołysał się dumnie okręt bogini Izdy, obwieszony sztandarami i girlandami kwiatów, płonący różnobarwnymi lampami, przybrany kobiercami, jedwabiem i złotogłowiem. W tajemniczym świetle widać było snujące się po pokładzie sylwetki królów i nędzarzy, włóczęgów, astrologów i diabłów, sprzedawców i błaznów, a wśród całego tego

chaosu migały w długich szatach maski dusz pokutujących.

Tej nocy messer Alighieri wrócił późno do domu. Zona jego, monna Lapa, kołysała do snu małą córeczkę. Podniósłszy na męża zmęczoną twarz rzekła oburzona:

— Gdzie byłeś dotychczas? Jezus Maria! Jaki Dantino blady! To grzech tak zmęczyć dziecinka!

To mówiąc ujęła Dantego za rękę i zaczęła ściągać z niego odświętną błękitną kurtkę.

— Do tego dochodzi, kiedy jesteście beze mnie! Calutki dzień trzymałam małą na ręku, bardzo dziś grymasiła, a tyś nie pomyślał nawet, że nie można włożyć się z chłopcem całą noc po Florencji! No, teraz spać, Dantino!

Gdy Dante wyciągnął się w łóżku obok swego siedmioletniego przyrodniego brata Francesco, monna Lapa poprawiła mu troskliwie poduszkę. Zmęczony chłopiec przeciągnął się słodko.

Przez przymknięte powieki widział teraz pochyloną nad kołyską nieruchomą postać macochy, jej łagodne, serdeczne oczy, błyszczące teraz z zachwytu. Ojciec opowiadał jej właśnie o cudach święta majowego. Długo jeszcze słyszał Dante przez sen powolną mowę ojca i pytania łowiącej chciwie każde słowo monny Lapy;

— Hiszpańskie tancerki? A u messer Folko jadło się pierogi z bolseńskimi węgorzami i popijało wino z różnobarwnych kryształowych pucharów? I mówisz, że balet jeszcze się nie skończył? Monna Lapa wzdychała. Jako prawdziwa florentyn-

ka przepadała za wszelkiego rodzaju widowiskami i żal jej było, że nie mogła popatrzeć na obchód majowy.

Podczas tej cichej rozmowy Dante usnął. Duszę miał pełną wrażeń. Przed oczyma jego rosły gigantyczne pierogi z węgorzami i całe domy z różnobarwnych kryształów. Falankino, vernaccio i inne drogie wina tryskały z wodotrysków w nieskończonych alejach złotych pinii. Potem pinie znikły, a zamiast nich zjawiły się naiwne majowe drzewka głogu o jasnych, trzepocących listeczkach, a z każdego listeczka patrzyła płomienna lilia, a potem nie była to już lilia, lecz święta Bice w swej purpurowej szacie z rubinem w szarfie. Niby szemranie strumyka brzmiał jej słodki, cichy głos:

— Dantino! Dantino, król maja!

Lecz głos Bice zagłuszył szcęk mieczy z hiszpańskiego tańca; szcęk stawał się coraz głośniejszy, aż nabrał grozy. Nie był to już taniec: to była bitwa gwelfów z gibellinami. Dante walczył w szeregach gwelfów i widział, jak chłop ciągnął przywiązane do ogona swego konia piękne, martwe ciało króla z zamkniętymi oczami, które za życia patrzyły z wielkim smutkiem... Dante nie ważył się uwolnić zwłok królewskich, nie ważył się nawet płakać, gdyż z racji swego urodzenia należał do partii gwelfów. Potem, gdy żołnierze zwalili na grób króla piramidę kamieni, Dante musiał własnymi rękami rozrzucić kamienie i patrzeć na to, jak kruki dziobią zbezczeszczone zwłoki bohatera.

Dante siedział zamysłony nad brzegiem Arno. Słuchał, jak szumi młyn, jak brzęczą łańcuchy barek, które przybiły do przystani. Obok niego na ziemi leżała teczka z książkami. Arno mętne i żółte na tle kwitnących brzegów wywoływało w chłopcu dziwne przygnębienie. Serce jego pełne było jakiejś dziwnej tęsknoty. Pragnął wyładować jakoś siły, które czuł w sobie, marzyły mu się wspaniałe czyny bohaterskie i wielkie ofiary. A tymczasem w domu było nudno, cicho i ponuro. Ojciec wciąż chorował od pewnego czasu.

Fale biły cicho o brzeg, w takt fal szeleściło siewowi. Obok Dantego przepłynęła wolno łódź rybaka. W rozciągniętych sieciach trzepotały ryby lśniące srebrzyście w diamentowych kropelkach wody. Nagle z rąk rybaka wypadło wiosło. Bojąc się pochylić po nie, by nie upuścić do wody sieci, rybak stał rozglądając się bezradnie dokoła.

Dante wahał się chwilę. Miał na sobie nowe ubranie, które mu macocha uszyła do szkoły. Nagle przypomniawszy mu się mała Beatrice Portinari. Gdyby Beatrice tu była, sprawiłoby jej na pewno przyjemność, że Dante przyszedł z pomocą rybakowi. Tymczasem prąd uniósł wiosło daleko od łodzi. Dante skoczył szybko do wody nie zrzuciwszy nawet trzewików. Jeszcze chwila i podał wiosło rybakowi.

— Bóg zapłać! — rzekł rybak patrząc ze zdziwieniem i wdzięcznością na chłopca w wytwornym ubraniu, z którego spływały strugi wody.

— Ale dostaniesz lanie! — rzucił dobrodusznie.

Dante uśmiechnął się.

— A niech! Chcę cierpieć dla kogoś! — pomyślał.

Łódź popłynęła cicho dalej i znikła w zaroślach. Zdjąwszy trzewiki i rozwiesiwszy ubranie na krzaku Dante wyciągnął się na brzegu.

Wyszukał ostry kamień i zaczął kreślić nim na piasku kobiecy profil.

Trudno było rozpoznać rysy dziewczęcia na tym dziecięcym rysunku, a może i sam Dante nie wiedział, co właściwie rysuje. Miał to być portret Beatrice, ale w ciągu pięciu lat, które minęły od ich jedyne go spotkania, ukochane rysy zatarły się w pamięci chłopca. Zostało mu tylko wspomnienie jakiejś światłości i niewysłowionego piękna.

Wesoły, dźwięczny śmiech, który rozległ się nagle za jego plecami, wyrwał go z rozmarzenia.

Ujrzał przed sobą wysokiego, zgrabnego chłopca w kurtce poplamionej farbami, w małej czapeczce nasadzonej zuchowato na bakier. Nogi chłopca zdobiły dziurawe trzewiki, z których wyłaziły palce. Mały obdartus wyglądałby jak prawdziwy bandyta, gdyby nie pogodny uśmiech jego pełnych, dziecięcych ust.

— Dlaczego się śmiejesz? — zapytał ostro Dante.

— A czy można się nie śmiać? Drapiesz piasek z taką miną, jakbyś miał zadziwić cały świat niezwykłym arcydziełem, a tymczasem... Chłopiec wybuchnął znów śmiechem...

Ciemna twarz Dantego zapłonęła gniewem. Zaciśnął pięści i miał już rzucić się na zuchwalca, gdy nagle zatrzymał się. Wydało mu się, że słyszy słodki głos dziewczęcy, który mówi: „Stój!” Spuścił ręce, stał nogą rysunek, wziął teczkę z książkami, kurtkę i odszedł. Zatrzymał go w miejscu miękkiej, zawstydzonego głosu chłopca, który wołał:

— Dokąd pędzisz? Czeka! Coś ci powiem!

Mały obdartus drapał się zakłopotany w głowę i nie patrząc na Dantego mówił, jakby przeprasząc:

— Nie gniewaj się... Nie z ciebie się śmiałem... Myślałem o sobie... Dwa lata temu, kiedy miałem jedenaście lat, rysowałem na piasku tak samo, jak ty, a maestro Cimabue patrzył na to ukryty za moimi plecami, a potem kazał mi przyjść na naukę do swojej pracowni. A przez ten czas, kiedy służyłem maistro, moje owce rozbiegły się...

Chłopiec wybuchnął znów długim, serdecznym śmiechem.

— Twoje owce? — zapytał Dante.

— Tak. Pasłem owce mego ojca, ale wolałem rysować na piasku niż pilnować ich, więc ginęły mi często, a potem w domu dostawałem takie cięgi, że mi się ciepło robiło. Nieraz trzeba było całą noc łączyć po górach i urwiskach, zanim się znalazło zabłąkane owce. Za to teraz świetnie chodzę po górach.

Spojrzał z zadowoleniem na swoją giętką postać poruszającą się z kocią zwinnością.

— Więc jesteś pastuchem? — zapytał Dante.

— Nie, chwala Bogu, już nie! — zawołał obdartus przeżegnawszy się. — Teraz jestem uczniem

słynnego maistro Cimabue, któremu nie dorówna nikt w całej Florencji. Co mówię! W całych Włoszech!

Chłopiec spojrział z dumą na Dantego.

— A przedtem, kiedy mieszkałem u ojca, pasłem owce. Potem ojciec posłał mnie do roboty przy wybijaniu bawełny, ale ja — zaśmiał się znów — chodziłem zamiast tego do pracowni Cimabue, oglądałem jego obrazy, starałem mu się przysłużyć. Bardzo często spóźniałem się do domu, a wtedy ojciec tłukł mnie. Aż pewnego razu ojciec dowiedział się o wszystkim. Znalazł mnie w pracowni Cimabue i złażał okropnie, ale maestro powiedział ojcu tak:

— Chłopiec zostanie prędzej włóczęgą niż wybijaczem bawełny. Niech lepiej zostanie u mnie.

Po namyśle ojciec zgodził się. Ojej, jeszcze ci nie powiedziałem, jak się nazywam. Jestem Giotto, Giotto, syn Bondone.

Ruchem dorosłego chłopiec wyciągnął do Dantego giętką, poplamioną farbami rękę.

— Słuchaj — rzekł przyjaźnie. — Sprawilem ci przykrość, ale nie martw się, nikt od razu nie umie rysować. Co właściwie chciałeś narysować?

— Anioła — odrzekł Dante zamyślony.

Giotto pochylił się i palcem nakreślił lekko na piasku obraz anioła z rozpostartymi skrzydłami. Dante patrzył na rysunek zachwyconymi oczami, ale Giotto stał go szybko i narysował wstrętnego diabła, a potem zakonnika w habicie z długim, śmiesznym nosem...

— A ty kim jesteś? — pytał Giotto. — Aha, Dante Alighieri... Wiem już... Moja matka pracowa-

ła w waszej willi Ontoniano przy zbiorze oliwek...  
Wiesz co? Jeżeli chcesz, to chodź ze mną — pokażę  
ci pracownię maestro Cimabue.

Dante kiwnął radośnie głową. W szczerości Giotto było coś dziwnie ujmującego. Trzymając się za ręce poszli do pracowni na ulicę Wesołą. Przez całą drogę Giotto rozpowiadał o wielkich zasługach swego mistrza.

— Ulicę tę nazwano Wesołą — tłumaczył — bo kiedy maestro malował swoją Madonnę, przed domem jego zbierały się tłumy. Pewnego razu znalazł się tam nawet Karol Anjou! Ławnicy miejscy przyprowadzili go, żeby mógł podziwiać boski obraz. Pod oknami pracowni było tyle hałasu i gwaru, że ulicę nazwano Wesołą. A kiedy potem gotowy już obraz zanieśli do kościoła Santa Maria Novella, w mieście było prawdziwe święto. Sklepy zamknięto, robotnicy nie poszli do pracy, na ulicach grano na srebrnych trąbach, szły procesje z chorągwiami. Ta-ak!

Giotto patrzył w jeden punkt, cały przejęty opowiadaniem, które słyszał od starszych uczniów. Ubóstwiał Cimabue tak samo, jak inni uczniowie ubóstwiali w owych czasach swych mistrzów. Uczniowie ci byli raczej służącymi: biegali po zakupy, rozcierali farby, szorowali podłogi i dostawali w skórę nie tylko od nauczyciela, ale i od jego rodziny. Znosili jednak to wszystko bez szemrania. Za swego maestro daliby się porąbać. Uważali za osobistą zniewagę, jeżeli inny malarz obraził podczas sprzeczki ich mistrza i mścili często zniewagę tę śmiercią. Z powodzenia mistrza byli dumni jak z własnego. Nie oni jedni zresztą. Z ma-

larzy, poetów i uczonych dumny był cały naród. Florencja ceniła bardzo wysoko utalentowanych ludzi. Zwalniała ich od podatków, w wypadkach spornych walczyła z innymi miastami o zaszczyt uznania jej za ojczyznę wybitnej jednostki. Często nawet czas obliczano według narodzin jakiegoś dzieła sztuki.

Mniejsze państewka włoskie nie pozostawały w tyle za potężną Florencją. Żadne z nich nie chciało ustąpić drugiemu palmy pierwszeństwa w dziedzinie sztuki. Każde miasto starało się zaćmić inne wspaniałością i pięknem swych budowli.

Drzwi od pracowni były otwarte na oścież. Na progu stał messer Cimabue, cały wysmarowany farbami. Kędzierzawe, czarne włosy wymykały się spod jego aksamitnej czapeczki i spadały na szerokie bary. Siwe oczy malarza tryskały humorem. Obok Cimabue stał młody florentyjczyk w długiej czarnej szacie, noszonej przez uczonych i malarzy. Pokazywał maestro swe dzieło — młotek żelazny, którego uderzenie o bramę zastępowało dawniej dzwonek. Młotek wykonany był z niezwykłym arcyzmem i messer Cimabue oglądał go z szczerym zachwytem.

Wytworny smak ówczesnych Włochów objawiał się na każdym kroku. Piękną formę nadawano najdrobniejszym przedmiotom codziennego użytku, najwybitniejsi nawet artyści nie uważali wówczas za ujmę pracy nad takim przedmiotem i wykonywali go z taką samą precyzją, jak naszyjnik z drogich klejnotów.

Cimabue był tak pochłonięty oglądaniem młotka, że nie zauważył wejścia chłopców.

— Ach, ty gałganie! — zawołał ujrawszy

wreszcie Giotto. — To tak załatwiasz moje polecenia! Przez ten czas, gdyś się wałęsał Bóg wie gdzie, maestro sam raczył przyjść do mnie.

Giotto przysiadł. Na próżno starał się Cimabue chwycić go za ucho, zwinny urwis wymykał się jak węgorz. Wreszcie malarzowi udało się dopiąć swego.

Gdy Bóg chce zgubić człowieka — rzekł uroczyście—wtedy zabiera mu rozum, a zamiast niego nasyla lenistwo. No, nie jęcz!

Cimabue wrócił znów do młotka, a Giotto z niewinną miną przysunął się do nauczyciela.

— Spójrz — rzekł Cimabue. — Kiedy będziesz umiał zrobić coś takiego, przestanę cię drzeć za uszy. Za to zazdrośnicy będą cię wtedy walić dwa razy mocniej!

Zapomniawszy o gniewie już żartem pociągnął za ucho swego ulubieńca.

— Nie będzie pan długo czekał na to, maestro — odrzekł zuchowato chłopiec.

Malarze roześmieli się.

— A kogoś to przyprowadził ze sobą, Giotto? — zapytał Cimabue.

— To mój przyjaciel, szlachetny Dantino, syn messer Alighieri, u którego moja matka zbierała oliwki.

Ruchliwa, giętka postać Giotto harmonizowała doskonale z krępą postacią uśmiechniętego Cimabue. Uczeń i mistrz dopełniali się wzajemnie.

Pracownia Cimabue — był to wielki, brudny sklep pełen gliny, gipsowych odlewów, kawałków mar-

mur, garnków z farbami, desek do obrazów, szczypiec do pracy jubilerskiej, skrzyń i niedokończonych szkiców. W owych czasach artysta był malarzem, jubilerem, grawerem i giserem w jednej osobie. Wśród całego tego nieładu uśmiechały się naiwnie słodkie twarzyczki aniołków, z których sławny był Cimabue. Kilku uczniów stojąc na ławkach malowało długimi pędzlami złote tło na olbrzymim obrazie, na którym widniały ledwie zaznaczone kontury postaci biblijnych. Pracownia rozbrzmiewała gwarem i żartami uczniów. Jednemu z chłopców wypadł z zanadrza bąk i bzykając potoczył się pod nogi maestro.

Wśród tego gwaru wyróżniał się jaskrawo milczący, opanowany Dante, przyglądający się uważnie wszystkiemu, co się działo w pracowni.

— Dlaczego gapisz się tak na Giano? — pytał Giotto swego przyjaciela. — Czy ma dwa nosy?

— Nie — odrzekł Dante — ale przy pracy wtula głowę między ramiona i wygląda wtedy jak nasz garbusek-czarodziej.

Giotto roześmiał się, odłożył pędzel, którym pomagał w pracy kolegom, i kilkoma ruchami naszkicował węglem na ścianie śmieszny profil Giano. Podobieństwo było tak uderzające, że Cimabue wybuchnął głośnym śmiechem. Giano wysmarował twarz Giotto farbą, a Giotto odwdzieczył mu się za to siarczystym policzkiem i niezrażony robił dalej od czasu do czasu ilustracje do uwag Dantego.

Do wieczery uczniowie zasiedli razem z nauczycielem. Jedzenie było niewyszukane i bardzo skromne. Sławny Cimabue, którego obrazy niesiono



przy dźwiękach trąb do Santa Maria Novella, jadł zwykły owczy ser, popijając rzadkie, czerwone wino.

Było już późno, gdy Dante wybrał się do domu.

— Przychodź, kiedy chcesz — rzekł Cimabue na pożegnanie. — Jeżeli tak kochasz sztukę, to powiedz ojcu, a będę cię chętnie uczył!

Dante podziękował. Kręciło mu się w głowie. Dotychczas znał tylko dom rodzinny i szkołę, teraz otwierał się przed nim nowy, cudowny świat. Szkoła nie wystarczała mu.

Trudno sobie teraz nawet wyobrazić, jak nudne były szkoły w epoce Dantego. Nauka łaciny polegała na wykuwaniu paragrafów gramatyki. Nikt nie myślał nawet o tym, by dać młodzieży choćby słabe pojęcie o kulturze starożytnych. Języka greckiego nie znali nawet uczeni, a wszystkie wiadomości o literaturze greckiej czerpano z przekładów łacińskich. Wykształcenie ogólne w Rzymie starożytnym i w średniowieczu polegało na opanowaniu siedmiu t. zw. sztuk wyzwolonych. Należały do nich: gramatyka, czyli nauka języka łacińskiego, dialektyka, retoryka, czyli krasomówstwo wraz z nauką o wierszu, arytmetyka, geografia, muzyka i astronomia. Wszystkich tych przedmiotów nauczano w sposób bardzo suchy. By lepiej wbić wiedzę w głowę ucznia, nauczyciel używał do pomocy kija. Nauki przyrodnicze w szkole średniowiecznej nie istniały: rozumowanie, szukanie prawdy uważano za grzech. Aby być dobrym uczniem, trzeba było tylko pilnie wykuwać wszystko na pamięć i przyjmować w dobrej wierze najniedorzeczniejsze, przeczące sobie nawzajem twierdzenia.

Zapadł już mrok, gdy Dante zapukał do bramy domu. Otworzyła mu zachmurzona służebna, która od razu odeszła, nie mówiąc ani słowa. Serce chłopca ścisnęło złe przecucie. W sali jadalnej przy nakrytym stole zastał tylko brata. Puciołowaty, zawsze uśmiechnięty Francesco siedział ponury i nie brał nic do ust. Wskazał Dantemu drzwi, w których stała monna Lapa. Były to drzwi prowadzące do sypialni messer Alighieri.

Monna Lapa trzymała w ręku dymiący katalplazm z ziemi zagotowanej na greckim winie i nasłuchiwała chciwie oddechu męża. Potem nagle weszła szybko do sypialni, zamykając szczelnie drzwi za sobą.

Francesco milczał ponuro. Dante zmieszany i niespokojny patrzył na tajemnicze drzwi.

— Ojcu gorzej? — szepnął.

Francesco odwrócił się i mruknął:

— Mateczka gniewa się na ciebie.

Dante nie uwierzył. Nie widział nigdy monny Lapy zagniewanej. Była to najłagodniejsza istota pod słońcem.

Wkrótce zjawiła się sama monna Lapa ocierając chustką nieposłuszne łzy i usiadłszy rozplakała się.

— Wiem, że on umrze — rzekła przez łzy, ukrywszy pochyloną głowę w dłoniach. — Umrze, a wy znów zostanieie sierotami. Biedne, biedne dzieci!

Nagle, jakby oprzytomniawszy, obrzuciła Dantego niespokojnym wzrokiem.

— Ojciec umiera — rzekła — a ty wążasz się nie wiadomo gdzie, jak włóczęga. Czy nie wstyd ci? Spojrz, jak wygląda twoje ubranie!

Dante zawstydzony spojrzał i zobaczył, że kurtkę ma zasmarowaną farbą, na kolanach zielone smugi od trawy i dziurę prawdopodobnie od gałązki, o którą zawadził nad brzegiem Arno.

Spuścił głowę.

— Przepraszam — szepnął zawstydzony. Monnie Lapie zrobiło się żal chłopca.

— Nie mogę gniewać się teraz na ciebie, Dante! Może zostaniesz dziś bez ojca, a ja nie chcę, żebyś myślał, że masz złą macochę. Chodź do mnie, chodź, chłopcze!

Nie przestając łkać jak dziecko, z oczyma pełnymi niewypłakanych łez, objęła Dantego za szyję i przytuliła do piersi jego kędzierzawą głowę.

— To już trwa trzy tygodnie... — skarżyła się boleśnie. — Dziś wezwałam znachorkę Fraulissę. Długo zmawiała nad ojcem swoje zaklęcia... Zawiesiła mu na szyi amulet z krwią żmii... Powiedziała, że zaśnie, a potem wstanie. Lecz ojciec nie zasnął ani nie wstał, a teraz widzę, że mię nie poznaje. Krew żmii była pewnie nieświeża!

Monna Lapa objęła obu chłopców i szeptała dalej:

— Siostrzyczka śpi. Czy będziecie nas kochać, jeżeli ojca zabraknie?...

Wzruszeni chłopcy przysięgli gorąco, że będą wiecznie kochać macochę i siostrzyczkę. Monna Lapa zaprowadziła ich do sypialni, ułożyła do snu i przy-

siadłszy na ławie usnęła sama, zmęczona szeregiem nieprzespanych nocy.

Dante był głodny. Nie jadł obiadu, przez cały dzień nie miał w ustach nic prócz placka, który zabrał rano do szkoły. Zmęczenie było jednak mocniejsze od głodu: wkrótce chłopiec zasnął.

Obudziło go gwałtowne szarpnięcie. Szeroko rozwarte oczy wlepił z przerażeniem w ciemność.

— Dzieci! Dzieci! Wstawajcie! Prędej! — szeptał ktoś dławiąc się od łez.

Dante ujrzał smukłą postać monny Lapy z rozpuszczonymi włosami, światło księżycy ślizgało się po jej twarzy nieprzytomnej z przerażenia i bólu. Załamywała ręce i wciąż bez przerwy powtarzała:

— Umarł... Umarł... Umarł...

Messer Alighieri został pochowany na cmentarzu florenckim. Do monny Lapy przyszedł notariusz i długo jej coś tłumaczył. Dante zrozumiał, że monna Lapa ma zarządzać wszystkimi licznymi posiadłościami należącymi do rodziny Alighieri. Myśl o tej skomplikowanej gospodarce zupełnie dla niej nowej napełniała ją przerażeniem.

Po trochu wszystko zaczęło iść zwykłym trybem. Chłopcy uczyli się, dziewczynkę także umieszczono w szkole. Od śmierci męża monna Lapa zajmowała się swymi pasierbami jeszcze troskliwiej i serdeczniej niż przedtem.

Pod jej czułą opieką chłopcy rozwinęli się i wyrosli na młodzieńców.

Ciężkie czasy spadły na Dantego. Beatrice wyszła za mąż, a wkrótce potem umarła. Śmierć jej porządziła serce Dantego w smutku, który nigdy go już

nie opuścił. Pod wpływem głębokiego cierpienia napisał szereg pięknych utworów, z których największą sławę zdobyła „Boska Komedia“. W poemacie tym opisuje Dante swoją wędrówkę przez piekło, czyściec i raj. Prawie każdego roku wychodzi w jakimś mieście włoskim nowe wydanie „Boskiej Komedii“. Wielu włoskich uczonych poświęciło całe swe życie rozbirowi tego poematu. Obliczyli nawet, ile ma wierszy i słów. Mnóstwo poetów całego świata naśladuje utwory Dantego. We Florencji powstało „Towarzystwo imienia Dantego“, które posiada oddziały prawie w każdym włoskim mieście. „Boska Komedia“ stała się źródłem natchnienia wielu muzyków i malarzy.

Epoka, w której żył Dante, była epoką burzliwych starć najrozmaitszych partii politycznych. Życie jego minęło wśród walk i niedostatku. Umarł 13 września 1321 roku w Rawennie, wygnany przez wrogów z ukochanej Florencji.

**Leonardo da Vinci**



Leonardo da Vinci

Był wczesny majowy poranek. Przytulona do stoków gór Albańskich malownicza wioska Vinci wyglądała dnia tego szczególnie odświętnie. Przed każdym domkiem zieleniło się młodziutkie drzewko głogu, pokryte miękkim puszkim jasnych listeczków. Było święto majowe, toteż mieszkańcy wioski zgodnie ze zwyczajem zasadzili drzewka o świcie przed domami.

Ulicą ciągnęły leniwie byki przystrojone w girlandy wonnych róż, grzechotek i barwnych papierowych ozdób. Na wozach wśród ciemnego listowia mirtów i laurów bieleły gałęzie kwitnącej pomarańczy; na łodygach dzikiego rozmarynu błyszcząły świecidełka. Rozkołysane przez wiatr dzwoneczki dzwoniły srebrzystym, radosnym dźwiękiem, zlewając się z wesołymi głosami rozbawionego tłumu.

Na wozie wśród zieleni siedzi Kupidyn. Oczy ma związane, w ręku trzyma łuk. Złote kędzioły spadają mu na ramiona.

Za wozem kroczą parami młode dziewczęta

w odświętnych, przybranych kwiatami strojach i śpiewają wesole pieśni, radosny hymn majowy pod dźwięki lutni i fletów.

Sosny, buki i laury, trawy i kwiaty, łąki i urwiska błyszczą olśniewająco w słońcu.

Śmieje się niebo w blasku dnia. Śmieje się łąka i rozśpiewane wonne powietrze... „Jakże piękne jest modre niebo!”

„Jakże piękne jest modre niebo!” podchwycił chór młodzieńców.

Gdy wóz znalazł się nad brzegiem Arno, mały Kupidyn zerwał przepaskę z oczu. Wdzięczna twarzyczka o wielkich szarych oczach patrzy teraz z wyrazem oczekiwania na otaczający tłum. Tępy lutni i fletów stają się coraz głośniejsze i weselsze. Młodzież na wyścigi ogłaca wóz z zieleni i brzęcząc grzechotkami tworzy korowód.

— Leonardo! — woła śliczna Bianca pochylając ku chłopcu roześmianą twarzyczkę. — Królewiczu majowy! Będziesz ze mną tańczyć?

Lutnie i flety rozbrzmiewają wiosenną pieśnią, a wtórują im srebrzyste tony majowej pieśni ptaków. Z drzew pomarańczy spada na tańczące pary deszcz białych jak śnieg płatków...

Jakiś przyjezdny Hiszpan pod dźwięki mandoliny puszcza się w zawrotny taniec z kastanietami. Mały Leonardo przygląda mu się uważnie.

— Nie mam takich historii jak pan — mówi do Hiszpana po skończonym tańcu, wskazując kastaniety. — Umiem za to śpiewać. — Wziął akord na mandolinie Hiszpana. Twarz jego nabrała jakiegoś uroczy-

stego wyrazu. Naiwna, dziecięca piosenka chwyciła słuchaczy za serce swoją niewyszukaną prostotą. I słowa, i melodie Leonardo wymyślał w czasie śpiewu. Śpiewał o łące, na której kwitną tysiące barwnych kwiatów, o wolnym ptaku, który pokochał kwiat i odlatując zimą do ciepłych krajów wzywał biedny kwiat, aby pofrunął za nim. Lecz kwiat nie mógł porzucić swojej łąki i został. Zwarzył go pierwszy mróz... Gdzieś hen! daleko odpowiedział smutnej piosence chłopca jakiś nieznaną ptak...

Gdy Leonardo skończył, zaczęto go po prostu dusić w objęciach, a śliczna Bianca ozdobiła jego kędziory wiankiem. Leonardo uśmiechał się zawstydzony i szczęśliwy. Był dziś bohaterem dnia i pokazał temu zarozumiałemu Hiszpanowi, że we Włoszech nawet dzieci umieją pięknie śpiewać.

Słońce prażyło już niemiłosiernie. Trzeba było pomyśleć o powrocie do domu, gdzie każdego czekał świętecznie zastawiony stół.

— Zanieśmy Leonarda! — zaproponowała Bianca. — Zasłużył dziś na ten zaszczyt! Posadźmy go jak króla na tronie! No, królu majowy, siadaj!

Roześmiane twarze dziewczęce pochylili się nad chłopcem, mocne ręce uniosły go w górę i oto niosą go już zarzuconego kwiatami i wiankami z wonnych, polnych traw. Przechodzą obok domku starego handlarza Beppo. Beppo kiwa z uśmiechem głową, patrząc na zabawny orszak. Przechodzą obok domku Bianki, oplecionego dzikim winem. Matka Bianki grozi im ręką z okna.

Lecz oto i „pałac” małego króla, a raczej dom jego ojca, notariusza, signora Piero da Vinci. Porząd-

ny, schludny dom z pięknym kwietnikiem i balkonem oplecionym różami wygląda dziś szczególnie ładnie w zielonych gałęziach głogu. Na progu siedzi staruszka prosta, krzepka, z twarzą noszącą jeszcze ślady dawnej piękności. Haftuje wymyślną kapę na ołtarz. Jej jasne, zamysłone oczy patrzą ze zdziwieniem i czułością na młodzież, która niesie jej małego wnuka dosłownie zasypanego kwiatami.

— Co to, mój chłopcze? Dlaczego tak cię niosą, jak króla albo papieża?

— Ach, babciu, przecież jestem dzisiaj królem! Mamusiu, łap, łap! — Deszcz kwiatów pada w okno, z którego wygląda uśmiechnięta twarz pięknej, młodej kobiety.

Leonardo zeskakuje zręcznie ze swego ukwieconego tronu i pędzi do starszej pani, a potem do młodej pani. Któż by się domyślił patrząc na jej tkliwy uśmiech, że Leonardo jest jej pasierbem? Czarne oczy signory Albiery pełne są najczulszej miłości. — Bianka! Nikolosa! Dowidzenia! — woła Leonardo za odalającymi się dziewczętami. — Mamusiu, umieram z głodu! — Macocha podsuwa chłopcu niewymyślne dania: ser, gorące pierożki, galaretę, daje mu kubek wina. Wsuwając jedzenie Leonardo opowiada o tym, jak wesoło było nad rzeką. Signora Albiera słucha z zaciekawieniem i śmieje się patrząc, jak wygłodzony chłopiec opycha się gorącymi pierożkami.

— A wiesz, głuptasie — mówi figlarnie signora Albiera — znalazłam dziś coś w ogrodzie. Ani słówkiem nie pisałeś mi! Teraz zaczekaj. Pokażę ojcu, a wtedy...

— Nie zrobisz tego, mamusiu! — woła chło-

piec, zrywając się jak oparzony. — Daj mi to, mamu, daj mi to!

W wysoko podniesionych rękach trzyma signora Albiera glinianą figurkę, którą Leonardo ulepił wczoraj w ogrodzie. Chłopiec wspina się na palce i usiłuje wyrwać jej z rąk swój skarb.

Oblane promieniami południowego słońca dwie te postacie — jedna błagalna, druga pełna figlarnego wdzięku — tworzą obrazek, który prosi się po prostu o malarza.

Signora Albiera zmęczyła się pierwsza.

— No, dosyć... Dobrze ci tak, uparciuchu. Właśnie nadchodzi ojciec.

Rzeczywiście na ogrodowej ścieżce ukazał się signor da Vinci. Jego skupiona twarz mówiła wyraźnie, że nie jest w tej chwili usposobiony do żartów.

— Co to? — zapytał ściągawszy brwi i oglądając uważnie figurkę.

— To moja praca, ojcie — odrzekł spokojnie chłopiec.

— Tak, tak... — szepnął signor Piero w zadumie. — Owszem, to bardzo ładne... Tylko że... Albiro, kiedy skończysz swoje zajęcia gospodarskie, przyjdź do mnie. Ciebie także, droga mamu, poproszę o to. A ty, urwisie, rysuj, lep, śpiewaj, ale wszystko w miarę: źle będzie, jeżeli poza tym nie będziesz miał w głowie nic innego.

Pogroziwszy chłopcu palcem na wpół żartem, na wpół serio, notariusz udał się do swego gabinetu.

Cały dom ubóstwiał Leonarda. Dla signory Albiery był najmilszym pieszczochem, uroczą, żywą zabawką. Najgoręcej z całej rodziny kochała jednak

chłopca babka. Wnuk wydawał jej się szczytem doskonałości: nie dostrzegała w nim żadnych wad. Spodziewała się po nim w przyszłości wielkich rzeczy.

Czasem, gdy babka siedziała smutna, wnuk podchodził z tyłu i zarzucał jej na szyję ciepłe, miękkie rączki. W oka mgnieniu wygładzały się wówczas zmarszczki na twarzy starej kobiety, a spojrzenie jej wielkich, surowych oczu nabierało miękkiego i czułego wyrazu.

Oto i dziś chłopiec przykucnął obok staruszki i ciągnie ją za rękę:

— Babciu, opowiedz bajkę!

Babcia nie zwraca mu nawet uwagi, że zmiął jej czepek. Uśmiecha się łagodnie i zaczyna opowiadać dobrze znaną, lecz zawsze jednakowo piękną bajkę:

— W pewnym kraju mieszkał dobry człowiek imieniem Pecione. Miał pięciu synów, którzy byli do niczego, tak że nie wiedział, co z nimi począć. Nie chciał utrzymywać ich dłużej, wezwał ich więc do siebie i rzekł:

— Moi synowie, Bóg mi świadkiem, że kocham was. Jestem już jednak stary i nie mogę dużo pracować, a wy jesteście młodzi i lubicie dobrze zjeść. Czym będę was żywił? Każdy powinien pracować na siebie. Idźcie w świat, poszukajcie pracy, nauczcie się jakiegoś rzemiosła, a po roku wróćcie do mnie!

Synowie posłuchali ojca: poszli w świat, a po roku wrócili. Ojciec zaczął wypytywać ich, czego się nauczyli.

— Czegoś się nauczył, Lucio? — zapytał starszego.

— Nauczyłem się kraść, ojcze.

— A ty, Titillo?

— Budować okręty, ojcze.

— No, a ty, Rencone?

— Ja, ojcze, nauczyłem się tak strzelać z łuku, że trafię w oko koguta.

— A ja — rzekł Jacuccio — znam zioła, które wskrzeszają zmarłych.

— A teraz Manecuccio, powiedz, co ty potrafisz — zwrócił się ojciec do najmłodszego syna.

I rzekł Manecuccio:

— Nic nie umiem, ojcze: ani kraść, ani budować okrętów, nie znam ziół, które wskrzeszają zmarłych. Nauczyłem się jednej tylko rzeczy: rozumieć język ptaków. I oto raz opowiedział mi ptak, że dziki człowiek porwał jedynaczkę króla Autogwerfo i uwięził ją na wyspie skalistej, a król ogłosił: „Kto zwróci mi córkę, ten dostanie ją za żonę“...

Babka zatrzymała się na chwilę. Leonardo siedział nieruchomy. Szeroko otwarte oczy wpił w babkę. Z ust wyrwało mu się westchnienie. Staruszka ciągnęła dalej miarowym, spokojnym głosem:

— Pojechali wszyscy szukać szczęścia. Łodzią, którą zrobił Titillo, udali się na wyspę.

Gdy wysiedli na brzeg, ujrzeli nagle dzikiego człowieka śpiącego na słońcu. Głowa jego spoczywała na kolanach królowny Cianny... Luccio poradził, by królownę zabrać do łodzi, a pod głowę śpiącego wsunąć kamień. Gdy dziki człowiek obudził się, nie było przy nim pięknej królowny, tylko w oddali na morzu lśnił biały żagiel. Wpadł w gniew, zamienił się w ciężką chmurę i pędzi w pogoń za królowną. Zapłakała Cianna na czarną chmurę patrząc i z przerażeniem

padła na dno łodzi martwa... Wówczas Rencone przebił chmurę celnym strzałem, a gdy łódź przybiła do brzegu, Jacuccio wskrzesił królową swoim cudownym ziele. Teraz zaczął się między braćmi spór o to, czyją żoną zostanie królowa... Titillo mówi, że jego: on zbudował łódź. Luccio mówi, że jego: on nauczył braci, jak wykraść królową. Rencone...

— Mamo — przerywa nagle ciszę głos Albiery — Piero prosi nas do siebie.

— Pewnie będzie mowa o tobie — szepce ci chutko na ucho chłopcu, który drgnął jakby ze snu zbudzony.

— Babciu, a co było dalej? — pyta z zaciekawieniem, chociaż zna doskonale dalszy ciąg bajki. — Co było potem?

— No, a potem... potem... Do tej pory jeszcze kłóca się o piękną królową!

Babka odchodzi, zostawiając chłopca pogrążonego w myślach pełnych słodyczy i niepokoju.

Szczelnie zamknięte są drzwi ojcowskiego gabinetu. Chłopiec chciałby wiedzieć, co się dzieje za tymi ciężkimi drzwiami. Może mama Albiery miała słusność: może tam o nim mowa?

Chłopiec zamysła się, ale tylko na chwilę. Piękna, złotowłosa Cianna, straszna chmura, uzdrawiające ziele, spór braci — nie może o tym zapomnieć. Wzdycha ciężko i wychodzi do ogrodu. Na ciemnym błękitnie nieba płoną gwiazdy nieśmiało, drżące i jasne jak oczy złotowłosej królowy. W wysokiej trawie zaszeleścił wąż. Gdzieś w dali rozbrzmiała słodka słowicza pieśń... U stóp chłopca zapłonął jasną, błękitną iskierką świętojański robaczek. Leonardo zaczął za-

stanawiać się nad tym, dlaczego robaczek świeci; chyba na ciele jego znajduje się czarodziejska latarka, która zapala się dopiero wieczorem... Pochylił się, dwoma palcami podniósł drobnutkie stworzonko wraz z listkiem i ostrożnie położył je na dłoni...

„Pójdę do domu“ pomyślał „i tak długo będę mu się przyglądał, aż wpadnę na to, dlaczego świeci. Będę tak długo patrzył, aż coś wypatrzę“...

Podniósłszy oczy do góry spojrzał jeszcze raz z zachwytem na gwiazdy. Wyglądały jak krople roztopionego złota, które lada chwilę spłyną na ziemię...

„Babcia mówi, że gwiazdy — to oczy aniołów. Ale to nieprawda“ — myśli Leonardo. „Słyszałem, że gwiazdy — to całe światy, takie wielkie, jak nasza ziemia. A jest ich tyle, tyle!“

„Chciałbym wszystko wiedzieć“ myślał wsuwając ostrożnie na listek robaczka, który już omal nie spadł. „Chciałbym wiedzieć wszystko i o gwiazdach, i o trawie, i o tym robaczku, i o ptakach...“

Wielki nietoperz przeleciał tuż koło chłopca. „I o tym nietoperzu“ myślał dalej. „Dlaczego lata tylko w nocy, dlaczego w dzień nic nie widzi, dlaczego nie fruwa tak lekko, jak gołąb lub jaskółka? Jak dobrze byłoby wiedzieć to wszystko!“

— Leonardo! — rozległ się w ciszy ogrodu głęboki głos ojca.

Chłopiec przypomniał sobie szczelnie zamknięte drzwi gabinetu i pobiegł szybko.

Signor Vinci w wysokim, skórzanym fotelu wyglądał szczególnie uroczyście. Uroczysty wyraz miały także twarze mamy Albiery i babki.

— Mój chłopcze — rzekł poważnie, niemal



surowo notariusz. — Umiesz nieźle śpiewać, lepić figurki, jeździć konno i tańczyć. Bardzo to ładnie, ale... Krótko mówiąc, będziesz chodził do szkoły. Twoja babka i matka również sobie tego życzą.

Rzekłszy to signor Vinci spojrzał zadowolony na obie kobiety. Signora Albiera w rzeczywistości nie miała wcale ochoty puszczać z domu swego małego przyjaciela, odpowiedziała jednak z westchnieniem:

— Tak, Leonardo, zgadzam się w zupełności z twoim ojcem.

— Będę musiał wybrać się do Florencji — mówił signor Vinci zamyślony. — Twoja nauka, Leonardo, bardzo mnie niepokoi. Obawiam się, żebyś nie wyrósł na nieuka z powodu swej żywości. A teraz idź z Bogiem i połóż się spać.

Gdy Leonardo wyszedł pożegnawszy się z rodzicami, oszczędny signor Vinci pograżył się w obliczaniu wydatków związanych z nauką chłopca.

## II

Przed snem Leonardo wyszedł jeszcze raz do ogrodu. Otworzywszy zaciśniętą dłoń przyjrzał się spoczywającemu na niej robaczkowi. Robaczek świecił fosforycznym światłem.

— Au! — rozległ się nad uchem chłopca srebrzysty głos i ktoś zasłonił mu rękami oczy.

Leonardo poznał miękkie ręce macochy.

— Nad czym zamyśliłeś się tak, Leonardo? — zapytała serdecznie. — Patrzysz w gwiazdy, jak uczył astrolog. A to co? Jaki paskudny robak, ta-

ki miękki! Rzuć go! Cieszę się strasznie, że pojedziemy wszyscy razem do Florencji! A teraz czas spać — oczy już mi się kleją...

Chłopiec poszedł do domu, ostrożnie trzymając robaczka. Gdy wszedł do oświetlonego pokoju, robaczek przestał świecić. Leżał mu na dłoni niepozorny, drobny, jakby martwy.

„Dlaczego to?“ myślał Leonardo.

Długo jeszcze siedział na łóżku ze zwieszonymi nogami, myśląc o tym, ile cudownych, niezbadanych, nęcących tajemnic kryje świat. Zapragnął gorąco, za wszelką cenę, przeniknąć te tajemnice. A kiedy usnął, przyśniła mu się dumna, piękna Florencja, święto majowe, zrozumiały Hiszpan i mały robaczek świętojański, który świecił tak pięknie i tak tajemniczo...

Przygotowania do przeprowadzki trwały nie długo. Babka i Albiera pracowały wesoło i ochoczo. Wkrótce wraz z chłopcem wyjechały do Florencji, gdzie na placu Sirenze stał dom signora Vinci. Szeroko rozwartymi, zdumionymi oczyma patrzył mały syn notariusza ze wzgórza Tiesole na rozpostarte w dole cudne miasto. Na tle czystego, błękitnego nieba lśniły kopuły kościoła Santa Maria dell Fiore, wyrastały kapryśne linie wzgórza San Minato, jak w panoramie migwały niezliczone pałace, klasztory, baszty i dzwonnice. Leonardo nie mógł oderwać zachwyconych oczu od olśniewającego widoku.

Wszystko było tu nowe dla małego Leonarda. Idąc następnego dnia w towarzystwie ojca ulicą Ponte Vieccio, chłopiec patrzył zdumiony na sklepy złotników. Każdy drobiazg był tu szczytem doskonałości artystycznej. To samo powtórzyło się potem

w warsztatach stolarzy i kowali: wszędzie ta sama precyzja rysunku, poczucie kształtu, bogactwo wyobraźni, bez którego nie podobna stworzyć prawdziwego dzieła sztuki.

Florencja, „*rzczepopolita muz*“, była w owym czasie ogniskiem życia umysłowego Włoch. Na czele republiki Florenckiej stał wielki bankier, mądry Kosimo Medyceusz. Kosimo Medyceusz otaczał opieką artystów i uczonych, nie skąpił też pieniędzy na zdobycie dla rodzinnego miasta cennych obrazów, rzeźb i starożytnych rękopisów. Wspaniała willa Medyceuszów, Kareddi, stała otworem dla każdego utalentowanego człowieka. W cienistych ogrodach Kareddi założył nawet Kosimo Medyceusz akademię na wzór starożytnej akademii ateńskiej, a przy klasztorze San Marco powstała dzięki jego staraniom niesłychanie bogata, pierwsza publiczna biblioteka włoska.

Namiętne zainteresowanie nauką i sztuką starożytną ogarnęło cały kraj. Dla poznania pradawnej sztuki przeprowadzano mnóstwo wykopalisk. W modę weszli nauczyciele Grecy. Wielu bogaczy wydawało całe majątki na zakładanie bibliotek i muzeów. Wspomniana już przez nas biblioteka przy klasztorze San Marco doprowadziła jej założyciela Nicolo Nicoli do zupełnej ruiny.

Jedną z najlepszych szkół florenckich była szkoła łacińska, w której nauczycielami byli Grecy. Notariusz, który nie skąpił pieniędzy na wykształcenie syna, do tej właśnie szkoły posłał małego Leonarda. Tak samo jak w innych ówczesnych zakładach naukowych, dzieci były się tu swoich wychowawców,

którzy nieraz w chwili gniewu uciekali się do pomocy kija. Uczono przede wszystkim czytania, pisania i rachunków, a następnie łaciny i logiki.

Leonardo, pieszczoł całej rodziny, został wkrótce ulubieńcem kolegów. Wszystkie przedmioty przychodziły mu z łatwością, a umiejętnościami swymi dzielił się chętnie z uczniami. Nawet najsurowsi nauczyciele odnosili się łagodniej, niż do innych, do tego ślicznego, niezwykle zdolnego dziecka. Leonardo nie był zresztą zbyt pilnym uczniem.

— Uczysz się, jakbyś się bawił — mówiła często signora Albiera na wpół z gniewem, na wpół z zachwytem. — Gdybyś był pracowitszy, to może wyrósłbyś na słynnego nauczyciela, albo nawet notariusza. To ostatnie było dla signory Vinci szczytem ludzkiego powodzenia: o czymś jeszcze wspanialszym nie śmiała nawet marzyć.

Zaszczyty te nie pociągały jednak wcale Leonarda. Jego żywy umysł interesowało zdecydowanie wszystko w świecie... tylko nie grube księgi ojca i sucha szkolna nauka.

Rysował w dalszym ciągu. Nie umiał obojętnie przechodzić ulicami Florencji obok fresków i rzeźb znakomitych artystów. Potrafił godzinami całymi wpatrywać się z zachwytem w cudowne marmurowe rzeźby.

Ruchliwy, żywy umysł chłopca przysparzał niemało kłopotu nauczycielom.

— Oj, Leonardo — mówił stary Grek kręcąc głową — nic dobrego z ciebie nie wyrośnie. Chwytasz się wszystkiego, a niczego nie uczysz się porządnie.

Leonardo milczał. Myśli jego były daleko: zastanawiał się właśnie nad jakimś bardzo trudnym obliczeniem, które nie dawało mu ostatnio spokoju.

— Leonardo! Odkąd to śpisz, kiedy nauczyciel mówi do ciebie?

Leonardo zwracał na nauczyciela spojrzenie wielkich, poważnych oczu:

— Ja nie śpię, signor, myślę... zastanawiam się, ale nie mogę dać sobie rady. Chciałbym, żeby mi pan wyjaśnił takie zagadnienie matematyczne...

Nauczyciel nie potrafił jednak często rozproszyć wątpliwości chłopca. Nieraz musiał ze wstydem wykręcać się od odpowiedzi...

W owym czasie mieszkał we Florencji sławny lekarz i filozof, Toscanelli. Nazwisko jego znali nawet ulicznicy. Nieraz przechodząc obok domu uczonego Leonardo patrzył z westchnieniem na tajemnicze wejście, które było dla niego wejściem do świątyni.

Tu, przy wielkim stole zawalonym skomplikowanymi przyborami — szóstianami, retortami, filtrami, moździerzami, kolbami i rurkami, pracował po całych dniach ten niezwykły człowiek jak pustelnik, który wyrzekł się świata. Mocny, czerwony płomień wielkiego pieca oświetlał jego spokojną, surową twarz, na której malowało się głębokie zamyślenie. Pisał coś na długich paskach papieru, kreślił, zamyślał się i znów kreślił. Znieruchomiały za oknem Leonardo nie spuszczał z niego oczu pełnych uwielbienia.

Na ulicy Leonardo często podziwiał postać znakomitego matematyka w czarnym płaszczu, otoczonego tłumem uczniów. Długie, siwe włosy okalały jego

szczupłą twarz o głębokich, zadumanych oczach. Z całej postaci uczonego biła jakaś spokojna wielkość, która budziła w chłopcu miłość mieszaną z lękiem.

Tajemniczy dom Toscanellego pociągał chłopca jak magnes. W duszy jego płonęło z każdym dniem rosnące pragnienie rozmowy ze starcem, pójścia w jego ślady, zostania jego uczniem.

Całymi godzinami wystawał Leonardo pod domem Toscanellego, jak żebrak czekający na jałmużnę. Wreszcie Toscanelli zauważył chłopca wodzącego za nim zachwyconymi oczami.

— Kto to jest, Łukaszu? — zapytał pewnego razu jednego ze swych uczniów.

Leonardo kreślił właśnie kijem po ziemi jakieś geometryczne figury, gdy stanął przed nim Toscanelli.

— Co robisz tu co dzień koło mego domu? — Dlaczego śledzisz mnie? — zapytał starzec.

Chłopiec zaczerwienił się. Jego wielkie, błyszczące oczy rozbłysły jeszcze mocniej.

— Chcę uczyć się u pana matematyki — rzekł stanowczym tonem.

Rezolutność chłopca podobała się uczonemu. Na twarzy jego zjawił się dziwny, zagadkowy uśmiech.

— Ile masz lat, mały Archimedesie? — zapytał żartobliwie, mierząc małego Vinci wzrokiem od stóp do głów.

— Nie skończyłem jeszcze dwunastu, signor, ale to nie przeszkadza mi kochać nauki.

— Ho, ho! Takie wielkie słowa w ustach tak małego człowieczka! — zawołał Toscanelli. — No, cóż, wszystko jedno...

Zamyślił się chwilę, a potem rzekł mrużąc oczy.

— Odtąd dom ten stoi otworem dla mego uczono-  
nego przyjaciela.

Oczy chłopca zabłysły radością. Poznał się na  
żarcie. Kłaniając się jak dorosły, z komiczną powagą  
odrzekł:

— Będę panu bardzo zobowiązany, signor ma-  
estro...

Toscanelli raz jeszcze uśmiechnął się, skinął  
chłopcu głową i wrócił do swego tajemniczego mie-  
szkania.

Wkrótce więc mały syn notariusza został ucz-  
niem znakomitego matematyka. Toscanelli za-  
interesował się bardzo chłopcem zarzucającym go  
najdziwniejszymi w świecie pytaniami i biorącym ży-  
wy udział w dyskusjach naukowych i doświadcze-  
niach.

Podczas gdy Leonardo pogrążył się całkowicie  
w nowym dla niego świecie, w domu signora Vinci  
nie wszystko było w porządku. Signora Albiera za-  
częła chorować. Ciężka, wyczerpująca febra z dnia  
na dzień coraz bardziej pozbawiała ją sił.

— Nigdy już nie wstanę — mówiła żałośnie.  
— Nie ujrzę już ani kwiatów, ani zieleni, ani błękitu  
nieba, nie ujrzę już maja...

Na długich jej rzęsach drżały ciężkie łzy.

Stan chorej pogarszał się z każdym dniem. Pew-  
nego dnia sprowadzono znachorkę.

— Kto tam wszedł? — pytała przerażona Al-  
biera. — Mamo, po co przyprowadziłaś tę starą?

— Cicho, cicho! — szeptała tajemniczo babka  
Leonarda. — Ona ci pomoże, ona cię uzdrowi... No,  
monna Izabella, proszę podejść do chorej...

Monna Izabella uważana była we Florencji za  
czarownicę. Leczyła zaklęciami i „odczyniała“ uroki,  
oszukując bezczelnie naiwnych florentyjczyków.

Pochyliła się nad chorą, wpiła w nią ostre jak  
stal spojrzenie swego jedyne go oka. Chora wyciągnęła  
do niej pokornie wychudzoną, przejrzystą niemal rę-  
kę.

Leonardo ukryty za wysoką szafą śledził szeroko  
rozwartymi oczyma każdy ruch strasznego gościa.  
Serce waliło mu w piersi jak młotem.

Czarownica zesepleniła bezzębnymi ustami:

— Weź mózg jaskółki, rozprowadź go dobrym  
winem i daj chorej...

— Weź serce wilka — syczała teraz — ugotuj je  
i daj chorej do zjedzenia w piątek lub niedzielę...  
Och, jak trudno wyleczyć, jak trudno zdjąć urok...

Pochyliwszy głowę umilkła jakby w zamyśleniu.  
Leonardo czekał z zapartym tchem.

— Weź głowę myszy, wysusz ją i noś na so-  
bie... — Znów zamyśliła się.

— Obok studni na dziedzińcu messer Alonzo  
żyje pod kamieniem wielka czarna żaba... Kiedy wy-  
bije północ... — Tu stara pochyliła się do ucha bab-  
ki i dokończyła polecenia tajemniczym szeptem.

W szepcie starej było coś tak przerażającego, że  
babka zaczęła powtarzać „Zdrowaś Maria“, a signo-  
ra Albiera zbladła jak poduszka, na której spoczywa-  
ła. Chłopiec zadrzał...

Po wyjściu Izabelli chora poczuła się gorzej.  
W nocy babka przyniosła jakieś zawiniątko i położy-  
ła na piersi chorej. Leonardo domyślił się, że to wąż

troba żaby z domu messer Alonzo. Stan chorej pogorszył się jeszcze bardziej...

Splótnszy na kolanach chude ręce babka myślała z rozpazą o tym, jak opustoszeje ich przytulny dom, jak biedny jej syn Piero będzie samotnie błądzić po pustych pokojach, które rozbrzmiewały radosnym śmiechem Albiery. A Leonardo? Co stanie się z chłopcem? Może pozbawiony macierzyńskiej opieki zacznie wałęsać się po ulicach Florencji i wpadnie w złe towarzystwo?...

Pewnego dnia Leonardo nie poszedł ani do szkoły, ani do Toscanellogo; stan chorej uległ takiemu pogorszeniu, że posłano po księdza. Po opatrzeniu Świętymi Sakramentami zaczęli się wszyscy żegnać z Albiery. Dusząc się od łez Leonardo wybiegł z pokoju.

— Odeszła... Odeszła... Panno Najświętsza! — rozległ się nagle żałosny krzyk babki. Po chwili staruszka stanęła na progu sypialni blada jak śmierć. Cicho, bezgłośnie zapłakał Leonardo przytulony do jej pomarszczonej ręki...

### III.

Od śmierci Albiery zmieniło się wszystko w domu notariusza. Babka mruzczała ponuro po całych dniach jakąś pieśń pogrzebową i mówiła, że wkrótce nadejdzie jej kolej — nienadaremnie pies wyje na dworze po nocach.

Signor Vinci zestarzał się, jakby mu przybyło dziesięć lat życia. Zaczął unikać domu, w którym wszystko przypominało mu zmarłą.

Wreszcie pewnego dnia rzekł cicho do matki:

— Tak dłużej żyć nie można. Trzeba będzie ożenić się.

Z przerażonych rąk babki wypadła robota.

— Czemu nie? — rzekła po chwili głucho, a potem takim tonem, jakby szło o kupno nowego płaszcza, zapytała:

— Masz kogoś na oku? Młoda? Ładna? Z dobrej rodziny?

A gdy syn na wszystkie pytania odpowiedział potakującym skinieniem głowy, rzekła obojętnie:

— Proszę bardzo, ożeń się... A kto to taki?

— Franceska Alferdini.

Oczy starej kobiety, w których zapalił się na chwilę błysk ożywienia, znów zmartwiały. Przyszłość nie istniała już dla niej: należała całkowicie do przeszłości zaludnionej grobami.

Czyż nie wszystko jedno w gruncie rzeczy — Franceska czy Maria — żadna z nich nie zajmie przecież w jej sercu miejsca, które zajmowała Albiery.

Najkrócej trwał smutek Leonarda.

Gdy po śmierci Albiery przyszedł pierwszy raz do Toscanellogo, starzec zauważył, że chłopiec jest nieswój.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał cicho. — Dlaczego tak długo nie przychodzisz?

Leonardo powiedział nauczycielowi o swym zmartwieniu. Toscanelli chodził parę minut w milczeniu po gabinecie, gładząc w zadumie długą, siwą brodę.

— Tak — rzekł wreszcie głosem pełnym smutku i powagi. — Ludzie umierają, rodzą się, kocha-

ją, nienawidzą, cierpią...A wszystko to jest czymś tak drobnym, tak przemijającym... Proch i nicość... A tam...

Ująwszy chłopca za rękę podszedł z nim do okna. Na ciemnym błękicie nieba płonęły wielkie gwiazdy.

— Tysiące światów — rzekł Toscanelli głosem, którego Leonardo nigdy jeszcze nie słyszał, niskim, potężnym głosem proroka.

— Tysiące światów, mój mały! Każdą z tych dalekich gwiazd zaludniają może biliony takich istot jak my! I one cierpią, radują się, rodzą i umierają. A gdy wszystkie te światy zginą, powstaną nowe i będą znów płonąć, jak te oto gwiazdy w niezmierzonej przestrzeni wszechświata... Czymże są wobec tego ludzkie cierpienia i radości?

Leonardo spojrział na nauczyciela. Wydał mu się nadludzko piękny i potężny.

— Wszechświat — szepnął z przerażeniem. Miał wrażenie, że stoi na samym brzegu otchłani, bezdennej, pięknej, tajemniczej, po której skaczą z nieprawdopodobną szybkością płomienne światy niby złote piłki.

— Wszechświat... — powtórzył w zachwycie.

Gwiazdy zaglądały w okno jasnymi, cichymi oczyma. Powiało nocnym chłodem. Z pobliskiego ogrodu płynęły słodkie tony słowiczej pieśni.

Nadszedł dzień, w którym Franceska Alferdini została panią domu Vinci. W swym białym weselnym stroju z czystym, jasnym spojrzeniem wielkich, naiwnych oczu, robiła wrażenie dziecka. Miała pię-

naście lat i była niższa od swego trzynastoletniego pasierba.

Franceska uśmiechnęła się nieśmiało do Leonarda. Uśmiech ten przypomniawszy mu uśmiech Madonny z rzeźb i obrazów florenckich mistrzów. Odpowiedział jej wesołym, przyjacielskim uśmiechem. Jakiś okropny ciężar spadł mu z serca, gdy ujrzawszy słodką twarzączkę tej dziewczynki — macochy. Wypogodziła się także twarz babki.

Franceska podobała się wszystkim bez wyjątku — nawet staremu kotu Peppo, ulubieńcowi Albiery. Lubiła śpiewać i dokazywać jak dziecko. Nadawała się w sam raz na towarzyszkę zabaw dla swego pasierba.

Po dwóch dniach czuła się już w domu Vinci jak we własnym. Babka patrzyła z uśmiechem, jak Franceska i Leonardo gonili się po całym domu. Zadzyszana od biegu Franceska pytała zwracając ku chłopcu zarumienioną twarz:

— Słuchaj, Leonardo, zmierzmy się. Zobaczymy, kto jest wyższy: ty, czy twoja nowa mama.

— Ale nie stawaj na palcach! — śmiał się Leonardo. — Prawda, babciu?

Gdy zmęczona zabawą i sporem Franceska siedziała w fotelu z robótką w ręku, na twarzączce jej igrał jeszcze lekki, figlarny uśmiech.

— Pamiętaj, Leonardo, nie zapominaj się i nazywaj mnie mamą. Uważaj, żebyś mi kiedyś nie zrobił wstydu przy ludziach, bo wtedy nikt by mnie już nie szanował we Florencji. Nawet Peppo zacząłby mnie lekceważyć — dodała ze śmiechem, łaskocząc palcem szare zwierzątko.

Gdy u signora Vinci zbierali się goście, biedna Francesca robiła, co mogła, żeby się wydać surową i wymagającą macochą Leonarda. Pewnego razu, gdy roztargniony chłopiec zapomniał o tym, że w obecności obcych trzeba się do Franceski odnosić „z szacunkiem“, rozplakała się jak mała dziewczynka.

— Wcale nie myślisz o mnie, ty paskudny chłopcze! — mówiła łkając. — Teraz wszyscy będą mną gardzić! Powiedzą: „Po co Piero ożenił się z tą głupią Franceską!“. A ja boję się najbardziej tego, żeby twój ojciec nie pożałował, że się ze mną ożenił! Ach, ty niedobry chłopcze!

Leonardo, któremu przykro było, że dotknął swoją małą macochę, przeprosił ją i pokój został zawarty. Po chwili Francesca śmiała się wesoło. Małe jej serduszko nie umiało długo żywić do kogoś żalu.

Czas płynął... Pewnego dnia signor Vinci wyciągnął swoją wielką księgę rachunkową i długo coś obliczał w milczeniu.

— Francesco — rzekł wreszcie — daj mi moje nowe ubranie.

Signor Vinci nie lubił dużo mówić, toteż Francesca o nic nie pytając spełniła posłusznie jego polecenie.

Celem tajemniczej wyprawy signora Vinci był dom jego przyjaciela, malarza Andrea Verrocchio. Był to jeden z najslawniejszych malarzy florenckich.

Gdy signor Vinci wszedł do pracowni, Verrocchio stojąc na stole pokazywał coś uczniom na wielkim, niedokończonym obrazie.

Tu i tam widać było na sztalugach rozpoczęte prace malarza lub kopie ich, zrobione przez uczniów.

W pracowni panował okropny nieład: pełno w niej było postumentów, sztalug, schodków, glinianych popiersi, drewnianych modeli. Nie brak było tam nawet skórek pieczonych kasztanów, które uczniowie lubili zajadać.

Nie zwracając uwagi na gościa Verrocchio mówił dalej do uczniów wymachując w podnieceniu pałeczką. Miły, zmieszany zapach gliny, terpentyny i farby uderzył w nozdrza przybysza.

— Uszanowanie memu czcigodnemu przyjacielowi — rzekł wreszcie Verrocchio ocierając wielkie krople potu, spływające z czoła. — Jakież to szczęśliwe losy przywiodły signora Vinci w moje skromne progi?

— O tym właśnie chciałbym pomówić z tobą, mój Andrea — odrzekł notariusz z uśmiechem.

Verrocchio rozejrzał się dokoła, w poszukiwaniu miejsca, na którym mógłby usadowić gościa, ale go nie znalazł. W całej pracowni zawalonej obrazami, tezkami, pędzlami, paletami, skrzynkami farb, nie było ździebelka wolnego miejsca.

— Chodźmy, przyjacielu, na górę, tam porozmawiamy swobodnie — rzekł Verrocchio wskazując kręte schody prowadzące do mieszkania.

Bez długich wstępów notariusz rozwinął karton, który przyniósł ze sobą. Były to rysunki Leonarda. Niósł je przez ulice tak ostrożnie, jakby były z pajęczyny. Teraz z dumą położył je przed malarzem, chociaż bardzo słabo znał się na sztuce. Widząc, że Verrocchio zwleka z odpowiedzią, signor Vinci zaniepokoił się.

— Widzisz — zaczął jakby tłumacząc się —

chłopiec... jakby ci tu powiedzieć... nie to, że źle się uczy... jest żywy jak srebro, nie potrafi usiedzieć chwili spokojnie... nie będę z niego miał pomocy... W głowie mu tylko śpiew, rysunek i astrologia. Pomyślałem sobie, że byłoby nieźle oddać go do ciebie na naukę. Zdaje się, że chłopiec ma zdolności?

Wygłosiwszy tę małą przemowę signor Vinci odetchnął z ulgą. Nie był zbyt wymowny i chciał jak najprędzej załatwić swoją sprawę.

Na twarz malarza oglądającego rysunki Leonarda wystąpił rumieniec. Oczy mu zabłysły. Zamyślił się. Po długiej chwili milczenia rzekł:

— Nie mam w pracowni absolutnie miejsca dla jeszcze jednego ucznia. Mimo to przyjmę twego syna, Piero. Niech ci to starczy za opinię o jego rysunkach.

Tego samego dnia notariusz przyprowadził Leonarda do pracowni. Gdy malarz spojrział na wdzięczną, jakby wyrzeźbioną postać chłopca, w oczach jego błysnął zachwyty.

— Rysunki twoje świadczą o wielkiej spostrzegawczości — rzekł Verrocchio miękko. — Jeżeli chcesz, to przyjmę cię chętnie do swej pracowni.

— Tak, messer — odrzekł Leonardo patrząc na malarza szczerym, otwartym spojrzeniem. — I mnie się wydaje, że okazałbym tu więcej zdolności, niż zostawszy pomocnikiem ojca.

W odpowiedzi chłopca nie było strachu lub uniożności. Rozmawiał z słynnym malarzem jak równy z równym.

— Więc zostajesz u mnie. Rozmów się z ojcem i przeprowadź się choćby jutro.

Andrea Verrocchio cieszył się we Florencji ogólną

sympatią. Wszyscy znali jego uczciwość, jego wzruszający, ojcowski niemal stosunek do uczniów. Beształ ich jak dzieci, cieszył się ich powodzeniem, smucił ich kłopotami, troszczył się o odzież i pożywienie. W chwilach wolnych pracownia drżała od wybuchów śmiechu, przy pracy jednak był Verrocchio surowy i wymagający.

Jako artysta zajmował Verrocchio stanowisko wyjątkowe wśród malarzy florenckich. Włochy ówczesne nie uwolniły się jeszcze z pęt średniowiecza, które za grzech uważało wierne odtwarzanie natury. Najwybitniejsi nawet artyści ówcześni malowali Chrystusa, Matkę Boską i świętych jako istoty bezcielesne, o martwych twarzach i w nienaturalnych pozach. Każdą próbę wiernego odtworzenia modelu traktowano niemal jako bluźnierstwo. Ten średniowieczny stosunek do sztuki ciążył jeszcze nad malarstwem ówczesnym.

Andrea Verrocchio nie kroczył śladami swoich poprzedników. Nauczał swych uczniów, że sama praca nie wystarczy, że podstawą umiejętności malarskiej jest obserwacja i znajomość natury.

— Po to, żeby dobrze namalować ciało ludzkie — mówił z głębokim przekonaniem — trzeba je znać w najdrobniejszych szczegółach. Bez znajomości anatomii trudno oddać dobrze proporcję poszczególnych części.

W tej dziedzinie Verrocchio umiał o wiele więcej, niż większość jego współczesnych.

— Narysuj szkielet — grzmiał w pracowni jego natchniony głos — pokryj go mięśniami i żyłami, a wtedy dopiero obciągnij skórą!



Przepojony kultem prawdy namalował Verrocchio Jana Chrzciciela w sposób zdumiewająco żywy. Szczególnie wstrząsające wrażenie wywiera w tym obrazie ręka proroka z przeświecającymi przez skórę żyłami. Czujemy, że tak musi naprawdę wyglądać ręka pustelnika spędzającego całe miesiące na pustyni, ręka ascety, wycieńczona ciężkimi umartwieniami.

W pracowni znakomitego malarza czas leciał Leonardowi jak na skrzydłach. Pracował z zapałem pod kierunkiem nowego nauczyciela. Nie smucił się z powodu rozstania z rodziną. Wśród tej nowej artystycznej rodziny, do której się dostał, związanej mocno, nierozdzielnie wspólnymi zainteresowaniami, czuł się Leonardo doskonale.

Gdy Francesca rozplakała się przy pożegnaniu z towarzyszem swych dziecięcych zabaw, chłopiec rzekł pobłażliwym tonem dorosłego przemawiającego do dziecka:

— Nie ma powodu do płaczu, mamó Francesko. Musisz zrozumieć, że istnieją na świecie sprawy, dla których porzuca się wszystko, co kochamy. A zresztą, uspokój się: będę dostawał urlopy, a przyrzekam ci, że nie opuszczę żadnego!

Wielu utalentowanych uczniów malarza skupiło się dokoła nowego kolegi. Najbardziej jednak zżył się Leonardo z trzema. Byli to: Credi, Perugino i Botticelli — trzy najzupełniej różne charaktery. Lorenzo Credi, o kilka lat młodszy od Leonarda, był taki mały i słabowity, że Leonardo wziął go od razu pod swoją opiekę. Gdy zimą Verrocchio posyłał małego do sklepu po lakier lub farbę, a Lorenzo rzucał przygnębione spojrzenie na ulicę, po której hulał

wiatr, Leonardo starał się zawsze wymknąć niepostrzeżenie z pracowni i załatwić polecenie nauczyciela. Poprawiał rysunki Lorenza, a kiedy chłopiec chorował (co zdarzało się dość często), pielęgnował go i sprowadzał Toscanellego. Jak najtroskliwsza, najczulsza matka pocieszał Leonardo Lorenza w jego dziecięcych zmartwieniach, a chłopiec odpłacał mu za to miłością pełną uwielbienia. We wszystkim, co robił, starał się naśladować Leonarda.

— Credi! — wołał ze śmiechem któryś z kolegów. — Przecież włożyłeś czapkę inaczej, niż Leonardo! Zsuń ją trochę na bakier!

Zaczerwieniony po same białka oczu, Lorenzo zsuwał czapkę na bakier.

— Credi! — wołał inny kolega. — Zwariowałaś chyba! Siedzisz spokojnie, kiedy Leonardo wije się z bólu na ulicy przed domem Tomaso Aniolo... On umiera, Credi, twój Leonardo!

Blady jak płótno, z twarzą wykrzywioną cierpieniem biegł Lorenzo na ulicę ratować przyjaciela. A tymczasem urwisy zadowolone z figla śmiały się do łez.

— Credi! — wołano innym razem — czarownica powiedziała, że Leonardo umrze, jeżeli jego najlepszy przyjaciel nie zgodzi się uciąć dla niego swojej prawej ręki. Czy dasz odciąć sobie rękę, Credi?

Credi podnosił na mówiącego swoje szczere, dobre oczy i odpowiadał z prostotą:

— Naturalnie. Jak możesz pytać mnie o to?

Zupełnie inne stosunki łączyły Leonarda z Botticellim. Sandro Botticelli był od niego o wiele starszy. Verrocchio uważał go za najzdolniejszego ze

wszystkich swoich uczniów. Jego wielka, silna ręka władała pędzlem swobodnie i śmiało. Już wtedy zachwycał się Botticelli poezją Dantego, już wtedy żyły w jego wyobraźni obrazy dantejskiego raju i piekła, które próbował malować. W całej postaci Botticellego, zamysłonej, tajemniczej, zatopionej w podziwianiu cudów niedostrzegalnych dla innych, było coś nadludzkiego.

Leonardo przywiązał się bardzo do starszego kolegi. Czasem spierał się z nim, dowodząc słuszności swego poglądu, często zdarzało się też, że Botticelli przyznawał mu słuszność.

Trzecim przyjacielem Leonarda był Pietro Vannucci, przewany później Perugino. Pietro był wprawdzie starszy od Leonarda, ale nie przeszkadzało to wcale Leonardowi czuć swojej wyższości.

— Pietro, przyjacielu — mówił nieraz Leonardo z goryczą, widząc, jak pilnie Vannucci pracuje nad małym szkicem. — Powiedz mi, gdzie masz oczy? Przecież tu trzeba dać więcej cienia, a tu więcej światła! Spójrz, jak wszystko wygląda u ciebie blade i monotennie...

Pewną ręką, jakby bawiąc się pędzlem, Leonardo poprawiał pracę kolegi.

Z ciekawością i lękiem przyglądał się Verrocchio swemu nowemu uczniowi. Ten chłopiec, tak hojnie obdarzony przez naturę, zachwycał go i przerażał zarazem. Widział wyraźnie, że za lat parę wzejdzie nowa gwiazda — gwiazda Leonarda da Vinci, która zaćmi sławę Andrea Verrocchio. Nie poniżył się jednak do brzydkiej zazdrości. Ze smutną tkliwością czuwał zawsze nad pracą tego dziwnego chłopca, do-

brego, kochającego, a jednocześnie dumnego i upartego. Podczas gdy inni uczniowie wysłuchiwali rad i objaśnień nauczyciela z naiwnym zachwytem, Leonardo patrząc mu prosto w oczy rozważał każde zdanie. On jeden pozwalał sobie na krytykę obrazów Verrocchia. Był jednak nie tylko surowym sędzią: każdy smutek nauczyciela odbijał się żywym echem w jego sercu.

Gdy malarzowi nie szła praca, gdy opadało go zniechęcenie, Leonardo zakradał się cichutko do pracowni i siadał w kącie. Nieraz całymi godzinami Verrocchio siedział bez ruchu, ścisnąwszy głowę rękoma, z spojrzeniem utkwionym ponuro w jeden punkt. Leonardo trwał bez słowa w swoim kącie.

— To ty, Leonardo? — odzywał się wreszcie nauczyciel zmęczonym głosem. — Jesteś tu? To dobrze. Twój nauczyciel jest dziś do niczego. W głowie zupełna pustka... Nic, nic nie potrafię stworzyć! Zimno mi... Ty, Leonardo, masz całą przyszłość przed sobą. Czeka cię może sława, powodzenie... Nalej mi wina, chłopcze. Przeszło mi w gardle. Czyżbym stracił już wszystkie zdolności? Czyżbym był już do niczego?

Gdy Verrocchio milkł zrozpaczony, rozlegał się w pracowni równy, spokojny głos Leonarda. Przypominał wszystkie zasługi mistrza. Przypominał mu chwile natchnienia, tak drogie pamięci każdego artysty. Pod wpływem jego słów z twarzy Verrocchia znikał wyraz rozpacz, wyglądały się głębokie zmarszczki dokoła jego ust. Był znowu sobą, znów był pogodny i rześki, pełen energii i wiary w swoje siły.

A w sercu Leonarda rosło dziwne, pełne nie-

znanej słodyczy uczucie czulej litości, szacunku i miłości dla tego człowieka, który płakał przed chwilą na jego ramieniu jak małe, cierpiące dziecko.

Zakonnicy z Vallombrosa zamówili u Verrocchia obraz, którego tematem miał być chrzest Chrystusa. Malarz wziął się do pracy z zapalem. Pracował od wczesnego rana do późnego wieczora, zapominając o śnie, o jedzeniu, o odpoczynku... I oto zjawił się na płótnie Chrystus i Jan Chrzciel. W planie obrazu były jeszcze postaci dwóch aniołków wpatrzonych z czcią w Chrystusa. Ale praca z aniołami jakoś nie szła.

— Nie mam w wyobraźni żadnego obrazu — mówił zrozpaczony Verrocchio do Leonarda.

Nie mógł w żaden sposób namalować dwóch dziecięcych postaci... Wreszcie zjawił się na płótnie aniołek z brzydkim, grubym noskiem, głupekowatymi oczami, w ciężkich, sztywnych szatach, z grubym, ciężkim kręgiem światła dokoła głowy. Był to owoc rozpacz i zniecierpliwienia, ostatni wysiłek Verrocchia. Nie był już w stanie namalować drugiego aniołka. W jednym miejscu obrazu została biała plama. Zrozpaczony malarz chwycił nóż i chciał nim porządzić obraz. Ktoś zatrzymał siłą jego rękę.

— Maestro — rozległ się spokojny głos Leonarda — dziś i tak nic z tego nie będzie. Musi pan odpocząć. Przecież postaci Chrystusa i Jana są doskonałe. Proszę odpocząć, maestro — powtórzył z uporem.

Verrocchio poszedł posłusznie do swego pokoju.

Leonardo został sam przy obrazie. Dziwny uśmiech zabłysnął w oczach chłopca, wpatrzonych w Chrystusa i Jana. Lekki rumieniec wystąpił na je-

go bladą twarz. Schwycił gorączkowo paletę i pędzel.

— Co robisz, Leonardo! — rozległ się za plecami chłopca przerażony głos Credi. — Przecież maestro...

— Cicho bądź! — rzekł Leonardo surowym, uroczystym głosem. — Zobaczysz zaraz, jak będzie się modlił...

I oto na miejscu białej plamy zaczęły się wyłaniać kontury klęczącego anioła. Jego rozmarzone, przejęte oczy zdawały się rozumieć całą wagę tego, na co patrzyły. Kędzierzawą główkę otaczał niby obłoczek przejrzysty, subtelny krążek światła, szata leżała w pięknych, naturalnych fałdach.

— Święty Sebastianie! Przecież zrobiłeś to lepiej, niż sam maestro! — zawołał uszczęśliwiony i dumny z przyjaciela Credi.

W tej samej chwili na schodach ukazała się zgarbiona postać Verrocchia. Ciężko stąpając zeszedł Verrocchio do pracowni i stanął jak wryty.

— Kto to zrobił? Ty? — szepnął powoli, zwracając się do Leonarda.

— Ja, maestro — odrzekł spokojnie chłopiec, wycierając poplamione farbą ręce. — Ale jeżeli to jest złe, to można...

— Złe! — zawołał namiętnie Verrocchio. — Jeżeli nie ucząc się prawie, od razu prześcignąłeś mnie, to weź moją paletę, a ja zabiorę się do ryłka!

W słowach tych brzmiała i duma nauczyciela, i głęboki smutek artysty. Verrocchio stłumił jednak w sobie uczucie żalu i uścisnął Leonarda z całego serca.

Chłopiec Leonardo wyrósł na największego geniusza świata. Nie istnieje niemal żadna dziedzina nauki czy sztuki, w której Leonardo da Vinci nie położyłby jakichś zasług. Obdarzony niezwykłą urodą, zręcznością i siłą, wslawił się jako genialny malarz, rzeźbiarz, matematyk, fizyk i mechanik. Był twórcą geologii i jednym z najśmielszych pionierów lotnictwa. Straciwszy większą część swego majątku na próby nad budową maszyn latających, umarł w późnym wieku w samotności i niedostatku.

**Michał Anioł Buonarotti**



Michał Anioł

W roku 1475 florentyjczyk Ludovico-Leonardo Buonarroti-Simone został urzędnikiem w malowniczej miejscowości położonej w górach Arezo. Ledwo Ludovico i jego młoda żona dojechali konno do zamku, w którym mieli zamieszkać, gdy urodziło im się dziecko.

Ochrzczono je i nadano imię Michał Anioł.

— Spójrz — rzekła matka patrząc z dumą na małe stworzonko — spójrz, co za oczy! Już teraz jest w nich wyraz dumy. Zobaczysz, że mały wyrośnie na wielkiego człowieka!

— Niewątpliwie — odrzekł spokojnie Ludovico Buonarroti. — Michał Anioł będzie wysokim dostojnikiem, władcą florenckim, dumą naszego starego rodu.

Przerywając jedno drugiemu rodzice snuli wspiane plany o przyszłości syna.

A maleństwo leżąc w miękką usłanej kołysce patrzyło na nich z powagą wielkimi, czarnymi oczami, jakby rozumiejąc wszystko, o czym mówili.

Wkrótce rodzina Buonarottich przeniosła się do Florencji. Niedaleko Florencji, wśród wspaniałych gór leżała willa Buonarottich. Znajdowały się tu bogate kamieniołomy. Mieszkańcy okolicznych miasteczek znani byli w całych Włoszech jako najlepsi obrabiacze kamieni.

Gdy Ludovico Buonarotti przybył do Florencji, Michał Anioł był jeszcze bardzo mały. Uważając, że potrzeba mu koniecznie świeżego, wiejskiego powietrza, ojciec chciał go oddać na wychowanie rodzinie pewnego kamieniarza z Settignano.

— Settignano leży w odległości trzech mil od Florencji — tłumaczył zasmuconej żonie. — Będziesz mogła często odwiedzać dziecko. Zobaczysz, na jakiego wspaniałego wyrośnie tam chłopca!

Wreszcie signora Buonarotti westchnąwszy ustąpiła mężowi.

Odtąd życie małego Michała Anioła uległo zupełnej zmianie. Zamiast wysokich ścian zamku oglądał teraz ubogie lepianki prostaków. Cichą kołysankę matki zastąpił monotony stuk młotka i rydla. Otaczały go proste twarze spracowanych ludzi, niańczyły go zgrubiałe z trudu ręce. Rósł w świecie ciężkiej pracy i uporczywej walki z przyrodą.

Czas płynął niepostrzeżenie. Chłopiec łaził już po górach i mocno trzymał w ręku ciężki młot. Często zachwycony jakimś pięknym widokiem lub ciekawą twarzą kreślił śmiały rysunek na murze swego nowego domu.

— Co tam wyprawiasz, próżniaku! — krzyczał na chłopca robotnik.

Na opaloną twarz kamieniarza występował jed-

nak mimowolny dobrotliwy uśmiech. Chłopiec widział, że gniew jest udany i zabierał się znów do swojej „mazaniny“. Czegoż nie rysował wówczas na murach!

Signor Buonarotti zaczął się już zastanawiać nad dalszym losem syna: nie przestał jeszcze marzyć o tym, by jego chłopiec został wielkim dostojnikiem państwowym. Do osiągnięcia takiego stanowiska niezbędne było wykształcenie, toteż Michała Anioła oddano do szkoły Francesca Urbino we Florencji.

Jak wszystkie szkoły ówczesne, była to szkoła bardzo surowa i nudna. Uczono w niej czytać i pisać po łacinie, co uważano za podstawę wykształcenia każdego szlachetnie urodzonego młodzieńca. Tak samo jak we wszystkich ówczesnych szkołach, bito tu okrutnie za najdrobniejszy błąd czy przewinienie.

Nie przypadła do serca małemu Buonarotti szkoła Francesca Urbino. Wyrosły na swobodzie chłopiec nie mógł znieść nudy nauki szkolnej i surowości nauczycieli.

Każdego ranka matka wyprawiała troskliwie chłopca do szkoły. Układała w teczce jego książki i zeszyty, dawała śniadanie, zapinała guziki kurtki.

— Ach, chłopcze! — mówiła z niepokojem — znów spóźnisz się dziś do szkoły i dostaniesz burę od signora Francesco!

Wreszcie chłopiec wychodził. Z pośpiechem biegł przez ulice, żeby, broń Boże, nie spóźnić się i nie sprawić przykrości matce. Jak strzała pędzi przed siebie, skręca w przecznicę, wbiega na rynek i nagle... staje jak wryty. Teczka z książkami wypada mu z rąk. Z murów wspaniałego pałacu patrzają na niego spokoj-

ne oczy posągu... Cudowne piękno rzeźby przykuwa jak magnes spojrzenie małego ucznia: wydaje mu się, że czysty, biały marmur budzi się do życia, jakby zaczarowany. Idzie dalej ulicą, ale głowę ma zaprzątniętą jedną jedyną myślą. Zapomniał o szkole, o łacinie, o ciągach, pamięta tylko o potężnej postaci starożytnego boga... Nogi jakby same niosą chłopca na schody wspaniałej katedry. Z rozpaloną twarzą i wilgotnymi oczyma klęka przed posągami Madonny. Wydaje mu się, że Madonna żyje, że marmurowe jej usta uśmiechają się do niego... Oto zejdzie za chwilę z cokółtu, wyciągnie cudownie piękne ramiona i przytuli go do serca. Party jakąś nieznaną, słodką mocą Michał Anioł przyciska usta do marmuru... Z oczu jego płyną łzy...

Wreszcie wstaje z klęczek i powolnym krokiem wychodzi z katedry. Ale co się stało z jego wypchaną teczką? Leży w niej tylko jedna książka i zeszyt. Zgubił wszystkie zeszyty! Co powie na to signor Francesco? Chłopiec biegnie na rynek, wraca do domu, szuka wszędzie zgubionych zeszytów, ale ich nie znajduje. Z pochyloną nisko głową, powolnym, ospałym krokiem wlecze się Michał Anioł do szkoły...

## II

Jak należało się tego spodziewać, signor Francesco nie wita małego marzyciela zbyt serdecznie.

— Wstrętny leniuch! — rozlega się jego ostry głos. — Dziś znów spóźniłeś się do szkoły! Czy wiesz, który to już raz? Widzę, że masz znów wielką ochotę na różgi! Pokaż teczkę. Znów nie masz zeszytu z odmianą?

Rozgniewany nauczyciel chwyta z teczki chłopca jedyny ocalały zeszyt.

— Ty próżniaku! — krzyczy wpadając w wściekłość. — Jak wam się to podoba! Rysuje sobie w zeszytcie! Zamiast uczyć się łaciny zajmuje się rysowaniem jakichś obrzydliwych twarzy!

Nagle signor Francesco dostrzega na ścianie zrobiony węglem własny swój portret. Ceglasty rumieniec oblewa mu twarz.

— A... to... co... łajdaku! — krzyczy wygrażając pięścią. — Jak śmiałeś!

Mały malarz stoi z nisko pochyloną głową. Zapierać się nie może: portret udał mu się wyjątkowo...

— Klęknąć!

Bolesne uderzenie różgą spada na plecy Michała Anioła.

Nie koniec na tym. W domu wita go ojciec z surową, gniewną twarzą. Wie już wszystko. Signor Francesco jest tu także: grozi wydaleniem ze szkoły. Matka płacze w kąciuku. A mały winowajca stoi z głową pochyloną, z rozbłyśniętymi gniewem oczyma, w których nie ma ani jednej łzy. Kocha matkę, boli go jej płacz. Kocha także ojca. Nie kocha jednak wcale signora Francesco i nie chce prosić go o przebaczenie.

— Słuchaj, próżniaku — mówi ojciec. — Kijem wybiję ci głupstwa z głowy! Nie uczyć się łaciny, spóźniać się do szkoły, rysować na ścianach, kpić z nauczyciela!... Czy myślisz, że kształcę cię po to, żebyś był malarzem? W tej chwili na kolana przed nauczycielem!

W pokoju słychać ciche łkanie matki. Dla niej, tylko dla niej z głęboko ukrytym w sercu gniewem

dumny chłopiec klęka przed ojcem i signorem Francesco. Czuje się sponiewierany i skrzywdzony. Prawda, biją go wszyscy: i signor Francesco, i ojciec, i bracia. Wszyscy uważają go za leniucha — powinien do tego przywyknąć. Ale dziś jest niewinny! Dziś tak bardzo chciał zrobić matce przyjemność! Czy to jego wina, że na drodze do szkoły jest tyle posągów? A potem te rysunki... Cóż może poradzić na to, że ręka sama mimowoli kreśli je gdzie się tylko da?

Przewycięża wewnętrzny bunt i błady ze wstydu szepcze:

— Proszę o przebaczenie... signor... ale nie jestem winny, doprawdy nie jestem winny! Będę uczyć się łaciny, nie będę spóźniać się do szkoły i postaram się... postaram się nie rysować...

Michał Anioł wie doskonale, że tego ostatniego przyrzeczenia nie dotrzyma. Długo jeszcze po wyjściu nauczyciela i ojca siedzi ukryty w kącie pokoju. Całym ciałem jego wstrząsa łkanie.

Ani łzy matki, ani różgi ojca nie zabiły w chłopcu namiętnej miłości do posągów. Po dawnemu spóźniał się często do szkoły, a zeszyty jego były też po dawnemu upstrzone mnóstwem najrozmaitszych rysunków.

Pewnego razu przechodząc przez rynek natknął się Michał Anioł na nieznanego chłopca, prawie rówieśnika. Kurtka chłopca była cała poplamiona farbą. Patrzył z uśmiechem na ucznia, który stał wzdychając przed frontonem pięknego pałacu.

— Chciałbyś zrobić coś takiego? — zapytał chłopiec Michała Anioła, wskazując na stojący w niszy posąg.

— Rozumie się, że chciałbym — odpowiedział Michał Anioł ponuro.

— Widuję cię często z okna. Gapisz się na posągi, jakbyś je chciał połknąć! — rzekł chłopiec wybuchając głośnym, serdecznym śmiechem.

— Jesteś uczniem? — obrzucił teczkę Michała Anioła lekceważącym spojrzeniem. — Jakie to musi być nudne: siedzieć i kuć łacinę! To nie to, co być uczniem artysty! Prawda, że to przyjemne zajęcie — pomagać w wykuwaniu takich posągów, jak ten, albo jeszcze piękniejszych? Jestem właśnie uczniem artysty.

Na miłą, figlarną twarzą chłopca wystąpił uśmiech dumy. Biedny Michał Anioł patrzył ponuro na swoje książki.

— Jestem uczniem słynnego Domenica Ghirlandaio — mówił dalej chłopiec z dumą. — Jestem Francesco Granacci — także niezłe imię, z pewnością będzie kiedyś tak samo sławne, jak imię mojego nauczyciela. A jeżeli nie wierzysz, to możesz sprawdzić na moich pięściach.

Michał Anioł nie był jednak wcale usposobiony do próbowania pięści Francesca. Spojrzył na niego z szacunkiem i z prostotą odpowiedział:

— A ja nazywam się Michał Anioł Buonarroti. Proszę cię, zaprowadź mnie do pracowni twego nauczyciela.

— Dobrze — odrzekł z wysoka Francesco, któremu pochlebila prośba Michała Anioła. — Poproszę maestro o pozwolenie, a ty wracając ze szkoły wstąp do nas w każdym razie.



Był to cudowny dzień dla małego Buonarotti. Oczywiście spóźnił się do szkoły i został za to surowo ukarany, ale mimo to czuł się jak w raj.

### III

Następnego dnia Michał Anioł udał się do pracowni Ghirlandaia. Nie zdążył jeszcze zapukać do drzwi, gdy wyjrzał z nich figlarny pyszczek Francesca.

— A, to ty! — zawołał serdecznie. — Wejdź! Maestro jest dziś w dobrym humorze i pozwolił ci przyjść. A wiesz, wczoraj dostałem porządnie w skórę za to, że zagadałem się z tobą na rynku. Uważaj, żebyś nie przewrócił sztalug. Tu, tu, chodź tu!

Nieśmiało, z czcią, jakby to był próg świątyni, przestąpił Michał Anioł próg pracowni. Zatopiony w pracy malarz nie zwrócił na chłopca żadnej uwagi. Z rękoma przyciśniętymi do bijącego mocno serca, z oczyma rozbłyśniętymi z zachwytu patrzył Michał Anioł na niezliczone obrazy i szkice. Wszystko wydało mu się tu cudowne — nawet flizy podłogi. A Francesco jakby drażniąc się z nim, szeptał:

— Zazdrościsz nam, co? No więc puść kantem swoje gryzmoły i zostań u nas! Zobaczysz, jak będzie pysznie!

O niczym innym nie myślał Michał Anioł, gdy wychodził oszołomiony z pracowni malarza. Odtąd zaniedbywał szkołę jeszcze bardziej niż przedtem. Nie działały na niego ani prośby matki, ani gniew i różgi ojca. Całymi dniami i nocami marzył o pracowni Ghirlandaia.

Wreszcie pewnego dnia uśmiechnęło się do nie-

go szczęście. Malarz oderwawszy się na chwilę od pracy spojrział na małego Buonarotti. Widział chłopca już nieraz w pracowni, ale nie zwracał na niego nigdy uwagi. Teraz nagle uderzyły go roziskrzone oczy chłopca, z zachwytem wlepione w jego obraz.

— Po co tu przychodzisz? — zapytał. — Podobna ci się zapewne mój obraz?

— Ach, bardzo, maestro! — zawołał chłopiec z zapałem.

— A chciałbyś sam tak pracować?

Oczy chłopca zabłyśły jeszcze ogniościej. Kiwnął w milczeniu głową.

Nagle zza jego pleców wyrósł figlarny pyszczek Francesca.

— Ależ on już teraz rysuje, maestro! — zawołał.

— Na pewno i obraz pana zdążył już zrobić węglem w swoim zeszytce!

Malarz uśmiechnął się pobłażliwie.

— Wiesz co, przyjacielu? — rzekł. — Jutro przyniesiesz mi wszystkie swoje rysunki, a ja zobaczę, czy nadajesz się do mojej bandy.

Następnego dnia przyniósł Michał Anioł do pracowni cały swój dobytek. Serce waliło mu jak młotem, gdy podawał malarzowi zeszyty.

Spokojnie, powoli przewracał Ghirlandaio kartki i w milczeniu, uważnie oglądał szkice. Jego pochmurna twarz rozjaśniała się coraz bardziej. Wreszcie podniósł głowę, obrzucił ciepłym spojrzeniem zawstydzonego chłopca i położył mu rękę na ramieniu. A chociaż nie wyrzekł ani jednego słowa, mały Buonarotti zrozumiał, że malarz jest z niego zadowolony.

Ghirlandaio nie lubił odkładać spraw, które miał do załatwienia. Następnego dnia starannie ubrany udał się do ojca chłopca. Słynne nazwisko dawało mu wstęp do najlepszych domów florenckich.

Signor Buonarotti przyjął gościa z wyszukaną uprzejmością.

— Cóż za zaszczyt, szanowny sąsiedzie! Szczęśliwy jestem, że mogę pana wreszcie przyjąć w moich skromnych progach!

— Cały zaszczyt po mojej stronie — odpowiedział tym samym tonem malarz. — Każdy florentyńczyk byłby dumny z odwiedzin w domu Buonarottich...

Dosyć długo jeszcze prawili sobie nawzajem grzeczności, wreszcie Ghirlandaio przystąpił do sprawy.

— Zapewne zastanawia się pan, signor, nad tym, co sprowadziło mnie do pana. Otóż przyszedłem prosić, by pozwolił mi pan uczynić ze swego syna Michała Anioła dobrego malarza. Jestem przekonany, że chłopiec nie zawiedzie nadziei, które w nim pokładałem.

Ludovico Buonarotti zbladł jak płótno. Zaciśnął pięści, oczy mu zabłysły, wyglądał, jakby miał rzucić się na malarza.

— Michała Anioła? — zapytał ochryple — mojego syna?

Przesunął ręką po czole i jakby oprzytomniawszy usiadł. Oczy mu zgasły. Usta wykrzywił uśmiech pogardy. Czego chce od niego ten człowiek? Ukraść mu syna i uczynić z niego nędznego pacykarza? Jego syn ma być pacykarzem? To się jeszcze zobaczy!

Buonarotti wstał, wolnym krokiem podszedł do drzwi i krzyknął:

— Hej, kto tam! Zawołaj mi tu natychmiast mego syna Michała Anioła!

Po chwili chłopiec stanął na progu. Nieruchomy, blady patrzył ojcu prosto w twarz. W jego płonących oczach była taka stanowczość, taka nieugięta wola, że serce signora Buonarotti drgnęło. Była to straszna chwila i dla ojca, i dla syna. Chłopiec czuł, że teraz właśnie rozstrzygnie się jego los. Wolał umrzeć niż ustąpić.

W duszy ojca toczyła się ciężka walka. Widział, że groźby ani różgi nie odniosą żadnego skutku. Opuścza go syn ukochany, w którym pokładał tak wielkie nadzieje... Zostawia ojca dla zawodu kamieniarza, malarza, artysty na posyłki... W tej chwili stracił signor Buonarotti wszystkie złudzenia, które hodował w duszy tyle lat, wszystkie ambitne plany, wszystkie dumne marzenia. Czuł wyraźnie, że chłopiec jest silniejszy od niego...

Powolnym ruchem wziął pióro do ręki i drżącą ręką zaczął pisać:

„Roku pańskiego tysiąc czterysta osiemdziesiątego ósmego, dnia pierwszego kwietnia ja, Ludovico, syn Leonarda Buonarotti, umieszczam syna swego Michała Anioła u Domenica Ghirlandaio na okres trzyletni na następujących warunkach: Michał Anioł uczyć się ma malarstwa; ponadto obowiązany jest spełniać polecenia nauczyciela. W zamian za to otrzymać ma 24 floreny: 6 w ciągu pierwszego roku, osiem w ciągu drugiego i dziesięć w ciągu trzeciego. Razem — 86 lirów“.

Gdy Ghirlandaio opuścił pokój wraz ze swym nowym uczniem, Ludovico Buonarroti ukrył gwałtownie twarz w dłoniach. Nie wierzył w talent syna i bał się o jego przyszłość...

#### IV

Michał Anioł zamieszkał u Ghirlandaia. Spał razem z Francesco na górze w pracowni, biegał po sprawunki i bardzo często dostawał w skórę. W owych czasach w pracowniach malarzy, tak samo jak w szkołach, nie robiono z uczniami zbyt wielkich ceremonii. Mimo to uczniowie byli bardzo przywiązani do swych nauczycieli. Francesco Granacci błyskał gniewnie oczami i zaciskał pięści, jeżeli tylko wydało mu się, że uczniowie innego malarza mówią z niedostatecznym szacunkiem o jego maestro.

Michał Anioł miał czternaście lat, gdy Ghirlandaio otrzymał wielkie zamówienie: miał odrestaurować zniszczone przez wilgoć wspaniałe malowidło na chórze kościoła Santa Maria Novella. Wśród uczniów, których malarz wziął sobie do pomocy, był również Michał Anioł. Wzniesiono rusztowania i zabrano się do roboty. Sam Ghirlandaio, majstrowie, uczniowie pracowali z zapamiętaniem, w najróżniejszych pozach. Niedługo myśląc naszkicował Michał Anioł tę oryginalną scenę. Szkic zrobił na malarzu wstrząsające wrażenie. Chłopiec przedstawił jego i pomocników w najtrudniejszych pozach. Podobieństwo i wyraz twarzy uchwycone były doskonale. Było rzeczą po prostu zagadkową, skąd umiał tak rysować uczeń, który dopiero zaczął się uczyć.

Francesco zaśmiał się rozpoznawszy na rysunku kolegi swoją własną postać.

— Spójrz — szepnął do Michała Anioła mrucząc łobuzersko jedno oko — jak maestro zamyslił się nad twoim rysunkiem.

Z wielką uwagą, w której był cień smutku, wpatrywał się Ghirlandaio w szkic. Wreszcie rzekł do-rotliwie:

— Wiesz co, mały, zdaje mi się, że robisz to lepiej ode mnie!

Michał Anioł nie poprzestawał na pracy w kościele. W wolnych chwilach robił kopie z obrazów i sztychów znalezionych w pracowni. Między innymi znalazł tam słynny sztych „Kuszenie św. Antoniego“. Złe duchy dręczą świętego Antoniego i unoszą go wysoko nad ziemią. Wpijają się w niego, drą pazurami jego odzież, kaleczą ciało, wyrrywają mu z rąk księgę świętą... Sztych budził w patrzących grozę i przerażenie. Michał Anioł postanowił zrobić z niego kopię olejnymi farbami. Wrodzone wycucie artystyczne podsunęło mu myśl, że wrażenie będzie tym mocniejsze, im prawdziwiej namalowane będą straszdyła. W tym celu zaczął obserwować zwierzęta.

Codziennie rankiem w tajemnicy przed wszystkimi szedł Michał Anioł na rynek do sklepów, w których sprzedawano mięso i ryby. Tam przyglądał się ptakom o najróżniejszych kształtach i barwach, rogom, zębom i szczękom czworonogów, dziwnym kształtom ryb. Wreszcie mały malarz zabrał się gorączkowo do pracy. Wszystko, co widział w świecie zwierzęcym wstrętnego i strasznego — wszystko to przeniósł na postacie demonów-dręczycieli.

Gdy obraz był już gotów, pokazał go Michał Anioł swemu nauczycielowi. Od tej chwili w sercu Ghirlandaia zapłonęła dzika zazdrość. Na próżno starał się ją malarz pokonać.

Nie mógł znieść obok siebie tego młodego orła, który lada chwila rozpostrze skrzydła do wielkiego, wspaniałego lotu i daleko w tyle zostawi swego nauczyciela. Michał Anioł zaczął mu zawadzać. Był z niego teraz stale niezadowolony, gniewał się bez powodu, przyczepiał się do każdego głupstwa. Dumny i hardy chłopiec cierpiał nad tym bardzo. Nie mógł na to nic poradzić — umowa zmuszała go do wykonywania wszelkich poleceń malarza w ciągu trzech lat. Zaczął stronić od kolegów, stawał się coraz bardziej ponury i zamknięty w sobie.

Pewnego razu doprowadził Michał Anioł malarza do wściekłego gniewu. Ghirlandaio kazał chłopcu skopiować swój rysunek. Michał Anioł wykonał polecenie w taki sposób, że malarz wziął kopię za oryginał.

— Pomylił się pan, maestro — rzekł chłopiec spokojnie. — Oto rysunek pana, to tylko moja kopia.

Ghirlandaio rzucił coś ochrypłym głosem, podał na kawałki swój rysunek, chwycił kopię Michała Anioła i wybiegł gwałtownie z pracowni.

Michał Anioł zrozumiał, że nie może dłużej zostać uczniem tego człowieka. Ani przed rodzicami, ani przed braćmi nie zdradził się nigdy słówkiem, jak ciężkie ma życie. Duma nie pozwalała mu skarżyć się na to, o co tak zawzięcie walczył z ojcem.

Czujne oczy matki dostrzegły jednak cierpienie chłopca. Signora Buonarrotti wpatrywała się z bólem w jego wychudłą, energiczną twarz, w czarne, gorącz-

kowo płonące oczy, w głęboką zmarszczkę koło ust. Znając skrytość syna nie pytała jednak o nic...

## V

Niedaleko Florencji, na stoku malowniczego wzgórza leżała wspaniała willa — własność Medyceuszów. Z okien willi roztaczał się cudowny widok na okolicę. Dokoła zieleń się wspaniałe ogrody, a w dole, u podnóża góry pod ciemnym lazurem włoskiego nieba leżało miasto, strzelając w górę dumnymi wieżami kościołów. I pałac, i ogrody pełne były posągów, obrazów, urn. Każdy drobiazg był tu arcydziełem wytwornego smaku i piękna.

W willi Medyceuszów odbywała się wielka zabawa. W ogrodach wznosiły się wspaniałe łuki triumfalne — dzieło najznakomitszych florenckich malarzy. Pachnące, barwne girlandy kwiatów pokrywały siecią mury pałacowe, wiązały smukłe pnie topoli fantastycznymi splotami i ginęły wśród ciemnej zieleni bluszczów. Na wielkim dziedzińcu pałacowym odbywały się zawody pięknych nagich młodzieńców florenckich. A gdy willę spowiła ciemna południowa noc i miliardy gwiazd zajaśniały na głębokim błękitnie nieba — we wszystkich kątach ogrodu zapłonęły purpurą pochodnie. Mocne ich światło padało na drzemiące konary drzew, ślizgało się po białym marmurze posągów, zapalało błyski w drogocennych pasach i broni gości, wysadzanych szlachetnymi kamieniami.

Zarty, śmiech, wesołe pieśni zlewały się z szczękiem mieczy i cichym szemraniem wodotrysków. Delikatne głosy młodzieńców śpiewających pieśń na

część Lorenza rozplywały się miękką falą wśród ciemnego gąszczu zieleni. Zza drzew przyglądała się ukradkiem wszystkim tym wspaniałościom para błyszczących dziecięcych oczu. To Francesco przyszedł popatrzeć na zachwycające widowisko. Milczący i smutny Michał Anioł stał za nim oparty o pień topoli.

Lorenzo Medyceusz przechadzając się wśród gości zauważył Francesca zerkającego z ukrycia na wspaniałą zabawę. Pociągnięty figlarnym pyszczkiem chłopca podszedł do niego.

— Niebrzydka zabawa, co? — zapytał z uśmiechem.

— Boska! — zawołał gorąco zarumieniony z podniecenia chłopiec.

— Podoba ci się tu, prawda?

— Ach, tak!

— Sądząc z twego ubioru, musisz być uczniem jakiegoś malarza. Zgadłem, czy nie?

— Tak jest, Wasza Wysokość — odpowiedział chłopiec rezolutnie. — Jestem Francesco Granacci, a to mój kolega, Michał Anioł Buonarotti. Jesteśmy obydwaj uczniami maestra Ghirlandaio.

Mówiąc to Francesco pchnął nieco Michała Anioła, który stał ukryty za drzewem. Ale twarz małego Buonarotti nie była tak pociągająca, jak twarz Francesca. Toteż Lorenzo nie zwrócił na niego uwagi.

— Wiesz co, chłopcze — rzekł z uśmiechem do Francesca. — Jeżeli chcesz, to możesz przychodzić tu sobie z kolegą i podziwiać dzieła sztuki. Nieśmiertelne, niezniszczalne piękno sztuki — to jedyna rzecz, która naprawdę warta jest zachwyty.

Skinąwszy chłopcom głową Lorenzo znikł w ogrodowej alei.

Odtąd Michał Anioł spędzał w willi Medyceuszów wszystkie wolne chwile. Progi jej przestępował zawsze z sercem zamierającym ze szczęścia i tęsknoty. Patrząc na cudowne posągi starożytnych mistrzów greckich czuł się taki mały, tak nic nie znaczący! Z lękiem i uporem studiował każdą linię, każde wygięcie pięknych ciał lub przygnębiony swą nieporadnością siedział nieruchomy, zrozpaczony całymi godzinami przed posągiem z ściągniętymi ponuro brwiami, z wzrokiem utkwionym w jeden punkt...

Czuł, że wraz ze śmiercią starożytnych rzeźbiarzy umarła sama rzeźba. Czymże były wobec tych porywających arcydzieł wszystkie marne próby artystów współczesnych? Czymże był on sam — marny uczeń niemniej marnego nauczyciela?...

Posępne te myśli nie zniechęcały go jednak do pracy. Przeciwnie — podniecały upór, rozplamieniały wolę. Umrze albo dopnie swego — odrodzenia prawdziwej, doskonałej sztuki!

Z zaciśniętymi zębami, z ponurą, namiętą energią zabrał się Michał Anioł do studiowania rzeźby starożytnej.

Po pewnym czasie uznał, że stać go już na kopiowanie arcydzieł. W tym celu wybrał głowę śmiejącego się fauna. Do pracy potrzebny był mu jednak materiał, a nie miał pieniędzy na kupno marmuru.

W owym czasie w willi Medyceuszów prowadzono roboty budowlane. Obok pałacu leżały płyty cudownego marmuru. Z bolesną zazdrością zatrzymywały się na nich oczy małego artysty.

Pewnego razu spotkał Michał Anioł na dziedzińcu jednego z zatrudnionych tam kamieniarzy. Kamieniarz wydał mu się dziwnie znajomy. Przyjrzał się uważnie jego opalonej twarzy.

— Julio! Julio z Settignano! — zawołał nagle. — To ty!

— Rozumie się, że ja!

Twarz robotnika rozplynęła się w uśmiechu.

— Od razu cię poznałem — mówił Michał Anioł podniecony. — Pamiętasz, jak dawałeś mi do zabawy swój wielki młot i uczyłeś mię wdrapywać się na skały? A pamiętasz, jak raz wytargałeś mnie za uszy?

Julio wesoło potakiwał.

— To wtedy, kiedy ściągnąłeś mi rydel — odrzekł śmiejąc się.

— A ja dawno już ci się przyglądam i myślę sobie, że wyglądasz kropka w kropkę jak mały Michał Anioł. Ale przepraszam! Takiego młodzieńca trzeba już nazywać signorem Buonarotti! — zawołał Julio wyciągając do chłopca swoją wielką, spracowaną rękę.

## VI

Tego samego dnia Michał Anioł otrzymał od Julia kawałek cudownego, przejrzystego marmuru, w którym grały wszystkie barwy tęczy. Teraz mógł wreszcie urzeczywistnić swoje marzenie — skopiować głowę fauna.

W cieniu rozłożystych platanów zaczął Michał Anioł wyrąbywać z marmuru głowę mitycznego pół-

boga. Pracował w głębokim zamyśleniu, niezmordowanie, uparcie. W miarę tego jak z pod jego rylca w obłokach białego pyłu zaczęły się wyłaniać zarysy kształtów, w małym rzeźbiarzu rosło coraz bardziej poczucie siły i zachwyty. Nie dostrzegał zapadnięcia zmroku — przerywał pracę dopiero wśród zupełnych ciemności. Wracał znów o świcie. Ghirlandaio nie przeszkadzał mu w tym: potrafił ocenić zaszczyt, który spotkał chłopca.

Praca miała się już ku końcowi. Z bryły marmuru patrzyła już roześmiana twarz fauna. Odłożywszy narzędzia Michał Anioł odstał w tył i zmrużonymi oczyma przyglądał się bacznie swemu dziełu. Wyraz twarzy jego wskazywał, że był z siebie zadowolony.

Wpatrzony w swoją pracę nie dostrzegł, że za plecami jego stoi już od paru chwil mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni i przygląda mu się z uśmiechem.

— Posłuchaj, chłopcze — usłyszał nagle żartobliwy głos. — Chciałeś pewnie skopiować tego fauna?

— Oczywiście — odrzekł mały rzeźbiarz z dumą.

— Wcale nieźle — rzekł śmiejący się głos. — A co najważniejsza, jesteś, zdaje się, sam bardzo zadowolony ze swojej pracy. Odpowiedz mi jednak na jedno pytanie: czy starcy miewają takie piękne, białe zęby?

Purpurowy rumieniec zalał twarz chłopca. Uwaga ta zraniła jego miłość własną: nieznajomy miał słusność! Nie odpowiedział ani słowa. Czekał

ponuro, kiedy dziwny signor odejdzie. Skoro tylko został sam, chwycił gorączkowo narzędzie i wylał swemu faunowi dwa zęby.

Następnego ranka udał się Michał Anioł do willi, aby zabrać swoją rzeźbę do domu. Gdy przyszedł jednak na miejsce, w którym pracował, nie znalazł tam swego fauna. Stał rozglądając się bezradnie dokoła, zmieszany i zrozpaczony; nagle w głębi alei ukazała się postać nieznanego, który poprzedniego dnia rozmawiał z chłopcem. Był to Lorenzo Medyceusz.

— Dzień dobry, przyjacielu! — rzekł Lorenzo przyjaźnie. — Chodź ze mną — nie zabiorę ci dużo czasu.

Wziął chłopca za rękę i wprowadził go do pałacu. Szli szybko przez długi szereg sal, wreszcie w jednej z nich, jakby wyjętej z bajki, Lorenzo zatrzymał się i puścił rękę chłopca. Milcząc wskazał swemu towarzyszowi wysoki słupek ustawiony pod ścianą. Michał Anioł spojrzął i osłupiał. Na wytwornym, toczonym stoliku, zalany miętko promieniami słońca stał jego faun! W drżącym, migotliwym świetle, które ślizgało się po przejrzystym marmurze, roześmiana głowa starca wyglądała zupełnie jak żywa.

— Widzisz — rzekł Lorenzo — zachowałem sobie twoją pracę na pamiątkę. To dla niej najlepsza pochwała.

Była to rzeczywiście najwyższa pochwała dla małego, niedoświadczonego rzeźbiarza. Lorenzo Medyceusz, subtelny znawca sztuki, zatrzymał dla siebie pracę nikomu nieznanego chłopca. Michał Anioł pod-

niósł na niego oczy pełne łez. Nie mógł wymówić słowa. A Lorenzo ciągnął dalej z serdeczną powagą:

— Twoje miejsce jest także tu. Mam ochotę zatrzymać cię wraz z twym faunem. Zresztą jeszcze o tym pomówimy.

Po paru dniach mały Buonarroti przeprowadził się ze swym skromnym dobytkiem do willi Medyceuszów, która stała się szkołą dla genialnego chłopca. Pod opieką Lorenza Medyceusza wyrósł na wielkiego artystę.

Okres dojrzałości artystycznej Michała Anioła przypada na burzliwe czasy walk domowych gnębiących Rzeczpospolitą Florencką. Medyceusze zostali wygnani. Sztuka upadła.

Zaczęły się nieskończone wędrówki Michała Anioła...

Mimo wielkiej sławy, jaką zdobył sobie wśród współczesnych, cierpiał Michał Anioł niedostatek przez całe życie. Umarł w samotności i ubóstwie 18 lutego 1564 roku. Krótki był jego testament:

„Duszę moją oddaję Bogu, ciało ziemi, wszystko, co posiadam — rodzinie“.

**Rafael Sancio**





Raphael Sanzio

W Apeninach, nad brzegiem morza Adriatyckiego leży małe miasteczko włoskie Urbino. Malowniczo sterczą ku niebu dzikie, poszarpane szczyty gór, spośród których wyrasta dumna fasada książęcego zamku.

Z tarasu zamkowego widać jak na dłoni całą okolicę. Wzgórza pokryte gajami oliwnymi i winnicami zlewają się w oddali z błękitnymi falami morza.

Pewnego dnia roku 1489 panowało w Urbino wielkie podniecenie.

Młody książę Gvidobaldo Urbino obchodził uroczystość swoich zaślubin. Miasteczko przybrało wygląd odświętny. Na ulicach ustawiono bramy triumfalne malowane przez najlepszych artystów. Z dachów, tarasów, okien zwisały całe kaskady wonnego kwiecia. Kwiatami usłana też była droga, którą przeciągnąć miał orszak weselny. Uroczysty, głęboki dźwięk dzwonów wtórował okrzykom tłumu śpieszącego ku zamkowi księcia. Wrota zamku otwarte dziś są dla wszystkich.

— Uwaga! Jada! Jada! — przebiega szept przez tłum.

Zjawia się orszak weselny.

— Księżna! — rozlega się w tłumie. — Na białym rumaku w szacie ze złotogłowia!

— Kłania się! Uśmiecha! Jaka piękna!

Tłum rozstępuje się przed księżną Urbino, która z królewską godnością zajżdża przed zamek na wspaniałym rumaku.

Uczepiony mocno ręki młodej kobiety stoi w tłumie mały, może sześćioletni chłopak. Matka ochrania go troskliwie przed naporem tłumy. Twarzyczka dziecka płonie z podniecenia. Rozwichrzone złote loki wymykają się spod aksamitnej czapeczki.

Oto wchodzi z matką na wielki dziedziniec zamkowy, otoczony półkolem ław. Szeroko rozwarte oczy chłopca patrzą ze zdumieniem na przepych i zbytek książęcego zamku.

— Tu Rafaelu, tu chłopcze! — mówi młoda kobieta siadając na jednej z górnych ław. — Stąd będzie wszystko doskonale widać. Spójrz! Ojciec! Giovanni! Czy widzi nas?

Giovanni Santi, znany w Urbino malarz, nie dostrzega jednak ani żony, ani syna. Obrzuciwszy tłum zastroskanym spojrzeniem śpieszy dalej do komnat książęcych. Żona widzi tylko, jak od szybkich kroków drżą i powiewają białe pióra na jego berecie. Giovanni nie ma czasu: jest jednym z głównych organizatorów obchodu.

Lecz oto młodzieńcy ustawili się już w dwa rzędy przygotowując się do ulubionej gry „aita“. Mają na sobie obcisłe ubrania uwidoczniające piękne

kształty ciała. Oczy ich błyszczą z podniecenia. Rozległ się sygnał: zaczęto grę.

Książę ze swą młodą małżonką, oparci o kolunny tarasu, przyglądają się z zacięciem walce młodzieńców, z których każdy stara się przeciągnąć przeciwnika na swoją stronę.

Długo żadna z partyj nie brała zdecydowanie góry nad drugą. Wreszcie szala zwycięstwa przechyliła się na stronę lewego rzędu. Podniecony tłum wybuchł okrzykami zachwytu. Książę zszedł z tarasu i zaczął rozdawać zwycięzcom wspaniałe podarunki.

A tymczasem zza ark oplecionych kwiatami, z tajemniczego, wonnego półmroku cienistych ogrodowych alei płynęły słodkie dźwięki muzyki i śpiewu, głośnie okrzyki i wesoły śmiech gości. Przez otwarte podwoje pałacu widać służbę uwijającą się z srebrnymi półmiskami i kryształowymi pucharami.

— Czas już na nas, Rafaelu! — rzekła signora Santi. — Późno, powinieneś już spać.

Chłopiec westchnął jakby ze snu zbudzony i poszedł posłusznie za matką.

Uroczą twarzyczka dziecka przyciągnęła wzrok księżnej. Zbliżywszy się do małego pochyliła się nad kędzierzawą główką z serdecznym uśmiechem.

— To Rafael, synek Giovanniego Santi — rozległo się w tłumie przypatrującym się tej scenie.

Signora Magia Santi śpieszyła z chłopcem wąskimi ulicami Urbino. Znalazłszy się w domu weszła do pracowni męża. Był to ulubiony pokój matki i syna. Tu signora Magia przesiadywała całymi godzinami z robótką w ręku, przypatrując się pracy mę-

za. Tu dziecięce rączki małego Rafaela nauczyły się nieśmiało wodzić węglem po starych kartonach ojca.

Mimo zmęczenia i senności, chłopiec nie przestawał mówić z zachwytem o tym, co widział w zamku.

— Jakie to wszystko było piękne, mamó! — mówił zamykając klejące się ze snu oczy. — Jakie piękne zawody! Kiedy będę duży, będę też grać w „aita“ i namaluję to!

Giovanni Santi opuścił zamek dopiero nad ranem.. Signora Magia oczekiwała go drżąc, budząc się przy najłżejszym szmerze. Po powrocie zachwycony malarz opowiadał żonie i synkowi cały przebieg wspaniałej zabawy.

— Książę Gvidobaldo jest tak samo hojny jak jego nieboszczyk ojciec. Pamiętasz, Magio, jak kochał sztukę? Otaczał się zawsze poetami i malarzami z całego świata. A jaki był wykształcony, jak świetnie znał grekę i łacinę! Jaką miał wspaniałą bibliotekę! Zbierał wszystko co piękne, każdy talent znajdował w nim poparcie. Cudowne to były czasy, Magio!

Malarz /zamyślił się, wspominając przeszłość... Myślał o swojej wczesnej młodości, o tym, jak pokochał Magię, jak urodził się jego mały Rafael.

Giovanni Santi pochodził z rodziny kupieckiej. Majątek jej stanowił dom, sklepik, w którym można było kupić najrozmaitsze przedmioty codziennego użytku, i kilka skrawków ziemi, nabywanych stopniowo za pieniądze osiągnięte z handlu. Rodzina Santi stawała się z roku na rok bogatsza, gdy nagle spadło na nią nieszczęście. W owych czasach we Włoszech,

składających się z oddzielnych, drobnych państweczek, wybuchały często wojny domowe. Giovanni był małym chłopcem, gdy podczas jednej z takich wojen wojska nieprzyjacielskie wtargnęły do miasteczka, w którym mieszkał z rodzicami. Cały majątek wraz z domem uległ zupełnemu zniszczeniu. Zrujnowani zupełnie uciekli Santi z rodzinnego miasteczka i osiedli w Urbino. Dopiero po paru latach ciężkich trudów i niedostatku dorobili się znów małego majątku.

Tymczasem Giovanni podrośł. Zawód ojca nie pociągał go jednak wcale. Marzył o tym, by zostać malarzem. Pokochawszy piękną Magię, córkę możnego kupca, ożenił się z nią. W kwietniu 1483 r. urodził im się chłopiec, którego nazwali Rafaelem. Dwa lata później zmarł stary Santi.

Objąwszy po ojcu dość znaczny majątek Giovanni urzeczywistnił nareszcie swoje gorące marzenie — otworzył pracownię malarską. Zgodnie ze zwyczajami ówczesnymi przyjmował najróżnorodniejsze zamówienia: wykonywał obrazki święte, chorągwie, ołtarze i szereg przedmiotów codziennego użytku. Taka różnorodność pracy artystycznej była w owej epoce zjawiskiem powszednim.

Giovanni Santi stał się sławny. Dzieła jego różniły się jaskrawo od dzieł jego kolegów, przeważnie bardzo surowych w formie i zniekształcających rzeczywistość. W pracach Giovanniego była naturalność, subtelnosc i miękkość barw. Był to pierwszy nauczyciel małego Rafaela.

Dzięki rozgłosowi, który zdobył, Giovanni otrzymywał dużo zamówień nie tylko w Urbino, lecz także w okolicy. Malował ściany w kościołach i pałacach

bogaczy, obrazy dla klasztorów. W małym synku miał stałego i wiernego pomocnika. Chłopiec wędrował z ojcem do wsi okolicznych, dźwigając pędzle i paletę, i rozglądając się uważnie dokoła. Stare podania ludowe zasłyszane w rozmaitych miejscowościach zaczęły już we wczesnym dzieciństwie podniecać wyobraźnię Rafaela.

## II.

Jest bardzo wczesny, słoneczny poranek. Ulice Urbino zaczynają się już po trochu ożywiać. Z domu Santich wychodzi Rafael. Zamykając drzwi odwraca się i kiwa głową matce wyglądającej z okna. Potem mrużąc oczy przed jaskrawymi promieniami słońca biegnie ulicami radosny i uśmiechnięty. Zatrzymuje się przed kościołem. Chce wejść, ale ciężkie drzwi nie ustępują pod naporem słabych dziecięcych rączek. Nagle otwierają się na oścież. Staje w nich Giovanni Santi w ubraniu poplamionym farbą.

— Ach, to ty, mój mały! — mówi wesoło. — Zamknij drzwi. Ja nie mam czasu.

Chłopiec przestępuje próg świątyni. Zadarłszy głowę do góry przygląda się bacznie malowidłu Madonny otoczonej aniołkami. W twarzyczkach aniołków poznaje Rafael własną twarz. Giovanni uważał, że żona i synek są najlepszymi modelami do obrazów.

Oczy chłopca błyszczą z zachwytu.

— Jestem pewien — mówi z przejęciem — że maestro Luca będzie zadowolony. Zmieniłeś wyraz twarzy Madonnie, jest bardziej delikatny... Tak, o wiele lepiej!

Szybka, gorącą mowę chłopca przerwało nadejście malarza Luca Signorelli, serdecznego przyjaciela Giovanniego.

— Ho, ho! przyjacielu! — zawołał przybysz zdumiony. — Widzę, że robota pali ci się w rękach. Rafael oczywiście na swym zwykłym miejscu obok ojca. No, cóż — żartował Signorelli zwracając się do chłopca — ucz się. Może kiedyś zadziwisz świat! Rafael rzucił na malarza zagadkowe spojrzenie.

— Bardzo bym tego chciał — rzekł poważnie, kresząc coś węglem na kawałku kartonu.

Dwaj malarze spojrzeli na siebie z uśmiechem. Pochylny nad rysunkiem chłopca Signorelli zawołał ze zdziwieniem:

— Popatrz, Giovanni, jak malec dobrze rysuje! Z jaką swobodą operuje węglem!

Giovanni uśmiechnął się, lecz zajęty pracą rzekł z roztargnieniem.

— Rafaelu, rozetrzyj prędko farby i włącz tu do mnie. Będziesz mi podawał pędzle.

Spełniwszy pierwsze polecenie mały uczeń wdrapał się na rusztowanie i stanął przejęty z pędzlami w rękę obok ojca.

Tymczasem Signorelli opowiadał przyjacielowi wrażenia z podróży do Florencji.

— Widziałem znów Michała Anioła — mówił malarz. — Jest wciąż tak samo ponury, nieprzystępny, jak dawniej. Ale teraz zna go już każdy smarkacz we Florencji. Ten chłopiec ma niepospolity talent... Zobaczysz, Giovanni, że zanim minie dziesięć lat, sława jego rozejdzie się nie tylko po całych Włoszech, ale po całym świecie!

Rafael odłożył pędzle i obrócił się ku mówiącemu.

— Nazywa się Michał Anioł? — zapytał. — I pan naprawdę sądzi, że będzie lepiej malował niż mój ojciec?

Signorelli patrzył w milczeniu na podnieconą twarzyczkę chłopca. Myślał o tym, co też czeka w przyszłości małego Rafaela Santi...

Do mrocznego wnętrza kościoła wpadł przez wąskie okno snop promieni słonecznych... otoczył aureolą światła główkę Dzieciątka i zadrział miękką na słodkim obliczu pochylonej nad nim Madonny.

### III.

Niedługo trwało szczęście małej rodziny.

— Było zbyt wielkie — mawiał potem Giovanni. — Musieliśmy je utracić.

Rafael miał wtedy osiem lat. Chodził do tej samej szkoły, do której jeszcze niedawno uczęszczał Michał Anioł — przedmiot gorącego zainteresowania Rafaela. Dumny, niezależny charakter Michała Anioła nie mógł znieść surowej szkolnej atmosfery. Mały Rafael miał zupełnie inne usposobienie. Miły, łagodny, ujmujący w obejściu chłopiec przypadł od razu do serca i kolegom, i nauczycielowi.

Pewnego razu Rafael wracał ze szkoły myśląc o tym, że za chwilę opowie matce wszystko, czego się dziś dowiedział. Matka spotka go na pewno jak zwykle na progu, gotowa słuchać bez końca jego dziecinnej gadaniny, gotowa chwycić w lot każdą jego myśl. Dziś jednak nikt nie wyszedł chłopcu na spot-

kanie. W całym domu panowała jakaś dziwna, ponura cisza. Serce Rafaela ścisnęło złe przeczucie. Zapukał w drzwi wejściowe. Otworzyła mu służąca z zapłakanymi oczyma. Bojąc się pytać o cokolwiek, pobiegł Rafael dalej do pracowni ojca. Służąca zatrzymała go.

— Nie chodź tam, paniczu — szepnęła wśród łkań. — Signora... Biedny, biedny panicz...

Nagle drzwi się otwały. Stał w nich Giovanni Santi. Ujrzawszy go Rafael cofnął się przerażony.

Twarz ojca była blada jak chusta, ubranie i włosy w nieładzie, udręczone, zrozpaczone oczy patrzyły w jeden punkt. Chwiejąc się, jakby nieprzytomny, opadł Giovanni na krzesło z głową bezsilnie schyloną na piersi.

— Ojczy! — krzyknął Rafael dusząc się od płaczu. Czuł, że nadciąga coś strasznego, coś niepokonanego...

W wielkich, dobrych oczach Giovanniego zalśniły łzy.

— Nie ma już twojej matki, Rafaelu... Umarła — jęknął. Położył rękę na ramieniu chłopca.

Co nastąpiło potem, Rafael nie pamiętał. Był to jakiś zły, okrutny sen, z którego nie mógł się obudzić. Matki nie było. Zamiast niej, na pamiątkę po niej zostało małe, czerwone stworzonko, bezradne, budzące litość, które nazywano jego siostrą. Leżało w kołysce poowijane w nieskończoną ilość pieluszek i płakało całymi dniami. Mała, słaba istotka nie mogła jednak żyć bez matki. Wkrótce umarła. Rafael i Giovanni zostali sami.

Nieszczęście zacieśniło jeszcze bardziej łączące

ich więzy. Po całych dniach byli razem, nie rozstając się ani podczas pracy, ani w czasie odpoczynku.

Giovanni Santi był bardzo wykształcony jak na owe czasy i chciał przekazać synowi swoje wiadomości. Uczył chłopca matematyki, anatomii, rozmawiał z nim jak z dorosłym. Z każdym dniem mocniej przywiązywał się Rafael do ojca.

Giovanniemu ciążyła jednak strasznie samotność. Często, patrząc na słodką twarzyczkę Madonny spoglądającą ze ściany pracowni, płakał jak małe dziecko.

Pewnego ranka Giovanni wrócił do domu po dłuższej nieobecności. Ostatnio zdarzało mu się to dosyć często. Oczy Giovanniego unikały spojrzenia syna, który nie dostzegając jego zmieszania rozcierał dalej farby.

— Jeszcze pracujesz, Rafaelu? — zapytał ojciec serdecznie.

— Tak — odrzekł chłopiec. — Chciałbym zrobić kopię tego anioła, którego namalowałeś na ścianie.

— Anioła? Dobrze, Rafaelu. Tylko... czy nie za dużo pracujesz, mój chłopcze? Przemęczasz się...

I Giovanni umilkł na chwilę, a potem mówił jeszcze bardziej zmieszany:

— Chciałem ci coś powiedzieć... Widzisz... Odkąd umarła twoja matka, zrobiło się smutno w naszym domu... Prawda, Rafaelu?

Twarz chłopca zamglili smutek. Nic nie odpowiedział.

— Więc widzisz, pomyślałem sobie, że trzeba—

mówił szybko Giovanni nie patrząc na syna — dać ci nową matkę...

Spojrzał pytająco na chłopca. Na twarzy Rafaela zastygł wyraz zdumienia i przestachu.

— Kto to... kto to będzie... — szepnął po długim milczeniu.

— Widzisz... to córka sąsiada, złotnika Pietro... Nazywa się Bernardina... Będzie dobrą matką dla ciebie i zajmie się gospodarstwem.

Rafael westchnął. W milczeniu wziął się znów do pracy.

Po paru dniach Bernardina została żoną Giovanniego Santi. Nie zastąpiła jednak Rafaelowi matki. By sprawić przyjemność ojcu, chłopiec powitał ją z serdeczną życzliwością, Bernardina jednak odpowiedziała mu chłodem. Chłód ten pozostał na zawsze w jej stosunku do Rafaela. Przyjaźń ojca i syna została po dawnemu serdeczna.

Spędzając z chłopcem prawie wszystkie wolne chwile w ukochanym kościele, Giovanni mówił przypatrując się swoim malowidłom:

— Rafaelu, kiedy umrę, pochowaj mnie tu. Chcę tego. Tu żyje mój duch.

Minęły trzy lata. Giovanni umarł po ciężkiej chorobie. Zgodnie z wyjawioną przez Rafaela wolą zmarłego, pochowano go w kościele...

Jedenastoletni Rafael został zupełnym sierotą, zdany na opiekę macochy i stryja, zakonnika Bartolomeo. Ciężkie życie zaczęło się teraz dla chłopca przywykłego do zacisznego ciepła rodzicielskiego domu.

#### IV

Wkrótce po śmierci Giovanniego urodziła Bernardina córkę. Teraz zapomniała już zupełnie o Rafaelu. Do Bernardiny sprowadziły się siostry. Cichy dom zamienił się w piekło, z którego Rafael uciekał, kiedy tylko mógł. Zapalczywa i uparta Bernardina klóciła się nieustannie ze stryjem Bartolomeo z powodu sióstr i gospodarstwa, a głównie z powodu niesprawiedliwego według niej podziału spadku. Przerywając jedno drugiemu, krzycząc na cały głos, zwracali się co chwila do Rafaela:

— Twój stryjasek chce mnie wystrychnąć na dudka korzystając z tego, że jestem słabą kobietą. Znam sposoby przebiegłych zakonników! — krzyczała Bernardina.

— Nie słuchaj jej, Rafaelu! Chce zagrabić wszystko, co zostawił ci ojciec, co zgromadził twój dziadek i pradziadek — odpowiadał stryj.

— A może chciałbyś ty, stary lisie — krzyczała Bernardina dławiąc się z wściekłości — żebym ja, kobieta szlchetnego rodu, jadła polewkę... ze zgniłej fasoli i... i... chodziła w łachmanach jak żebraczka?

— Uważaj, Rafaelu! — szeptał z kolei stryj. — Wynosi z domu twego ojca wszystko, co tylko może, i oddaje to swojej kochanej rodzinie, która rządzi się tu jak u siebie! Choćbym miał umrzeć, nie pozwolę na to! Spróbuj, Rafaelu, niech ci zda rachunek...

Rafael słuchał zrozpaczony tego potoku obelg. Słaby głos jego ginął zupełnie wśród rozjuszonych

wrzasków stryja i macochy. Sceny dopełniały krzyki szlachetnie urodzonych panien, sióstr Bernardiny.

— Stryju, proszę cię, przestań! — błagał Rafael. — Mamo, na miłość Boską, nie zdawaj mi żadnych rachunków! Z ojcem żyliśmy tak spokojnie... Nic mi nie trzeba. Chcę tylko, żeby nie było tych wiecznych kłótni...

— A widzisz, mnichu — wołała Bernardina triumfująco. — Twoje doniesienia nie zdadzą się na nic!

— No, oczywiście! — odpowiadał stryj. — Zadowolona jesteś, że trafiłaś na naiwne dziecko! Ale ja tu jestem opiekunem i...

W końcu więc chłopiec machnąwszy ręką zrezygnowany chwycił czapkę i wybiegał z domu. W uszach brzmiały mu piskliwe głosy macochy, sióstr i ochrypy krzyk stryja.

Chłopiec biegł do wuja Simone, tak samo łagodnego i miłego jak zmarła matka. Znalazłszy się w zacisznym pokoju padał na krzesło i milczał, ciężko dysząc.

Simone patrzył na siostrzeńca ze smutkiem.

— Znow star piosenka, Rafaelu? Znow stryj omal nie pobił się z macochą z powodu tego nieszczęsnego spadku?

Rafael odpowiadał kiwnięciem.

— Od czego właściwie zaczęło się dzisiaj?

— Ach, wujaszku, czy to można wiedzieć? Czy do kłótni trzeba powodu? Ani jeden dzień nie mija spokojnie. Pamiętasz, jak było za życia rodziców? Teraz stryj grozi sądem macosze, a macocha stryjo-

wi. W tych dniach mają złożyć swoje skargi i mówią, że ja też mam iść do sądu... Dlaczego nie dają mi spokojnie pracować? Chcę tylko jednej rzeczy: uczyć się i zostać malarzem, jak ojciec. Tylko ty... ty i signor Timoteo... Z wami jest mi tak dobrze... Ty jesteś dla mnie jakby drugim ojcem — zawołał Rafael z głębi udręczonego serca. Oczy miał pełne łez. Rozległo się pukanie.

— Kto tam? Proszę! — zawołał Simone. — Ach, to pan, drogi przyjacielu! Patrz, Rafaelu, oto signor Timoteo, którego tak lubisz. No, chłopcze, głowa do góry! Jesteś przecież mężczyzną!

Ale mały Santi nie bardzo wyglądał w tej chwili na mężczyznę. Łykając łzy uśmiechnął się do przybysza.

Był to młodzieniec o miłej, pogodnej twarzy i głęboko osadzonych, zamyślonych oczach. Miał na sobie wytworne aksamitne ubranie i ciemny kapelusz z piórem. Nazywał się Timoteo della Vite. Cieszył się opinią utalentowanego malarza.

— Znów to samo, Rafaelu? Jako artysta powinieneś być ponad tym wszystkim! Czymże jest w gruncie rzeczy Bernardina i Bartolomeo, ich kłótnie i zatargi wobec nieśmiertelnej sztuki? Wstąpiłem tu po ciebie i wuja, bo chcę wam pokazać mój nowy obraz. Przecież czekaliście obydwaj z taką niecierpliwością na to, żebym go skończył! Proszę do mnie, signor Simone, a po drodze pogadamy o naszym młodym przyjacielu. Ma przecież przed sobą świetną przyszłość — ręczę za to głową!

Z twarzy Rafaela znikł wyraz przygnębienia.

Zaczął wypytywać malarza o obraz. Wkrótce wyszli razem do pracowni.

Tu chłopiec zapomniał o wszystkim, co dręczyło go w domu. Na widok obrazów ogarniało go uczucie niezmałowanej radości. Na sztalugach w kącie pracowni widniały własne jego szkice.

Z rozkoszą prawdziwego znawcy przypatrywał się Simone ostatniemu dziełu malarza. Oderwawszy wreszcie wzrok od obrazu rzekł do siostrzeńca:

— Wiesz, chłopcze, rozumiem twoje pragnienie. Powinieneś być dobrym malarzem, tak samo jak signor Timoteo, jak twój ojciec. To twoje powołanie.

Do samego wieczora trwała rozmowa tych trojga, głęboko przywiązanych do siebie. Zmrok już zapadł, gdy Rafael z wujem opuścili gościnną pracownię. Przed drzwiami swego domu Simone pożegnał siostrzeńca.

Z małą latarką wziętą od wuja Rafael szedł śmiało ledwo oświetlonymi ulicami Urbino. Dotarłszy wreszcie do domu nasłuchiwał przez kilka chwil uważnie, czy nie dojdą go znów krzyki. Było cicho... Gwiazdy świeciły spokojnie na ciemnej, bezdennej kopule nieba...

Kłótnie w domu nie ustawały. Bernardina i Bartolomeo zaczęli wytaczać sobie nawzajem niekończące się sprawy sądowe o spadek po Giovannim. Wciąż skarżyli się na siebie przed chłopcem, wciąż włóczyli go po sądach, chociaż wołałby stokroć zrezygnować ze spadku, niż znosić z powodu niego nieustanne udręki.

Czas płynął.



Simone i Timoteo, którzy dbali bardzo o wykształcenie Rafaela, wysłali go do Perugii na dalsze studia malarskie.

Wyjazd ten stał się momentem przełomowym w życiu Rafaela Santi, przezwanego później Sancio.

W Perugii chłopiec wyrósł na młodzieńca, który nie tylko nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, lecz przeszedł je jeszcze.

Po paru latach sława Rafaela Sancio rozeszła się po całych Włoszech, a później po świecie całym.

Kilka obrazów Rafaela znajduje się w Polsce.

**Miguel Cervantes**



Cervantes

Pewnego słonecznego jesiennego dnia 1560 roku jedną z ulic małego hiszpańskiego miasteczka szedł dwunastoletni chłopiec z tornistrem na plecach. Widocznie wracał ze szkoły. Miał na sobie kurtkę z samodziału, pończochy w wielu miejscach pocerowane i grube trzewiki. Nagle oczy chłopca zatrzymały się na strzępku brudnego, zapisanego papieru, który wałęsał się w kurzu obok jednego z domów. Pochyliwszy się chłopiec chciwie chwycił papier. Był to fragment starego romansu o bohaterze narodowym Rodrigu Cydzie. Czarne oczy chłopca rozbliły, gdy czytał o swym ukochanym rycerzu:

Cyd był w pancerzu, w białej  
 Jak całun opończy;  
 Z opuszczoną przyłbicą, z mieczem  
 Obnażonym; jechał wyniosły wśród  
 grobowego milczenia.

Rozmyślając o rozmaitych romansach poświęconych ukochanemu bohaterowi, chłopiec znalazł się

przed domem swego ojca, ubogiego hidalgo\*), Rodri- go Cervantes Saavedra. W górze rozciągało się cu- downe, jasnoblękitne niebo kastylskie. Dokoła widnia- ły domy Alkali, rozrzucone wśród ogrodów oleandro- wych, pomarańcz, oliwek i winnic. Hen, w oddali cią- gnęły się kwitnące równiny, wśród których rzeka Ena- res toczyła swe przejrzyste fale... Nie, chociaż jest głodny, nie wejdzie teraz do domu! Pójdzie za mia- sto odetchnąć świeżym powietrzem i nacieszyć się pięknnością swej ukochanej rzeki.

Chłopiec położył się na brzegu Enaresu. Wpa- trywał się z zachwytem w kryształową toń, w której pluskały srebrzyste rybki... Czujnym uchem chwycił cichy szelest liści i delikatny szczebiot ptaków... Otwor- zywany tornister wydobyl z niego kilka książeczek i pogrążył się w czytaniu starych pieśni religijnych bez początku i końca, które dostał przypadkowo od kolegi.

Pusty żołądek zbyt natrętnie przypominał jed- nak o swym istnieniu. Słońce chyliło się już ku zacho- dowi, gdy chłopiec przyszedł do domu. Na ognisku wygasł już ogień, na którym matka przygotowała ubo- gi obiad. Dziś wydawał się wyjątkowo skąpy... Smut- na rzeczywistość wyrwała chłopca z rozmarzenia. Mimo to nucił dalej półgłosem pieśń o potężnym bo- haterze:

Był w pancerzu złotym, w białej

Jak całun opończy...

— W białej jak całun opończy! — powtórzył niski, męski głos. — Wszystko to bardzo ładnie, Mi-

\*) Szlachciec hiszpański.

guelu, ale dlaczego nie przyszedłeś na czas na obiad? Matka czekała i niepotrzebnie podsycala ogień, a ty wałęsałeś się tymczasem Bóg wie gdzie i Bóg wie z kim. Nie przystoi to wcale szlachetnemu hidalgo.

Miguel podniósł dumnie głowę:

— Mylisz się, ojciec — rzekł z godnością. — Nie robiłem nic ubliżającego mojej czci. Byłem nad rzeką i...

— I czytałem głupie książki! — podchwycił szyderczy, dziecięcy głos. — Nie zapieraj się, Migu- elu! Spójrz, ojciec! — wołał dalej starszy brat Migu- ela, Rui, wymachując w powietrzu wymiętoszonym ar- kuszem. — Miguel zbiera na ulicy brudne papiery!

Miguel dotknięty do żywego słowami brata za- cisnął pięści i rzucił się na niego ze złym błyskiem w oczach.

— Wstydz się, Rui — rozległ się kobiecy głos. — Zawsze go drażnisz, zawsze dajesz powód do bójk!

Na progu stała żona Cervantesa, Lenora. Młod- szy syn był jej ulubieńcem. Poleciała służebnej, by po- dała Miguelowi niewyszukany obiad.

— Musiałeś się strasznie wygłodzić, chłopcze! Dlaczego tak późno przyszedłeś? Twoja olla\*). wystygła zupełnie!

Wygłodzony chłopiec zjadł jednak z przyjem- nością zimną olla, przyrządzoną z malutkiego kawał- ka chudej baraniny, zagryzając ją suchym serem ow- czym.

\*) Narodowa hiszpańska potrawa, rodzaj polewki.

Zapadł wieczór. Ciemność nastąpiła od razu. Kastylia nie zna zmierzchu. Na spoczynek było jednak zbyt wcześnie. Czekaając na wieczerzę, Rodrigo Cervantes przy słabym świetle lampki oliwnej opowiadał dzieciom o przeszłości. Lubił snuć opowieści o dawnych czasach, które znał z własnych wspomnień lub z opowiadań ojca i dziadka. Wszyscy przodkowie jego dumni byli ze swego pochodzenia i tę dumę rodową Rodrigo Cervantes pragnął przekazać swym synom.

— Przez pięć wieków—mówił dumnie—nazwisko nasze otaczał taki blask i chwała, że pozazdrościć by nam mogła cała Europa! Tak, tak, moje dzieci, nie daj Bóg, żeby nazwisko to zostało zhańbione!

— Rozumie się, ojcze, że będę odważnym żołnierzem! — zawołał gorąco Rui. — No, a Miguel z pewnością wstąpi do zakonu.

Miguel zaczerwienił się.

— Kłamiesz! — krzyknął. — Wiesz dobrze, że ja też będę żołnierzem! Wiesz, jak nienawidzę tych zakonników, którzy...

— Cicho! ofuknął go surowo ojciec. — Czy nie wicie, co grozi za takie słowa? Ściany mają teraz uszy. Inkwizycja wie o wszystkim, wie nawet o tym, czego wcale nie było...

Don Rodrigo westchnął i pochylił nisko głowę pod ciężarem ponurych myśli. Rozmyślał nad strasznym losem swej pięknej, dumnej ojczyzny. Hiszpania ginęła pod jarzmem Inkwizycji, której celem było wysłędzenie i ukaranie heretyków i ludzi niewierzących. Władza świecka wykonywała krwawe wyroki władzy duchownej. Winnych osadzano w więzieniu, podda-

wano torturom, skazywano na dożywotnie więzienie lub galery, palono na stosie; majątek skazanych przechodził na własność państwa.

Rodrigo Cervantes odczuwał całą okropność położenia, w którym znalazła się Hiszpania. Straszliwy ból ścisnął mu serce na myśl o losie rodaków, najszlachetniejszych, najwaleczniejszych synów ojczyzny, których naród przywykł szanować i wielbić. Za co dręczono, za co skazywano na hańbę i śmierć ludzi, którzy nigdy nie skłamali, nigdy nikogo nie skrzywdzili?

Tymczasem mały Miguel podniecony opowiadaniem ojca śnił na jawie o dawnych zamkach rycerskich Cervantesów. Wysnute z oderwanych słów ojca powstawały w wyobraźni jego sceny pełne fantastycznego uroku.

Widział zamek przodków otoczony zębatego murami. Zamkiem włada potężny rycerz Cervantes. Sława jego imienia wybiega hen! daleko, za granice Hiszpanii. Oto wyjechał za wrota. We władczych oczach płonie duma. Cały zakuty jest w stal, a biały pióropusz jego hełmu powiewa na wietrze. Za rycerzem podążają jego wierni żołnierze. Śpieszą, by z tysiącami innych rycerzy pomścić na niewiernych ucisk chrześcijan i odebrać im Ziemię Świętą, na której żył, cierpiał i umarł Chrystus. Młody syn Cervantesa ma wziąć udział w wyprawie jako zwykły żołnierz.

W wyobraźni swej widzi Miguel natchnioną twarz młodego Cervantesa pośród krwawej rzezi. Młodzieniec zdobywa bezcenny łup—sztandar chrześcijan! Wspaniały czyn... Chrześcijanie zwyciężają... Wróg ucieka... Na polu bitwy, w ostatnich promie-

niach zachodzącego słońca król wręcza młodemu Cervantesowi miecz i zgodnie z obyczajem dotyka dłonią jego policzka...

Nagle marzenia Muguela przerwało gwałtowne uderzenie w drzwi. Don Rodrigo drgnął, dziewczęta krzyknęły przestraszone, a Miguel i Rui instynktownie chwycili za sztylety.

— W imię Najświętszej Marii Panny, otwórz!

— Otwórz, Lenoro — rzekł Cervantes. — Podobno w okolicy niespokojnie...

Drzwi otwarto na oścież. Na progu ukazała się ciemno ubrana postać. Podniesiony kaptur płaszcz zasłaniał twarz przybysza. Nieznajomy drżał cały z zimna, z odzieży jego spływały strugi wody.

— W imię Chrystusa, skąd idziesz i kim jesteś — zapytał surowo gospodarz.

Nieznajomy odrzucił kaptur, a wtedy don Rodrigo ujrzał młodą, szczerą twarz, pokrytą ciemną opalenizną.

— Przepraszam — rzekł nieznajomy głosem pełnym szacunku. — Jestem Enrico z Walencji, poganiacz mułów, wielmożny panie. W drodze spotkał nas deszcz, postanowiłem więc prosić pana, by raczył udzielić schronienia mnie i moim biednym towarzyszom — mułom.

Don Rodrigo roześmiał się: — Aleśmy się zagadali! Nie zauważyliśmy nawet, że deszcz rozpadał się nie na żarty. No, przyjacielu, zdejm płaszcz i siadź koło ogniska.

Enrico spełnił polecenie gospodarza, a Juanitta,

stara służebna Cervantesów, wyszła zająć się mułami gościa.

— Opowiedz nam, przyjacielu, co słyhać nowego — rzekł don Rodrigo, gdy przybysz już się nieco ogrzał. Chłopcy skupili się dokoła ojca i Enrico w oczekiwaniu ciekawego opowiadania.

— Co za okropna pogoda, signore! Żle na świecie takim biedakom, jak ja. Pan pyta, co nowego? Jakby to powiedzieć?... W tych dniach przybędą tu aktorzy, na których czele stoi don Lope de Rueda...

— Lope de Rueda! — zawołał skacząc z radości zachwycony Miguel. A to wspaniale! Rueda, Rueda, Rui! Oczywiście pójdziemy na przedstawienie! Mamy przecież pieniądze!

— Tu Lope de Rueda wystawia swoje komedie, a tam, w Waladolidzie, w Sevilli odbywają się inne przedstawienia, całkiem nie wesołe, signore! — rzekł przybysz z goryczą. Spostrzegłszy, że wyrwało mu się coś niepotrzebnego, rozejrzał się przestraszony dokoła. Don Rodrigo drgnął, a Miguel cały drżący przysunął się bliżej do poganiacza.

— Nie obawiaj się przyjacielu — rzekł Cervantes. — Tu nie ma zdrajców ani donosicieli. Moi synowie nie są szpiegami.

— Mimowoli musi się człowiek bać, kiedy wszędzie włóczy się pełno szpiegów — mruknął przez zęby Enrico. — Po co tu daleko szukać: dopiero co w karczmie opowiadano mi, że dzieci składają doniesienia na rodziców, a rodzice na dzieci. Wystarczy lada głupstwo, żeby wpaść.

Enrico umilkł.

— Widziałem auto-da-fe\*) w Valadolidzie — rzekł po chwili ponuro.

— Widziałeś? — krzyknęli jednogłośnie don Rodrigo i donna Lenora.

— Widziałem, — rzekł spokojnie poganiacz. — Tak się złożyło. Nie pójść byłoby rzeczą niebezpieczną: jeszcze by mnie samego oskarżono o herezję. Działo się to na placu przed kościołem św. Franciszka. Biegły tam tłumy, poszedłem razem z innymi. O szóstej rano z wszystkich kościołów zabrzmiały dzwony. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem na placu, była szubienica. Król w otoczeniu rodziny i świty zasiadł na balkonie. Na placu było tak tłoczno, że szpilki nie byłoby gdzie wetknąć. A no, zaczął się ten straszny pochód. Straszny, signore! Otwarto wielkie wrota zamku Inkwizycji, rozległ się cichy, uroczysty śpiew... To dzieci śpiewały pobożne pieśni. A potem... Boże Świąty! Oddział wojska robił drogę heretykom. Były wśród nich sławne osobistości. Niegdyś czciła ich cała Hiszpania...

— I to są skazańcy? — spytała z przerażeniem donna Lenora.

— Tak, signora! Ubrani byli w swoje żółte sanbenito, ten okropny worek malowany w czerwone krzyże.

Enrico jeszcze raz obejrzał się na drzwi i mówił dalej szeptem:

— Twarze mieli jak święci, signora. Przeżegnałem się, żeby się zbudzić ze złego snu, ale to nie pomogło... A najokropniejsze było to, że ludzie, którzy

\*) Palenie na stosie.

uważają się za prawdziwych katolików, pluli na bezbronnych, obrzucali obelżywymi słowami tych, którzy jeszcze niedawno cieszyli się szacunkiem całej Hiszpanii!

— To nikczemność cieszyć się z czyichś cierpień, wszystko jedno czy to katolik, czy heretyk! — krzyknął oburzony Miguel.

— Milcz — rzekł ojciec surowo. — Zachowaj swoje myśli dla siebie. Co było dalej, Enrico?

— Dalej? Trudno opowiadać, co było dalej... Wśród trzydziestu skazanych było szesnastu ułaskawionych, to znaczy takich, którzy zgodzili się przed śmiercią przystąpić do spowiedzi według obrządków katolickich. Za to zmniejszono im karę: zostali uduszeni i dopiero potem rzucono ich na stos. Pozostałych spalono żywcem...

— Żywcem? — krzyknęli jednogłośnie Miguel i Rui.

— Między skazanymi był don Carlos de Sacco — szepnął Enrico pesępnie.

— Panno Najświętsza! — krzyknął zdumiony i przerażony Cervantes. — Oto czego doczekała się Hiszpania! Ale to niemożliwe, Enrico, musiałeś się pomylić — de Sacco, ulubieniec ojca naszego króla, wielkiego cesarza Karola?

— Tak jest, signore. Palono go na wolnym ogniu, ale on nie upadł na duchu. Aby przyspieszyć śmierć, rozkazał spokojnie żołnierzom stojącym w pobliżu stosu, by dorzucili więcej drwa.

Don Rodrigo schylił głowę i zasłonił twarz rękami. Andrea i Luiza łkały cichutko.

O świcie Enrico odszedł.

## II

— Mamo! — wołał triumfująco Rui wpadając jak strzała do pokoju, w którym donna Lenora siedziała pochylona nad robotą. — Dasz mi moje pieniądze, które oddałem ci do przechowania, i pieniądze Miguela. Przyjechał Lope de Rueda z muzykantami!

— A gdzie Miguel?

— Na ulicy, rozumie się, na ulicy! Jutro Lope de Rueda urządza przedstawienie, więc Miguel nie pójdzie do szkoły. Nikt nie pójdzie, mamo, a nawet studenci...

— Brzydko, Rui! Takich rzeczy uczysz młodszego brata?

— Ja go nie uczę. Ale jutro w całej Alkali nie pójdzie nikt do szkoły ani do pracy.

Chłopiec nagle wybiegł z pokoju i pomknął na ulicę, gdzie zmieszał się z tłumem uliczników. Poruszenie to wywołała przejeżdżająca właśnie ogromna kolasa słynnego Lope de Rueda. Należąc do wzgardzonego w owych czasach środowiska aktorów, Lope de Rueda umiał panować jak król nad sercami obdar-tusów.

Jechał wraz ze swą małą trupą w starym powozie, który ciągnęły leniwe muły. Wrodzony humor tego wędrownego komedianta był naprawdę niewyczerpany. Uśmiechając się i kłaniając na prawo i lewo, sy-pał dowcipami jak z rękawa. Śmiejąc się do rozpuku, z piskiem i krzykiem, chłopcy włazili na koła jego ko-lasy.

— Cieszę się ogromnie, że widzę was, panowie! — mówił Lope de Rueda z komiczną powagą.

— Ośmielam się jednak zapytać, dlaczego atakujecie mój powóz jak najzaciętszy wróg? Do jutra, przyjaciele, tylko do jutra!

Hałaśliwa czereda uspokoiła się jednak dopiero wtedy, gdy powóz znikł za bramą zajazdu.

Wędrowny aktor Lope de Rueda był pierwszym narodowym dramaturgiem hiszpańskim i aktorem. Przedtem urządzano w Hiszpanii dla ludu jedynie widowiska o treści religijnej, które odbywały się w kościele pod kierunkiem duchowieństwa. Na dworach królów i możnych panów urządzano wprawdzie przedstawienia świeckie, ale były one dostępne tylko dla szczupłej garstki wybranych. Dopiero Lope de Rueda zaczął dawać przedstawienia na rynku i z-troszczył się o to, by podobały się ludowi i były dla niego zrozumiałe. Cztery białe pastusze kurtki ze skó-rzanymi wyłogami, przybrane złotem, cztery peruki, kilka bród i lasek — oto był cały majątek biednego wędrownego komedianta rządzącego sercem tłumu.

W dniu przedstawienia rynek był przepelniony. Pośrodku rynku stały cztery ławki, na których spoczy-wał pomost z desek. Za ławkami wisiało zniszczone prześcieradło zastępujące kurtynę, a przed nim stały ławki dla widzów. Było ich tylu, że Lope de Rueda nie mógł nadążyć z wydawaniem biletów.

Przedstawienie zaczyna się. Role kobiece grają mężczyźni. Dają niewyszukaną, lecz dowcipną sztukę Lope de Rueda „Oliwki“. W roli głównej wystę-puje sam autor. Wyrazistość jego twarzy jest zdumie-wająca. Publiczność krzyczy i tupie nogami z zachwytu, wymachuje chusteczkami i wachlarzami.

Lope de Rueda odtwarza ze swym partnerem

zabawną scenę, w której mąż i żona nie zasadziwszy jeszcze drzew oliwnych już marzą o owocach, spierają się o to, jakie wyznaczyć na nie ceny i podczas kłótni wpadają w taką wściekłość, że rzucają się na Bogu ducha winną córkę, której ledwo udaje się uciec...

Publiczność pokłada się ze śmiechu. Publiczność szaleje:

— Lope de Rueda! Rueda! Rueda! — rozlega się na rynku nieprzytomny z zachwytu, jednogłośny krzyk.

Ulubieniec publiczności wychodzi przed kurtyną spokojny, pełen godności i z ręką na sercu składa widzom ukłon pełen dumy.

Miguel wcześniej zaopatrzył się w miejsca dla siebie i rodzeństwa. Wydał na ten cel większą część pieniędzy, które dawno już podarował mu ojciec. Tanie, niewyszukane wachlarze Luizy i Andrei to rozwijają się, to zwijają pod niespokojnymi palcami dziewcząt. Miguel siedzi jak urzeczony. Nie czuje kuksańców brata, dźwięcznego śmiechu sióstr. Zamienił się cały w wzrok i słuch. Ani jeden ruch aktorów nie uszedł spojrzeniu jego wielkich, rozplamionych oczu.

Nadeszło południe.

— Piękne damy i szanowni panowie — rozległ się ze sceny głos Lope de Rueda. — Pozwólcie mi wyrazić najserdeczniejszą wdzięczność za wasze łaskawe zainteresowanie... Czy nie zechcielibyście teraz, szanowne panie i szanowni panowie, udać się do domu, by spożyć obiad? Po obiedzie usłyszycie o sprawkach największego w świecie obżartucha...

— Hej, Miguelu! — zawołał Rui potrząsając

bratem z całej siły. — Obudźże się wreszcie, idziemy do domu!

Donna Lenora czekała na dzieci z niecierpliwością. Zajęcia gospodarskie nie pozwoliły jej udać się wraz z nimi na rynek. Po powrocie nie było końca opowiadaniom dzieci o nadzwyczajnej sztuce. Donna Lenora postanowiła udać się na popołudniowe przedstawienie. Upatrzwszy stosowną chwilę Miguel szepnął:

— Mamo, zabierz mnie ze sobą!

Donna Lenora spojrzała z goryczą na pieniądze, których starczyłoby tylko na kupno jednego miejsca. Miguel westchnął ciężko i poszedł do brata.

— Rui! — rzekł gorąco. — Zostało ci jeszcze coś niecoś z twoich pieniędzy, a mnie z moich także. Razem starczyłoby na jeden bilet. Daj mi twoje pieniądze, a ja dam ci, co tylko zechcesz. Zgoda? Ustąpię ci mojej porcji gołębi, które Juanitta gotuje nam w święta na obiad. Chcesz? Będę ci je oddawał w ciągu całego miesiąca! Chcesz? Podaruję ci mój nowy pas!

Rui wzruszył z pogardą ramionami i wręczył bratu swoje maravedisy.

— Nie jestem obżartuchem ani skąpcem — rzekł z dumą — żeby mnie trzeba było „smarować“ gołębiami lub pasem. Weź pieniądze, a jak będziesz miał, to mi zwrócisz.

Przedstawienia Lope de Rueda wywarły olbrzymi wpływ na wrażliwego chłopca i wryły mu się w pamięć na całe życie. Obdarzony niepospolitym talentem dramatycznym aktor był jednym z pierwszych lu-



dzi, którzy wzbudzili w Miguelu gorące umiłowanie literatury.

Cicho i jednostajnie płynęło życie chłopca. Uczęszczał do szkoły elementarnej, która dawała niewiele żadnemu wiedzy dziecku. Niezbyt słodka była też w owych czasach nauka szkolna: podstawową metodę nauczania stanowił kij.

Często Rui śmiał się z Miguela:

— Szlachetnemu hidalgo nauka jest niepotrzebna! A jeżeli już ślęczysz wciąż nad swoimi książkami i nadstawiasz plecy pod trzcinę, to zostań raczej zakonnikiem. Będiesz uczonym zakonnikiem, a z czasem zostaniesz biskupem.

— Nieprawda! — odpowiadał Miguel wzburzony. — Kocham ojczyznę tak samo, jak ty, i nigdy nie będę zakonnikiem, który...

W tym miejscu donna Lenora zaślaniała mu za zwyczaj usta ręką w obawie, by nie powiedział jakiegoś nieostrożnego słowa o Inkwizycji.

Rui miał słuszność. W owych czasach istotnie nie było żadnego zawodu prócz żołnierskiego lub duchownego, który by uważano za godny szlachetnego hidalgo...

### III

Mijały miesiące i lata. Miguel Cervantes ukończył siedemnaście lat. Trzeba było pomyśleć o dalszym wykształceniu, lecz brak odpowiednich środków nie pozwolił mu zostać studentem. Żywy umysł młodzieńca nie przestawał pracować. Nie mając pieniędzy na kupno książek musiał poprzestawać na tych,

które przypadkowo wpadały mu do ręki, resztę wiadomości czerpiąc z życia i przyrody.

Siedemnastoletni Miguel był ładnym młodzieńcem o energicznej, mądrej twarzy, orlim nosie i odrzuconych w tył włosach. Niedostatek, w którym wyrósł, zahartował go. Przenikliwe oczy miały wyraz lekkiej ironii, a delikatne usta — niezwalczonej woli.

Los sprawił, że siedemnastoletni Miguel musiał opuścić miasto rodzinne. Rodzina Cervantesów przeniosła się do stołecznego Madrytu, w nadziei, że tam powiedzie jej się lepiej niż w Alkali. Trzeba było porzucić miejscowość, do której przywykli, i wlec się z ubogim dobytkiem dwadzieścia mil przez pustynną równinę Kastylii. Wśród owego dobytku widniał troskliwie owinięty zardzewiały miecz, przypominający ojcu Miguela wspaniałe zwycięstwa rycerzy Cervantes-Saavedra — jedyne, co przypadło mu w spadku po przodkach.

Przez nagą pustynię, wśród rozpalonych kamieni wlokła się nędzna kolasa Cervantesów. Z rzadka tylko mijali nędzne, rachityczne drzewka, sterczące samotnie wśród winnic i łąków zboża. Suche powietrze piekło, a jednocześnie lodowaty wiatr z Gvadaramy kłut jak igłami. Donna Lenora, lękając się lodowatego oddechu Gvadaramy, otulała mocniej córki, mężczyźni szczerzej owijali się w płaszcze.

Lecz oto i Madryt, przedmiot marzeń i obaw Cervantesów. Hałas uliczny wywarł wstrząsające wrażenie na mieszkańcach cichej Alkali, chociaż tłum nie był już tak beztrosko wesoły, jak dawniej: obywatele Madrytu bali się, że wyrwie im się jakieś słowo, któ-

re zostanie odpowiednio wyzyskane przez agentów Inkwizycji i pociągnięte za sobą straszliwe tortury.

Gdy tylko rodzina Cervantesów urządziła się w małym mieszkanku na przedmieściu Madrytu, Rui i Miguel udali się na wędrowkę po mieście. Na jakimś placu stanęli, by posłuchać kaleki żebraka, dokoła którego tłoczyła się gromada ludzi. Czymś dziwnie smutnym, znajomym i dalekim powiało od starego romansu, który starzec śpiewał przy akompaniamencie gitary.

Miguel słuchał żalosego, starczego głosu i myślał o tym, że za parę dni może ten sam tłum na tym samym placu patrzeć będzie z takim samym zainteresowaniem na stos i słuchać z taką samą uwagą trzasku drwa i krzyków nieszczęśliwych ginących w płomieniach...

Na czoło Miguela wystąpiła głęboka zmarszczka; kąciki ust opadły. Nagle drgnął, oczy zabłysły mu radością: dojrzał w tłumie ulubieńca Alkali, bożyszcze swego dzieciństwa — Lope de Rueda.

Na widok starego artysty Miguel zapomniał o smutnych rozmyślaniach. Gdy przedostawszy się przez zwarty tłum ku deskom teatralnym ujrzał znów starą sztukę, którą zachwycał się jeszcze w Alkali, wydało mu się, że pogrążył się w czystej, ożywczej kąpieli. I znów rześki, pełen radosnej ciekawości, rzucił się wraz z tłumem ku człowiekowi z złotym łańcuchem na piersi, dumnie wzniesionym mieczem w rękę, wystrojonemu w kostium haftowany złotem i srebrem. Był to picador, odważny i zręczny jeździec, występujący w walce byków. Za każdym razem, gdy wy-

jeżdża na arenę, naraża życie na niebezpieczeństwo, a to otacza go w oczach tłumu aureolą bohaterstwa.

Po raz pierwszy oglądany Madryt wywarł na Miguelu głębokie, niezatarte wrażenie...

Zaczął myśleć o wstąpieniu na uniwersytet. Wyrzekł się najniezbędniejszych rzeczy, długo, zmusznie ciułał grosz po groszu. Przyszła mu z pomocą donna Lenora, która oddała mu swe skromne oszczędności. I oto pewnego dnia spełniło się gorące marzenie Miguela — został studentem uniwersytetu madryckiego. Była to przełomowa chwila w życiu Miguela, życiu pełnym cierpienia, a zarazem radości i zachwytu. Z małego Miguela wyrósł jeden z największych geniuszów świata — Miguel Cervantes, autor „Don Kichota“.

Ani niedostatek, ani ciężkie doświadczenia losu nie złamały Miguela Cervantesa, nie zmieniły jego serca, które do późnej starości zachowało czystość młodości. Serce to kazało mu walczyć z kłamstwem i krzywdą. Brał udział w wyprawie księcia don Juana Austriackiego, której celem było uwolnienie chrześcijan z jarzma niewiernych, długie lata męczył się w niewoli, wreszcie wrócił do kraju.

Całe życie Miguela Cervantesa było walką o najszczytniejsze ideały ludzkości. Zasłużył nim całkowicie na piękne miano „Rycerza Duchy“, które nadali mu potomni.

**Isaac Newton**

## „CHUCHRO”



Przed 294 laty, w r. 1642 przyszedł na świat w małej osadzie angielskiej Woolsthorpe — Isaac Newton. Kумы wiejskie orzekły, że dziecko nie wyżyje dłużej, niż parę godzin. Na szczęście przewidywania ich nie sprawdziły się. „Chuchro” nie tylko doczekało później starości, lecz zdążyło nawet uczynić nieśmiertelnym swe imię, odsłaniając przed ludzkością wielkie tajemnice wszechświata i ukazując jej drogi wiodące do wspaniałych zwycięstw nad przyrodą.

## DZIECIŃSTWO SIELSKIE-ANIELSKIE

Mały Isaac wychowywał się u babki. Była to bardzo dobra i mądra kobieta, gorąco przywiązana do wnuka. Pod jej troskliwą opieką pędził przyszyły uczoney aż do dwunastu lat swobodne życie wiejskiego

chłopaka. Temu właśnie zawdzięczał Isaac Newton swoje wspaniałe zdrowie, które umożliwiło mu potem wytrwanie w mozolnej, nieludzkiej wprost pracy, jaka wypełniała całe jego życie.

Babka chłopca rozumiała doskonale, jak konieczną rzeczą jest wykształcenie, toteż w odpowiednim czasie zaczęła posyłać wnuka do szkółki wiejskiej. Żywemu, pojętnemu dziecku nauka przychodziła z wielką łatwością.

Wesoło i beztrudnie płynął Isaacowi czas. Ani się spostrzegł, gdy skończył szkółkę. Trzeba było pomyśleć o dalszej nauce.

Babce było bardzo trudno rozstać się z ukochanym wnukiem, rozumiała jednak, że powinien uczyć się w dalszym ciągu. Wysłała chłopca do pobliskiego miasta i umieściła na „stancji“ u aptekarza Clarka.

### PIERWSZA PRÓBA

Sielskie dzieciństwo Isaaca minęło. W owych czasach w szkołach angielskich panował bardzo surowy rygor. Naukę wbijano uczniom do głowy szturchańcami, różgami, okrutnymi karami. Tego rodzaju metody rozwijały okrucieństwo w wychowankach. Kwitło wśród nich donosicielstwo, prześladowanie słabszych, a szczególnie dręczenie nowicjuszy, zwanych pogardliwie „rzeczą“.

Przykre to otoczenie przygnębiło bardzo Isaaca. Stracił od razu chęć do nauki. Zaczął tęsknić za życiem na wsi, takim prostym i spokojnym, za rówieśnikami, z którymi żył w takiej zgodzie. Toteż nic dziw-

nego, że uczył się źle, pozostając w tyle za innymi uczniami.

Nie mogło to jednak trwać długo. W chłopcu zbudziła się już żądza wiedzy, trzeba było tylko jakiegoś wypadku, żeby mogła się wyładować. Wypadek taki zdarzył się niebawem.

Pewnego razu podczas pauzy Isaac stał w ogrodzie szkolnym pod płotem i przypatrywał się zabawie rozbawionych chłopców. Miał wielką ochotę przyłączyć się do nich, bał się jednak zaczepek.

— Bob, spójrz na tę bezużyteczną rzecz! Co by z nią można było zrobić? — zawołał wysoki, chudy chłopak do tłustego grubasa, wskazując ze śmiechem na Newtona.

— Zobaczmy zaraz, czy jest solidnie wykonana — odrzekł wesoło zapytany i wymachując rękami rzucił się pędem w kierunku płotu.

Zanim jeszcze Isaac zrozumiał, co się święci, Bob pochylił głowę i z rozpędu pchnął go w brzuch.

Uderzenie było tak gwałtowne, że Isaac jęknął i upadł.

— Co się tu dzieje? — zapytał nauczyciel przeciskając się przez tłum uczniów.

Newton podniósł się z trudem i trzymając się rękoma za brzuch wyszeptał:

— Nic... Uderzyłem się o ogrodzenie.

Fakt ten zjednał mu szacunek całej szkoły.

Isaac, choć nie zdradził Boba przed nauczycielem, nie zapomniał mu jednak swojej krzywdy. Postano-

wił zemścić się. A ponieważ Bob był pierwszym uczniem w klasie, postanowił prześcignąć go w nauce. Oto jaką zemstę wymyślił Isaac Newton.

W ciągu bardzo krótkiego czasu osiągnął Isaac to, do czego dążył: pobił Boba swoimi postępami w nauce i zajął jego miejsce.

## PIERWSZE WYNAŁAZKI

Teraz zaczęły się rozwijać niezwykle zdolności Isaaca. Już wtedy zaczęto o nim mówić z zachwytem i podziwem.

Kiedy chłopcy zimą szli do szkoły, było jeszcze zupełnie ciemno. Pewnego razu gromadka uczniów stojąca przed szkołą zauważyła świetlny punkt, który płynął ku nim kołysząc się w mroku. Okazało się, że to Newton szedł do szkoły z misternie sporządzoną papierową latarką.

Mnóstwo takich latarek tanich, prostych i ładnych zrobił potem Isaac dla kolegów.

W ogóle lubił ogromnie majstrować coś dla swoich towarzyszy i wymyślać coraz to nowe zabawy. On pierwszy zrobił w Anglii papierowego latawca i nauczył kolegów puszczać go. Nowa rozrywka przyjęła się bardzo szybko i stała się ulubionym zajęciem chłopców w chwilach wolnych od nauki.

Isaac postanowił połączyć swoje pierwsze wynalazki. W tym celu puścił pewnej szczególnie ciemnej nocy bardzo wysoko ogromny latawiec, na końcu którego umocował zapaloną latarkę. Następnego dnia

w miasteczku nie mówiono o niczym innym, jak o ognistej komecie, która ukazała się w nocy.

W domu spędzał Isaac wszystkie wolne chwile przy pracy. Zawsze coś piłował, strugał, klecił. Za uciulane — grosz po groszu — pieniądze kupił sobie potrzebne narzędzia i bez ustanku coś majstrował.

Gdy pod miastem zaczęto budować wiatrak, Isaac udawał się codziennie na miejsce budowy i przepadał tam na długie godziny.

Po pewnym czasie zaprosił kolegów tajemniczym tonem do siebie. Gdy podeszli do domu, w którym mieszkał, Newton ruchem ręki wskazał im dach. Chłopcy spojrzeli... i aż krzyknęli z podziwu.

Na dachu stał mały młyn, taki samiuteńki jak ten, który budowano pod miastem, tylko mniejszy i skończony! Najprawdziwsze w świecie skrzydła obracały się szybko na wietrze!

Potem młody wynalazca wymyślił żywy silnik do swego wiatraka. Umieściwszy wewnątrz szczura, przez pociąganie przymocowanego do ogona sznurka zmuszał go do biegania po kole, a tym samym do wprawiania w ruch skrzydeł wiatraka.

Na „stancji“ u aptekarza nie było zegara. Utrudniało to bardzo uczniom punktualne przychodzenie do szkoły. Isaac postanowił zająć się tą sprawą. Po pewnym czasie w mieszkaniu aptekarza zjawił się doskonały zegar wodny. Codziennie Newton wlewał wodę do specjalnego naczynia zbudowanego w ten sposób, że woda wylewała się z niego kropla po kropli w ściśle określonych odstępach czasu i wprawiała

w ruch drewniany klocek. Ten ostatni zaś podnosząc się i opadając posuwał wskazówki tarczy zegarowej. Wszystkie bez wyjątku części zegara były dziełem Newtona.

Wśród lokatorów aptekarza była pewna dziewczynka, z którą Isaac bardzo się zaprzyjaźnił. Chcąc jej sprawić przyjemność zbudował wózek czterokołowy z obracającą się kierownicą, który można było wprawić w bardzo szybki ruch.

## MATEMATYKA I OWCE

Z każdym dniem bardziej wzrastało w Isaacu namiętne pragnienie wiedzy. To, czego dowiedział się z podręczników, stosował w doświadczeniach i wynalazkach, których nie traktował wcale jako rozrywki. Szczególnie porwała go matematyka i przyrodoznawstwo. Ściany jego pokoju upstrzone były najrozmaitszymi obliczeniami.

Stworzył sobie własny, odrębny świat i żył w tym świecie radośnie pogłębiając i rozszerzając zdobywane w szkole wiadomości.

Nagle świat ten runął jak domek z kart. Gdy Newton skończył piętnaście lat, matka jego straciwszy drugiego męża poleciła synowi, by przeniósł się do niej na wieś.

— Co to, niezadowolony jesteś z przyjazdu do domu? — zapytała dotknięta, widząc zamyslenie syna.

— Nie, nie, mamu. Kocham cię bardzo — od-

rzekł szybko chłopiec. — Muszę tylko coś rozwiązać...

— Cóż to takiego? — zapytała matka ze zdumieniem.

— Zadanie, mamu. Sam je ułożyłem...

— Co za dziwny chłopiec! — rozgniewała się matka. — Ale nauczyli cię w tej szkole! Teraz będziesz rozwiązywał gospodarskie sprawy. Jesteś już mężczyzną, a ja sama nie dam sobie rady. Nie można we wszystkim polegać na Jacku!

— Dobrze, mamu — odrzekł Isaac potulnie.

Po paru dniach trzeba było posłać parobka Jacka do kowala z wozem do naprawy. Matka poleciła Isaacowi, by przypilnował owiec.

— Nie zabieraj tylko ze sobą tego zeszytu — rzekła surowo, widząc, że syn od samego rana wziął się do jakichś obliczeń. — Jeszcze ci się wszystkie owce porozbiegają!

Isaac westchnął i poszedł zastąpić Jacka.

Minęły dwie godziny. Matka zajęta była pracą w ogrodzie warzywnym. Nagle usłyszała tupot. Do ogrodu wpadł Isaac podniecony, bez tchu.

— Co się stało? — krzyknęła matka przerażona.

— Rozwiązałem! Rozwiązałem! — rzucił chłopiec radośnie i znikł na dziedzińcu.

Matka pobiegła za nim. Isaac siedział już w pokoju za stołem i gorączkowo notował coś w swoim zeszytcie.

— A to co? — zdumiała się matka stając na progu.

— Zaraz, mamó, zaraz — odrzekł niecierpliwie chłopiec, pochłonięty obliczeniami. Tylko co rozwiązałem swoje zadanie!

— A owce gdzie? — jęknęła matka.

— Owce mi właśnie dopomogły. Liczyłem je — mówił z pośpiechem Isaac. — Poczekajże, mamó, nie przeszkadzaj!

Matka chwyciła się rękami za głowę i pobiegła zebrać owce.

## ALBO WARIAT, ALBO WIELKI CZŁOWIEK

Tak prowadził Isaac gospodarstwo. Zmajstrowawszy kilka małych wiatraczków obserwował ciśnienie wywierane przez powietrze na skrzydła. Na murze swego domu zbudował wielki zegar słoneczny o wiele lepszy od poprzedniego — wodnego. Zegar ten znajduje się obecnie w muzeum w Londynie.

Każdej soboty jeździł Isaac z Jackiem do pobliskiego miasteczka sprzedawać chleb i warzywa. Po powrocie do domu szelma Jack trzymał mocno język za zębami. Nie było mu wcale na rękę opowiadać o tym, że skoro tylko dojeżdżali do domu aptekarza, jego młody pan zeskakiwał z wozu mówiąc z pośpiechem:

— No, ty, Jack, sprzedawaj tam, a ja wezmę się do roboty.

W mieszkaniu aptekarza Newton zamykał się w pokoju bibliotecznym pełnym starych ksiąg i zapomniał o Bożym świecie. Czasem szedł za miasto. Tam kładł się pod przydrożnym płotem z nieodłącznym ze-

szytem w rękę. Załatwiwszy wszystko Jack przyjeżdżał do aptekarza, a jeżeli nie zastawał tam Isaaca, spieszył na umówione miejsce pod miastem.

Pewnego razu chłopiec zupełnie zatonął w książce leżąc pod płotem. Drgnął, gdy nagle rozległ mu się nad samą głową surowy głos:

— Daj no tu te szpargały! Powiem matce, czym się zajmujesz. Musi się porządnie wziąć do ciebie.

Przed chłopcem stał jego stryj, a opodal na drodze widniał wóz z zawstydzonym Jackiem.

Isaac zerwał się zmieszany, podczas gdy stryj oglądał książkę.

— Nie rozumiem. Cały dzień siedzisz nad tymi cyframi? — zapytał zdziwiony.

— Tak — odrzekł cicho z wzrokiem wbitym w ziemię przestępca schwytyany na gorącym uczynku.

Stryj milczał chwilę, wiercąc książkę w rękę, wreszcie rzekł surowo:

— Tak. No, włącz na wóz.

Na żądanie stryja Isaac zaczął tłumaczyć skruszonym głosem, „jak doszedł do takiego życia“. Mówił z trudem, z wzrokiem utkwionym w dal, potem jednak wpadł w zapał i otworzywszy książkę zaczął z uniesieniem tłumaczyć stryjowi swoją ostatnią zdobycz.

— Znalazłem trzy sposoby rozwiązywania tego rodzaju zadań — mówił przewracając kartki. — Pierwszy polega na tym, że...

Stryj patrzył przed siebie surowy i zamyślony z rzadka tylko rzucając okiem na książkę, po której wodził palcem rozgorączkowany chłopiec.



Aż do samego domu tłumaczył Isaac stryjowi swoje sposoby rozwiązywania zadań i swe matematyczne odkrycia.

Dopiero kiedy wjechali na dziedziniec i stryj zeskoczywszy z wozu wielkimi krokami skierował się ku domowi, Isaac westchnął i z ponurą twarzą zaczął pomagać Jackowi w wyprzęganiu koni. Kiedy na dworze nie zostało mu już nic do roboty, wszedł nieśmiało do sieni. Drzwi do mieszkania były jednak zamknięte.

Usłyszał stłumiony głos stryja i gniewny głos matki. Ścisnąwszy palce tak mocno, że aż kości zatrzeszczały w stawach, Isaac wyszedł znów na dziedziniec.

— Dostanie nam się dziś, Jack — rzekł do parobka i machnąwszy beznadziejnie ręką usiadł na ławce pod ścianą domu.

Parę minut siedział ponuro zamyślony. Potem niezdecydowanym ruchem wsunął rękę w zanadze, wyciągnął ukochaną książkę i otworzył.

Jakby mimowoli, jednym okiem chłopiec zerknął do książki... Zmarszczki na jego czole wygładziły się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Oparł się wygodniej o ścianę i... zapomniał o całym świecie.

Nagle usłyszał głośny śmiech.

— Chodź tu, Henrietto! — wołał stryj stojąc na progu domu. — Przecież to wspaniałe! Przecież on nic sobie z tego wszystkiego nie robi!

— No, trudno, niech już tak będzie — rzekła matka zapłakana. — Twój stryj przekonał mnie. Jutro pojedziesz do Grantham uczyć się, a gospodarstwo już jakoś... jakoś to będzie...

Nieprzytomny ze szczęścia, płacząc i śmiejąc się jednocześnie, rzucił się Isaac matce na szyję. Stryja omal nie udusił w objęciach.

— Zapamiętaj moje słowa, Henrietto — rzekł stryj na pożegnanie. — Chłopak albo zwariuje, albo zostanie wielkim człowiekiem.

## NAUKA I JABŁKO

Przygotowawszy się w Grantham do dalszej nauki Newton wstąpił w r. 1661 na uniwersytet w Cambridge. Był wówczas dwudziestoletnim młodzieńcem średniego wzrostu, o jasnych włosach i łagodnej, miłej twarzy. Sytuacja uboższych studentów była w owych czasach na uniwersytetach angielskich bardzo upokarzająca; między innymi należało do ich obowiązków usługiwanie bogatym słuchaczom. Nie powstrzymało to Isaaca. Zgodziłby się na wszystko, byle by tylko móc bez przeszkód poświęcić się nauce.

Newtona można śmiało nazwać samoukiem w całym tego słowa znaczeniu. W dzieciństwie nie miał nikogo, kto by pokierował jego nauką. Wstąpiwszy na uniwersytet zorientował się bardzo szybko, że wykłady dają mu za mało i wziął się do samodzielnej pracy. Wiadomościami swymi wprawiał w kłopot profesorów na egzaminach.

Newton nie poprzestawał na czytaniu książek — zastanawiał się długo i gruntownie nad tym, co przeczytał. Pracując w ten sposób dokonał dwóch niesłychanie ważnych odkryć\*), które wystarczyłyby w zu-

\*) T. zw. dwumian Newtona i teoria fluksji.

pełności, by zdobył sławę wielkiego matematyka. Jest przy tym rzeczą godną podkreślenia, że wszystkich swoich wspaniałych odkryć matematycznych dokonał Newton nie mając jeszcze dwudziestu czterech lat.

W roku 1665, z powodu panującej w Cambridge epidemii dżumy, Newton wrócił na pewien czas do Woolsthorpe. I tu jednak nie przestawał pracować...

Upodobawszy sobie jabłoń rosnącą na dworze przesiadywał pod nią całymi godzinami w głębokim zamyśleniu. Pewnego dnia nad głową jego oderwało się jabłko od gałęzi i spadło na ziemię. Newton drgnął, spojrzął na jabłko i już nie mógł oderwać od niego oczu. Zaczął myśleć o tym, dlaczego jabłko spadło, dlaczego w ogóle przedmioty spadają, jaka siła ciągnie je w dół właśnie, dlaczego nie mogą zawisnąć w powietrzu... Kilka godzin siedział tak zamyślony, bez ruchu. Matka, która kilka razy przeszła tuż obok syna, zajrzała mu w oczy zdziwiona, przypuszczając, że usnął. Wreszcie zaniepokojona wyrazem jego twarzy zawołała go. Nie odezwał się. Siedział wpatrzony nieruchomo w jeden punkt, poruszając bezdźwięcznie ustami. Henrietta położyła mu rękę na ramieniu i rzekła głośno:

— Kochanie, czas już na posiłek.

Powoli przeniósł Isaac spojrzenie na matkę, jakby z trudem od czegoś je odrywał. Nagle oczy mu zapłonęły, zerwał się gwałtownie i zaczął całować oszołomioną ze zdumienia matkę.

W tej chwili zrodziła się w nim genialna myśl, że ziemia przyciąga do siebie wszystkie przedmioty. Odkrycie to naprowadziło go na drugą myśl: że ziemia z kolei, tak samo jak gwiazdy lub planety, ule-

ga w swym nieustannym ruchu sile przyciągania słońca i dlatego nie spada dokądś w pustkę, lecz obraca się dokoła niego.

Była to jedna z najwspanialszych prawd objawionych ludzkości.

## JAK PRACOWAŁ NEWTON

W roku 1666, mając lat dwadzieścia cztery, Newton został profesorem uniwersytetu w Cambridge. Teraz nic go już nie odrywało od umiłowanej pracy. Jediną przeszkodę w obserwacjach i doświadczeniach stanowiła skąpa pensja — tym skąpsza, że znaczną jej część oddawał Newton potrzebującym. Nie odmówił nigdy człowiekowi, który zwrócił się do niego o pomoc.

Powoli zdobywa Newton uznanie ludzi nauki. W roku 1671 Królewskie Towarzystwo Naukowe, najpoważniejsza angielska instytucja naukowa, wybrała go na członka. W tym samym roku 1671 Newton zbudował swój wspaniały teleskop\*).

Pracował bez wytchnienia, z zupełnym zaparciem się siebie. Nie pamiętał o śnie (sypiał cztery, pięć godzin na dobę) ani o jedzeniu, ani o rozrywkach. Nie miał rodziny. W ciągu dwudziestu sześciu lat swej profesury wyjechał z Cambridge jedyny raz na wakacje.

Zdarzało się, że zamierzywszy pójść do jadalni wychodził z rozłargnienia na ulicę. — Po co ja tu właściwie przyszedłem? — pytał sam siebie rozglą-

\*) Przyrząd do obserwacji ciał niebieskich.

dając się ze zdumieniem dokoła. Potem szybkim krokiem wracał do domu, wchodził do gabinetu i zabierał się znów do pracy, nie mając pojęcia o tym, że wołano go do stołu.

Pewnego dnia podczas obiadu Newton chciał poczęstować gości winem i poszedł po nie do gabinetu. Minęło pięć minut, dziesięć, piętnaście. Gospodarz nie wracał. Goście zaczęli spoglądać na siebie. Serdeczny przyjaciel Newtona poszedł dowiedzieć się, co się stało. Po chwili wrócił.

— Siedzi przy biurku i pisze — oznajmił gościom z uśmiechem, rozkładając ręce.

Gdziekolwiek by się Newton nie znalazł, praca jego umysłu nigdy nie ustawała. Zostawszy członkiem senatu uniwersyteckiego przychodził regularnie na posiedzenia, ale nigdy nie zabierał na nich głosu. Co innego miał w głowie. Jeden jedyny raz przemówił Isaac Newton na posiedzeniu senatu.

— Mój kochany, proszę zamknąć drzwi — rzekł do woźnego. — Okropnie wieje.

Wyniki niestrudzonej pracy Newtona są tak imponujące, że trudno zrozumieć, jak można było tyle dokonać nawet przez sześćdziesiąt lat nieludzkich wysiłków.

Było tego jednak już za wiele nawet dla silnego organizmu Newtona wychowanego na wsi. Wprawdzie trzymał się jeszcze na nogach i w dalszym ciągu pracował, dość jednak było jednego wstrząsu, by nastąpiła katastrofa.

Pewnego dnia wyszedłszy z domu Newton zapomniiał zgasić świecę stojącą na biurku. Mały piesek Newtona przewrócił świecę. Wszystko, co było na

biurku — owoc wieloletnich trudów, notatki z tysięcy doświadczeń — spaliły się. Gdy Newton wrócił do domu i ujrzał, co się stało, w pierwszej chwili przerażenie odjęło mu zupełnie mowę. Potem opadł na krzesło, zakrył twarz ręką i rzekł do psa głucho:

— Ach, Diamond, Diamond! Gdybyś wiedział, jaką wyrządziłeś mi krzywdę!

Od tej chwili siły zupełnie opuściły Newtona. Chorował ciężko, wpadł w rozstrój nerwowy. Przerażeni przyjaciele zaczęli go gwałtem leczyć i osiągnęli to, że po pewnym czasie Newton zupełnie wrócił do zdrowia.

## NEWTON I NAUKA

Nad czymże pracował Newton z takim uporem i pasją?

Do najwspanialszych odkryć jego należy prawo ciążenia powszechnego. Stwierdziwszy, że ziemia przyciąga wszystkie ciała znajdujące się w jej obrębie, dowiódł, że zjawisko to rozciąga się na cały wszechświat.

Jeszcze sto lat przed Newtonem inny znakomity uczony, Mikołaj Kopernik, wywołał wrzenie w świecie naukowym twierdząc, że ziemia nie stoi w jednym miejscu, jak wówczas sądzono, lecz obraca się dokoła słońca.

Po pewnym czasie nikt już nie wątpił, że tak jest właśnie. Kopernik i szereg innych uczonych dowiedli w sposób niezbity tej nowej prawdy.

Zaczęto jednak z kolei łamać sobie głowę nad nową zagadką: jaka siła utrzymuje na niebie ciała niebieskie? Dlaczego wszystkie one: i ziemia, i księżyc,

i niezliczone planety-gwiazdy krążą w swym nieskończonym ruchu nie zderzając się ze sobą i nie unosząc w nieznaną przestrzeń?

Sto lat głowili się uczeni szukając odpowiedzi na to pytanie.

Newton był tym, który ją znalazł. Dlaczego jabłko spada na ziemię? Dlaczego spada na ziemię kamień, choćbyśmy go podrzucili nie wiem jak wysoko? Dlatego, że ciała te posiadają ciężar. A cóż to jest ciężar? Siła, z jaką ziemia przyciąga dane ciało. Ziemia przyciąga wszystkie przedmioty, dlatego też przedmioty te spadają na nią.

Wszystko to wiedziano jeszcze przed Newtonem, ale dalej — ani rusz.

Newton zrobił olbrzymi krok naprzód. Jeżeli ziemia przyciąga wszystko, rozumował, to przyciąga także księżyc. Dlaczego jednak w takim razie księżyc nie spada na ziemię?

Z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że i on nie pozostaje w stanie spoczynku, lecz porusza się. Ziemi starczy sił tylko na to, żeby go przyciągnąć i zmusić do krążenia wokół siebie. Po drugie: księżyc sam przyciąga z kolei ziemię, a wszystko razem — i ziemia, i księżyc, i gwiazdy ulegają przyciąganiu słońca. Mało tego: wszystkie ciała niebieskie przyciągają się poza tym nawzajem i przyciągają słońce. W ten sposób wytwarza się wielka równowaga wszechświata. Dzięki tej równowadze każde ciało niebieskie ma swoje określone miejsce i krążąc wraz z mnóstwem innych dokoła słońca nie podlega niebezpieczeństwu zderzenia.

Nie od razu wpadł Newton na te odkrywcze pomysły. Zanim doszedł do tego wniosku, przebył długą, uciążliwą drogę rozmyślań prowadzących od jednej zagadki do drugiej. Aby wykazać słuszność swego twierdzenia, musiał dowieść go ścisłymi, niesłychanie skomplikowanymi obliczeniami. Musiał wykonać potężną, mrowczą pracę: wyrazić na papierze niezliczonymi kolumnami cyfr ruchy ciał niebieskich.

I oto gdy praca zbliżała się ku końcowi, Newton zorientował się już, że liczby potwierdzą przypuszczenie powstałe w jego umyśle. Radość tak go obezwładniła, że nie mógł już dokończyć obliczeń i poprosił o to jednego ze swych przyjaciół.

A było z czego stracić równowagę. Odkrył prawo rządzące wszechświatem! Prawo, któremu podlega i słońce, i księżyc, i gwiazdy! Prawo to nazwał Newton prawem powszechnej grawitacji czyli ciężenia powszechnego.

Dopiero teraz nauka o ciałach niebieskich — astronomia — weszła na właściwą drogę rozwoju.

Newton stworzył mechanikę niebios: naukę o ruchu ciał niebieskich, o ich zależności wzajemnej, o przestrzeni, w której krążą.

Prawo powszechnego ciężenia umożliwiło wytłumaczenie mnóstwa zjawisk dotyczących zarówno ciał niebieskich, jak i ziemi. Niektóre z tych objaśnień są dziełem samego Newtona, inne — uczonych, którzy się na odkryciach Newtona opierają. Przy pomocy skomplikowanych obliczeń rozwiązał Newton dzięki swemu prawu mnóstwo wspaniałych zadań: obliczył ciężar, masę i szybkość ruchu niektórych ciał niebieskich, wykazał ściśle, jaki kształt ma ziemia,

wykrył przyczynę zrównania dnia z nocą, a także przypływów i odpływów oceanu.

Miarą tego, ile nauka współczesna zawdzięcza Newtonowi, jest znamienity fakt, który zaszedł w r. 1846, a więc przeszło sto lat po śmierci Newtona.

Obserwując ruchy ciał niebieskich uczeni dostrzegli w ruchu planety Uran wyłamanie się spod prawa powszechnego ciężenia. Droga, którą Uran odbywał krążąc dokoła słońca, wykazywała wyraźne odchylenie od tej, którą powinienby odbywać w myśl odkryć Newtona. Ale Newton sam w swych pracach naukowych wskazywał na to, że droga planety może ulec zmianie, jeżeli w pobliżu niej znajduje się jakaś inna wielka planeta, która ją do siebie przyciąga. Obliczył nawet kierunek i stopień tej możliwej zmiany.

Dziwne zachowanie Uranu można było wobec tego wytłumaczyć obecnością jakiejś innej, nieznaney dotychczas planety. Opierając się na wskazówkach Newtona uczeni porobili odpowiednie obliczenia. Przy pomocy tych obliczeń określono ściśle miejsce, w którym powinna być znajdować się owa domniemana planeta. Gołym okiem nie można jej było dostrzec. Zaledwie jednak skierowano mocny teleskop na miejsce wyznaczone przez obliczenia, gdy przed oczyma wstrząśniętych uczonych rozbłysła nowa, nieznaną planeta.

Przedtem sądzono, że Uran jest planetą najbardziej oddaloną od słońca. Teraz odkryto nową, jeszcze dalszą, którą nazwano Neptunem.

Tak oto po stu przeszło latach pokazało odkrycie Newtona swą potężną moc. Kto wie, czy i w przy-

szłości nie dopomoże ono ludziom w odkryciu nowych, nieznanych światów!

Z pracy Newtona korzystają nie tylko astronomowie. Geniuszowi jego mają bardzo wiele do zawdzięczenia i inne dziedziny wiedzy.

Szczególnie wielkie zasługi położył Newton na polu matematyki. Odkrył on taki sposób obliczeń, bez którego byłoby niemożliwością wyprowadzenie prawa ciężenia powszechnego. Sposobu tego używają teraz uczeni badający zjawiska zachodzące na niebie lub na ziemi.

Matematyczne zdolności Newtona były wyjątkowe. Znakomity matematyk Leibnitz ułożył pewnego razu bardzo trudne zadanie, specjalnie dla matematyków. Newton otrzymał zadanie wieczorem. Zanim udał się na spoczynek, miał już rozwiązanie. Z taką samą łatwością rozwiązał niemniej trudne zadanie ułożone przez innego uczonego, Bernulli, i umieścił odpowiedź w czasopiśmie bez swego podpisu. Bernulli domyślił się jednak natychmiast, kto był jej autorem.

— Poznają lwa po pazurach — rzekł przeczytawszy odpowiedź Newtona.

Niezmierną wagę mają dla fizyki prace Newtona dotyczące światła. Newton odkrył widmo słoneczne: wykazał, że promień słoneczny, który wydaje nam się jednobarwny, składa się w istocie z siedmiu barw dostrzegalnych tylko w pewnych specjalnych okolicznościach, np. w tęczy. Odkrycie to posłużyło Newtonowi do wyjaśnienia zjawiska barw, a w następstwie — do określenia składu chemicznego i budowy ciał niebieskich.

Newton pierwszy zrozumiał, w jaki sposób dźwięk rozchodzi się w powietrzu. On pierwszy stwierdził, że wrzenie wody i topnienie metali następuje w pewnej ściśle określonej temperaturze.

Nie podobna wyliczyć wszystkich odkryć, którymi Newton obdarzył naukę, otwierając przed nią nowe drogi wiodące ku poznaniu świata.

### OZDOBA RODU CZŁOWIECZEGO

O tym, jak bardzo geniusz Newtona wyprzedził swoje czasy, świadczy chyba najdobitniej fakt, że dzieło jego oceniło zaledwie trzech, czterech współczesnych mu uczonych. Dopiero później, opierając się na zdobycach Newtona, stworzono zupełnie nowe dziedziny ludzkiej wiedzy.

Większa część życia wielkiego uczonego upłynęła w niedostatku. Dopiero w latach późniejszych, gdy współcześni zrozumieli zasługi Newtona, zaczęli go otaczać szacunkiem i darzyć honorami. Sława Newtona wybiegła daleko poza granice Anglii. W r. 1693 został członkiem francuskiej Akademii Umiejętności, a niedługo potem — przewodniczącym londyńskiego Towarzystwa Naukowego; godność tę piastował aż do samej śmierci. W tym samym czasie nadano mu tytuł lorda.

Wszystkie te zaszczyty nie wywarły żadnego wpływu na skromnego z natury Newtona. Rozumiał dobrze, że wielkie jego odkrycia są zaledwie znikomą cząstką tego, co jeszcze pozostało do wykrycia.

— Jestem jak dziecko, które bawi się na brzegu zbierając kamyczki — rzekł pewnego razu. — Przede

mną leży wielki, nie zbadany jeszcze ocean prawdy.

Newton zdawał sobie też doskonale sprawę z tego, że odkrycia swoje zawdzięcza częściowo pracy poprzedników. Oto własne jego słowa:

— Jeżeli widziałem więcej od innych, to tylko dlatego, że stałem na barach olbrzymów.

Dnia 20 marca 1727 roku zeszedł ze świata w wieku lat 85 mechanik niebios, geniusz, który stworzył wiedzę ludzką o niebie przedtem zasnutym mgłą tajemnicy.

Na grobie Isaaca Newtona w Londynie, na marmurowej płycie widnieje napis:

„Radujcie się, ludzie, że żyła wśród was ta ozdoba rodu człowieczego!“

**Ludwik van Beethoven**



Był pochmurny dzień grudniowy. Miasto Bonn tonęło w gęstej mgle. Mżył deszcz zmieszany ze śniegiem. I domy, i ogrody, i twarze przechodniów powlekała mroczna szarość. Wiatr wył na strychach domów i pędził tumany śniegu.

Jedną z ulic szedł muzyk nadworny  
— Johann van Beethoven.

— Do stu tysięcy diabłów! — klął owijając się szczelniej w płaszcz. — Co za pogoda! A w dodatku panienka nie ma ochoty uczyć się muzyki! Co myślą sobie właściwie ci bogacze? Czy nie wyobrażają sobie przypadkiem, że Johann van Beethoven jest ich służącym? Psiakrew! Co za pogoda! A w kieszeni ani grosza... Wartoby wstąpić do oberży. Może u oberżysty coś dostanę...

Skrećiwszy w boczną uliczkę Johann van Beethoven znikł w drzwiach domu, nad którymi wymalowana była gałązka winorośli. Była to oberża.

Minęły dwie godziny... Zapadał wieczór. Mrok



zgestniał jeszcze bardziej. W drzwiach oberży stanął Beethoven.

— Dobrej nocy — mówił oberzysta odprowadzający go ze świecą w ręku. — Ostrożnie! Niech pan uważa! Próg. Więc zapłaci mi pan za osiem dni. A gdyby nie, to proszę wybaczyć, ale więcej nie będzie pan mógł liczyć na pożyczkę ode mnie. Jestem ojcem rodziny, panie Beethoven, muszę wyżywić...

— Ach, dosyć już, dosyć! — przerwał niecierpliwie Beethoven. — Przecież dałem słowo! Nie od dziś mnie pan zna — mówił znikając w ciemnościach.

— Szkoda człowieka! — mrucał oberzysta. — Nie wiedzie mu się w życiu! Nie poskąpił mu Bóg ani rozumu, ani serca, przyjemnie z nim pogawędzić... No i co z tego? Męczy się, że aż strach! Ile tam zarabia taki muzyk nadworny! No, a żonę i czworo dzieci trzeba wyżywić... Żeby chociaż przyszedł ktoś z pomocą... Czyż brak na świecie dobrych ludzi? Na przykład ja... No cóż, chciałbym z całego serca, ale sam nie mam zbyt wiele... Dłużej niż osiem dni nie mogę teraz czekać... A ile należy mi się już prócz tego!

Tymczasem Johann Beethoven szedł ciemnymi ulicami. Odwiedziny w oberży nie rozweseliły go. Twarz spochmurniała mu jeszcze bardziej, mocno zacisnięte wargi skrzywił uśmiech goryczy, z piersi wydobywały się westchnienia. Z jakim trudem przyszło mu zdobycie tych nędznych groszaków! Ile musiał znieść upokorzeń!

Wreszcie Beethoven dotarł do domu, w którym gnieździła się jego rodzina. Otworzywszy z hałasem

drzwi zaczął wchodzić ciężkim krokiem po wąskich, nieoświetlonych schodach.

— To ty, Johann? — rozległ się z góry delikatny głos.

Płomień świecy rozjaśnił ciemność sieni, ukazując miłą twarz żony Beethovena, która wyszła mężowi na spotkanie.

— Dlaczego jesteś taki zachmurzony, Johannie? I to w dniu urodzin naszego Ludwika!

— Tego jeszcze tylko brakowało! — zawołał muzyk z goryczą. — Mam wszystkiego kilka talarów! Akurat starczy na podarunki!

— Ależ co mówisz! Ludwikowi ani w myśli podarunki! Czy nie znasz tego dziecka? Zaśpiewaj mu coś i pograj trochę na fortepianie, a będzie miał prawdziwe święto!

— No cóż, taka przyjemność nie jest kosztowna. Może i mnie samemu zrobi to dobrze... A gdzie Ludwik? — zapytał Johann Beethoven otwierając drzwi.

Czteroletni Ludwik rzucił się z krzykiem ku matce i ukrył twarz w fałdach jej sukni. Ojciec nie był w domu całymi dniami. Wieczorami wracał zmęczony i rozdrażniony nieustanną pogonią za zarobkiem. Dziecko bało się go.

— No, Ludwiku, bądź grzeczny! — rzekł Beethoven. — Chodź tu!

Chłopczyk zrobił parę nieśmiałych kroków i zatrzymał się patrząc spode łba na ojca. Beethoven spochmurniał i odwrócił się. Zarzuciwszy płaszcz zaczął chodzić po pokoju ciężkimi krokami. Objawszy czule małego matka odeszła z nim w kąt pokoju. Oboje ledwo wstrzymywali łzy.

Zapadło długie, ciężkie milczenie. Wreszcie Beethoven wciąż tak samo ponury siadł przy fortepianie. Ponure, burzliwe akordy rozległy się w pokoju. Grał z przejęciem, pragnąc przelać w dźwięki ciężar, który go dręczył. Stopniowo z urwanych, posępnych akordów wyłoniły się dźwięki łagodniejsze, które przeszły w końcu w żywą ludową pieśń.

Mały Ludwik podniósł schyloną głowę i patrzył na ojca rozbłyśniętymi oczami. Ześliznąwszy się cichutko z kolan matki zbliżył się do fortepianu. W spojrzeniu dziecka nie było już ani lęku, ani nieufności. Drżące z zachwyty, z mocno bijącym sercem słuchało precudnych tonów...

Nagle ojciec przerwał grę i odwrócił się. Ujrzał zasłuchaną twarzyczkę synka, na której zastygł uśmiech szczęścia.

— Zdaje się, że zamarzyłeś się, Ludwiku — rzekł miękko.

— Nie, ojcze, słuchałem tylko... Jakie to piękne... Ach, gdybym ja umiał tak grać!

Ojciec uśmiechnął się.

— Spróbuj! — rzekł biorąc dłoń chłopca. — Trzymaj palce mocniej! Uderzaj tam, gdzie ci pokazę.

Mały Ludwik posłusznie położył dłoń. Uderzając palcami chłopca w klawisze Johann Beethoven zagrał dwukrotnie jedną melodię.

— A teraz potrafię już sam! — zawołał chłopczyk podniecony.

— Ho, ho, zdaje się, że jesteś zbyt pewny siebie — roześmiał się ojciec.

— Pozwól mi tylko spróbować! — prosił uparcie mały.

Ojciec ustąpił mu miejsca. Ludwik usiadł i powtórzył całą melodię bez jednego błędu i pauzy.

Johann Beethoven patrzył na chłopca zdumionymi oczami. Chwilę milczał wstrząśnięty. Wreszcie szepnął:

— Nie zauważyłem dotychczas, co w tobie tkwi, chłopcze. Tak, tak — mówił gładząc w zadumie miękkie włosy malca. — Będzie z ciebie prawdziwy muzyk... Będziemy mieli z matką pociechę na stare lata...

— Ach, ojcze, tak bym chciał uczyć się muzyki! — zawołał Ludwik z twarzą rozbłyśniętą radością.

— Świetnie! Doskonale! Sam będę cię uczył! Zobaczysz, jak szybko pójdzie nam praca!

Następnego dnia zaczęły się systematyczne lekcje. Z początku i uczeń, i nauczyciel byli pełni zachwyty. Po paru miesiącach nauki zauważył jednak Beethoven, że Ludwik nudzi się na lekcjach i nie słucha uważnie jego słów.

## II

Był wieczór. Ojciec i syn siedzieli przy fortepianie. Ludwik słuchał tępo długiego wykładu z teorii muzyki. Nudził się nieznośnie.

— Powtórz! — rozległ się zniecierpliwiony okrzyk Beethovena.

Chłopiec błędził jednak myślami hen, daleko! i nie słyszał ojca.

— Powtórz! — krzyknął ojciec z większym jeszcze rozdrażnieniem.

Ludwik ocknął się, spojrzął spode łba i zaczerwienił się.

— Ach, ty wstrętne stworzenie! — krzyknął ojciec. — Różgą wybiję z ciebie ten opór!

— Johann, na miłość Boską! — rozległ się błagalny głos żony. — Nie bij go, jest jeszcze taki mały!

Johann Beethoven usiłował zapanować nad sobą. Chodził po pokoju wielkimi krokami tam i z powrotem, ściskając ręce w porywie gniewu tak mocno, że słychać było chrzęst stawów.

— Dobrze — rzekł wreszcie głucho, zatrzymując się przed fortepianem. — Siadaj i zagraj ostatnie ćwiczenie. Z pamięci! Powinieneś umieć!

Chłopiec zagrał pochyliwszy nieco głowę. Z wzburzenia drżały mu palce. Dlaczego ojciec dręczy go i znieważa?

— Cudownie! Cudownie! — kpił Johann Beethoven stojąc nad synem. — Co za tempo? Co ty właściwie grasz? Czegoś się rozpędził?

Ludwikowi poplątały się palce. Przerwał grę. Ojciec stracił zupełnie panowanie nad sobą. Purpurowy z gniewu zatrzasnął gwałtownie wieko fortepianu, chwycił Ludwika za rękę i wyrzucił go z pokoju. Usiadłszy w kąciku na schodach dziecko drżało z zimna i strachu. Cała twarzyczka była mokra od łez. Tymczasem Johann Beethoven odepchnął żonę, która podbiegła ku niemu, i chwyciwszy kapelusz wybiegł z domu. Robił tak zawsze, ilekroć w duszy jego roz-

pętała się burza gniewu: świeże powietrze i samotność uspokajały go.

Biedna kobieta została sama. W pokoju panował nieład — wymowne świadectwo sceny, która się tu przed chwilą rozegrała; nuty spadły z pulpitu na podłogę, przewrócone krzesło wałęsało się pośrodku pokoju. A choć nastąpiła już noc — Ludwika jeszcze nie było.

Serce matki ścisnęło przerażenie. Chwyciwszy świecę wybiegła do sieni.

— Ludwiku, moje dziecko!... — wołała. — Gdzie jesteś?

Z ciemnego kąta dobiegło ją ciche łkanie malca. Zeszła ze schodów, odszukała chłopca i zaprowadziła go do domu. Ułożywszy go w łóżeczku prosiła, by okazywał ojcu więcej łagodności i posłuszeństwa. Wielkie łzy jedna za drugą spływały po jej twarzy, gdy gładziła z czułością miękkie włosy synka. Przytulony do matki chłopiec wybuchnął znów płaczem.

— Mamo! — szeptał rozpaczliwie — mammo, zrobię wszystko... wszystko... Tylko nie płacz! Nie płacz!

Johann Beethoven wrócił do domu późną nocą i bez słowa położył się spać.

Nastał ranek. Znów zaczęły się nudne lekcje. Ojciec był surowy, ponury, małowówny. Pamiętając o przyrzeczeniu, które dał matce, malec znosił w milczeniu ataki ojcowskiego gniewu. Myślał, że z czasem ojciec stanie się łagodniejszy, a nauka — ciekawsza.

Miesiące jednak mijały jeden za drugim, nie przynosząc żadnej zmiany. W międzyczasie Ludwik skończył siedem lat.

Pewnego razu Johann Beethoven rozgniewał się na chłopca szczególnie gwałtownie. Straciwszy panowanie nad sobą Ludwik zerwał się z krzesła, chwycił nuty z pulpitu i podarł je na strzępy.

— Tu masz swoje wstrętne wprawki! — krzyczał nieprzytomny ze zdenerwowania. — Nie dotknę więcej fortepianu!

Ojciec zbliżył się.

— Ach! Znowu zaczynasz się upierać?... Masz!

Ludwikowi pociemniało w oczach! Mocna ręka chwyciła go jak kleszczami. Upadł. Matka rzuciła się ku chłopcu i zasłoniła go własnym ciałem.

Ludwik wstał. Z głową wysoko podniesioną, z oczyma roziskrzonymi gniewem rzekł:

— Choćbyś mnie zabił, nie będę cię słuchać.

Zanim ojciec zorientował się, chłopiec wybiegł z pokoju.

Na dworze było pięknie. Jasne słońce lśniło wesoło na młodych listkach. Ludwik wydostał się na ulicę. Szedł przed siebie z głową pochyloną, cały pogrążony w smutnych rozmyślaniach.

Czym właściwie groził ojciec? Że wypędzi go z domu? Proszę bardzo! Będzie sobie wędrował ze skrzypcami po podwórkach i grał to, co wzbierało mu w sercu, grał po swojemu! Żeby tylko dostać gdzieś skrzypce!

Chłopiec zatrzymał się.

— Ach! — zawołał radośnie. — Przecież ojciec na pewno już wyszedł!

Zawrócił gwałtownie i pobiegł do domu. Podkradłszy się pod drzwi mieszkania odemknął je

ostrożnie i zajrzał. Ojca nie było. Na łóżku płakała cicho matka. Chłopiec chwycił wiszące na ścianie skrzypce i wymknął się z pokoju. Po starych, skrzypiących schodkach dostał się na strych i usiadł przy małym okienku, przez które zaglądało błękitne niebo. Drżącą dłonią ujął smyczek i powiódł nim po strunach. Rozległ się drżący, miękki akord... jeszcze jeden... jeszcze... popłynęła szeroka, śpiewna fala tonów... Wchłonęła cały ból nagromadzony w sercu chłopca. Z oczu jego trysnęły łzy...

Matka Ludwika usłyszała cudne dźwięki rozlegające się w górze. Przerażona podniosła głowę z poduszki.

— Boże! — szepnęła wstrząśnięta. — Czy to sen? Kto tam gra? Czy to aniołowie przyszli pocieszyć mnie w nieszczęściu?

Nieśmiało otworzyła drzwi. Miękkie, słodkie tony napłynęły wyraźniej. Zdumiona kobieta zaczęła wchodzić po schodkach wiodących na strych. Dźwięki płynęły stamtąd...

Przy okienku siedział Ludwik. Blask słońca padał mu wprost na twarz... Gdzie podziała się jej ponurość, zaciętość? Jaśniała cała jak oblicze anioła. Serce matki zadrżało ze szczęścia.

— Ludwik! Moje kochanie, najdroższe!

Rzuciła się ku niemu. Ludwik zmieszał się, upuścił smyczek. Spojrzał na matkę z żalem. Nie mógł grać więcej. Westchnął i w milczeniu poszedł do mieszkania. Matka poszła za nim. Odwiesiwszy skrzypce chłopiec usiadł i zamyślił się. Serce miało wciąż jeszcze pełne radosnego zachwyty.

Przypomniał sobie ponurą postać ojca, wyraz bolesnej goryczy w kącikach jego ust, przypomniał sobie częste rozmowy rodziców o braku nawet kęsa chleba, współczucie sąsiadek, nieustanne utyskiwania na niedostatek...

Chłopcu zrobiło się okropnie żal ojca. Ach, dlaczego, dlaczego nie powie mu nigdy cieplejszego słowa? Dlaczego nie chce go zrozumieć? Przecież Ludwik kocha muzykę! Kiedy ojciec gra smutne, chwytające za serce melodie, chciałby paść mu do nóg z zachwyty i wdzięczności...

Spojrzenie chłopca padło na portret starca, wiszący na ścianie. Starzec miał na sobie strój muzyka nadwornego: czerwony frak z złotymi galonami, żabot, perukę, kapelusz pod pachą, w ręku laseczkę. Był to dziadek Ludwika.

Chłopiec wspominał swoje zabawy z dziadkiem, jego łagodny, serdeczny głos.

Jaką piękną, zamyśloną twarz ma dziadek na portrecie, ile życia w spojrzeniu!

Matka zauważyła wzrok chłopca, utkwiony w portrecie.

— Twój dziadek był niezwykłym człowiekiem, Ludwiku — rzekła z ożywieniem. — Szanowali go wszyscy. A jak grał! A jak śpiewał! Pamiętam jedno przedstawienie... Miał na sobie wspaniały strój... sala jarzyła się światłem...

Pani Beethoven umilkła, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

— I co było dalej? — szepnął Ludwik ledwo

dosłyszalnie, wpatrując się w matkę szeroko rozwartymi oczyma.

— Publiczność zamarła... Wszyscy siedzieli z zapartym oddechem... Dziadek śpiewał... Takiego głosu nie usłyszę już nigdy w życiu! Twój ojciec, chłopcze, także ładnie śpiewa. Ale dziadek śpiewał o całe niebo piękniej! Publiczność płakała. Czyż można było nie płakać? Sam książę elektor wstał i zawołał „brawo!“

Oczy Ludwika płonęły w śmiertelnie bladej twarzy.

— Gdy dziadek twój śpiewał — mówiła dalej matka — najgorszy łotr przestawał snuć nikczemne plany, a człowiek dotknięty nieszczęściem zapominał o nim...

— Boże święty! — westchnął chłopiec wstrząśnięty do głębi serca. — Jakże bym chciał być podobny do dziadka!

— Możesz, Ludwiku, możesz! — zawołała matka gorąco. — Ale musisz się uczyć dużo i długo. To nic, że czasem bywa nudno... Ach, chłopcze, i ty mógłbyś zostać wielkim muzykiem — tak mówi ojciec. Przecież i dziadek musiał długo się uczyć!

— Bardzo długo — rozległ się głos u drzwi.

Ludwik drgnął przerażony. Przed nim stał ojciec. Spojrzenie, którym Johann Beethoven ogarnął syna, było dziwnie łagodne i serdeczne.

Wracając do domu usłyszał jego grę, a potem rozmowę z matką. Stał wstrząśnięty nagłym odkryciem. Jakże się to stało, że nie dostrzegł dotychczas geniuszu ukrytego w duszy swego dziecka? Jak mógł

nie spostrzec, że mały Ludwik jest istotą niepodobną do innych?

— Ojcie! — wyjąkał Ludwik zmieszany — będę się uczyć... jeżeli... jeżeli jeszcze... zechcesz...

Johann Beethoven ujął syna za rękę.

— Nie, nie, mój mały... Będziesz się oczywiście uczył, ale nie u mnie. Nie nadaję się na nauczyciela dla ciebie... Poszukamy kogoś odpowiedniejszego!

Wyszedł. Matka i syn patrzyli na siebie nic nie rozumiejąc.

Johann Beethoven wrócił i oznajmił, że za tydzień Ludwik rozpoczyna naukę u kapelmistrza nadwornego — Pfeiffera.

Zmiana nauczyciela nie przyniosła zasadniczej zmiany w lekcjach: były tak samo nudne, jak przedtem. Mimo to Ludwik Beethoven skorzystał wiele z nauki u Pfeiffera, dla którego czuł wdzięczność przez całe życie.

Po roku nauczycielem Ludwika został organista nadworny Neefe. Chłopiec znalazł w nim oddanego przyjaciela i powiernika, któremu zwierzał się ze swoich myśli i planów. Praca szła mu świetnie: zrobił tak wielkie postępy, że został pomocnikiem Neefego.

Płynęły dni za dniami, mijały lata. Mały Ludwik rósł. Surowość ojca odbiła się na jego usposobieniu. Z dziecka wyrósł na zamkniętego w sobie, stoniącego od ludzi młodzieńca. Twarz miał zawsze zachmurzoną, serce pełne smutku. Nikt nie widział jego uśmiechu, nikt nie słyszał jego śmiechu...

Ponure dzieciństwo wyrzyło głębokie ślady w duszy Ludwika Beethovena. Przejmująco smutne było całe życie tego geniusza — jednego z największych.

a może największego kompozytora świata. Los nie szczędził mu ciosów. Najstraszniejszym ze wszystkich była głuchota.

Ludwik Beethoven, twórca natchnionej muzyki, której słuchały miliony, nie słyszał melodyj, które sam stworzył!

Cierpienie i rozpacz nie złamały go jednak. Przeciwnie — cierpienie stało się źródłem najwspanialszych Beethovenowskich arcydzieł.

**Hans Krystian Andersen**



W roku 1805, na wiosnę w małym miasteczku duńskim Odense, w ubogiej izdebce szewca Andersena przyszedł na świat chłopiec, któremu nadano imię Hans-Krystian.

Andersen ojciec został rzemieślnikiem nie z własnej woli. Gorąco pragnął uczyć się, lecz rodzice jego stracili nagle majątek i musieli oddać syna na naukę do szewca. Andersen nie przestawał jednak przez całe życie marzyć o niedostępnym wykształceniu.

Odkąd sięgała pamięć Krystiana, widział zawsze smutną twarz ojca pochylonego nad robotą, do której czuł wstręt. Uboga i brzydka była izdebka, w której gnieździła się rodzina szewca. Nędzne, stare sprzęty, łóżko, ławka, na której sypiał chłopiec — oto całe urządzenie. W chwilach wolnych mała rodzina siadywała razem. Ojciec zdejmował ze czci z półki pieczołowicie zawinięte w papier bajki Lafontaine'a lub komedie duńskiego pisarza Hulberga. Czasem w rękach jego zjawiał się zbiorek „Tysiąc i jedna noc”. Matka naprawiała bieliznę, ojciec czytał na głos, a Hans Krystian słuchał ciekawie. Uboga izdebka wydawała się chłopcu rajem. Było tu tak przytulnie,



tak czysto! Ogród zastępowała mu skrzynka z ziemią, w której matka zasiała cebulę i pietruszkę.

Przychodziła wiosna, pękały pąki na drzewach... Każdej niedzieli ojciec udawał się z Krystianem do lasu. Co to były za przechadzki! Siedząc na miękkiej trawie pod jakimś pachnącym krzakiem ojciec słuchał zamysłony rozbrzmiewających w leśnej gęstwinie ptaszęcych trelów i poświstów. Po twarzy jego błędził uśmiech cichego szczęścia. A tymczasem chłopak, wesoły jak ptak, zbierał w podskokach poziomki.

Czasem matka brała także udział w tych przechadzkach. Wtedy zbierano w lesie gałązki brzozy, które Hans Krystian uroczyście zanosił do domu.

W ogóle małemu Krystianowi powodziło się wcale dobrze. Otaczała go serdeczna miłość rodzinna. Nawet staruszka babka, mieszkająca przy szpitalnym ogródku, przychodziła codziennie, żeby się dowiedzieć, jak się ma jej mały ulubieniec. Dwa razy do roku babka zjawiała się z miną bardzo tajemniczą.

— No, Hansie Krystianie — mówiła czule — dziś zabieram cię do siebie. Starczy roboty dla nas obojga!

Działo się to w czasie, gdy starowinka paliła zeschłe liście w swoim ogródku.

W wielkim piecu szpitalnym rozpalala babcia ogień i wrzucała tam liście; bajecznie wysoki stos przygotowanych śmieci malał coraz bardziej. Tajemniczy płomień, a przed nim zgarbiona postać staruszki — wyglądało to jak obrazek z czarodziejskiej baśni. Po skończonej pracy babka częstowała wnuka pysznym obiadem, a potem Hans Krystian szedł do

warsztatu tkackiego, w którym pracowały ubogie staruszki.

Wlazszy na stół chłopiec wznosił uroczyście ręce ku górze i zaczynał przemowę, powtarzając zastłyszane gdzieś zdania:

— Mądrze zbudowany jest organizm ludzki! Płuca, kiszki, serce! Oto one: oto płuca, oto kiszki, oto serce!

Ręce małego profesora kreśliły śmiało na drzwiach tkalni jakieś niezrozumiałe hieroglify.

— Czy widzicie je dobrze? — pytał z powagą chłopiec.

Zwijając nici staruszki kiwały głowami.

— Nie — szeptały starczymi wargami — tak mądre dziecko nie uchowa się długo. Siądź bliżej, dzieciątko, posłuchaj teraz nas, stare!

Miarowym głosem zaczynała jedna ze staruszek długą, długą baśń. Cicho, jednostajnie brzęczało wrzeczono w jej rękę, cicho, jednostajnie płynęła jej powolna mowa... Opowiadała o złej dziewczynce, która nadepnęła na Boży dar — chleb; o starej czarownicy, która warzy piwo na błocie, o wiedźmie, co posłała żołnierza po krzesiwo... Chłopiec siedział na podłodze zastygły, nieruchomy. Gdy wracał do domu, miał głowę pełną cudnych historii, a serce drżało mu ze strachu.

Nadszedł czas, gdy trzeba było pomyśleć o nauce Krystiana. Na nauczycielkę wybrano starą kobietę znaną ze swej „uczoności“ w całej okolicy. Wyglądała prawie zupełnie jak owa wiedźma z baśni zastłyszanej przez chłopca w tkalni. W wielkich okularach, w nasuniętym na oczy czepku, koścista, siwa,

siedziała zawsze bez ruchu pod ściennym zegarem, na fotelu, z którego wylaziło włosie. Obok leżał zawsze wielki pęk różeg. Zegar wybijał ochryple godziny, a wtedy wyskakiwały z tarczy postacie arlekina i wystrojonej pani. Arlekin kiwał głową, a dama wachlowała się dygając. Było to okropnie zabawne. Wszystkie dzieci czekały z niecierpliwością na uderzenie zagara. Za to nikt nie czekał na uderzenie różeg, którymi stara hojnie raczyła dzieci. Siadały one dokoła nauczycielki i chórem, głośno, śpiewnie sylabizowały. A jeśli któreś pozostało w tyle — koścista ręka podnosiła różgi do góry.

Mały Andersen czekał zawsze drżąc z niecierpliwości na chwilę, kiedy wskazówka zegara dotknie wreszcie upragnionej liczby i rozlegnie się zachrypnięte uderzenie. Pewnego razu nie wytrzymał i wydał głośny okrzyk zachwyty.

W tej samej chwili różgi uniosły się w górę, świsnęły i spadły na plecy Hansa Krystiana.

Chłopiec rozplakał się z bólu i obrazy. Nic nie mówiąc spakował książki, poszedł do domu i oznajmił rodzicom, że więcej do szkoły nie pójdzie.

Wtedy oddano Hansa Krystiana do „Szkoły dla chłopców“ pana Karstensa. Był najmniejszy ze wszystkich uczniów. Podczas pauz Karstens prowadził chłopca za rękę po podwórzu, lękając się, by koledzy nie przewrócili go. Krystian nie przyjaźnił się z żadnym z chłopców, nie brał udziału w ich głośnych zabawach. Lubił siedzieć gdzieś w kąci i marzyć.

Do szkoły Karstensa uczęszczała dziewczynka, rówieśniczka Krystiana. Mały Andersen próbował się

z nią zaprzyjaźnić. Była spokojna, rozsądna i mądra, jak mała staruszka.

Razu pewnego podczas pauzy Krystian wpadł zdyszany na podwórze, szukając koleżanki wśród grających w piłkę uczniów.

— Chodź tu — szepnął tajemniczo — coś ci pokażę!

Gdy dziewczynka podeszła, wyjął z kieszeni jakiś papierek.

— Patrz, to mój zamek — rzekł dumnie. — Prawda, że piękny? Dopiero co narysowałem go!

Dziewczynka spojrzała. Ledwo, ledwo wstrzymała się od śmiechu. A tymczasem w głowie Krystiana powstała już cała historia, w którą święcie wierzył.

— Wiesz — rzekł tajemniczo — jestem synem potężnego magnata! Ale pamiętaj, że to wielka tajemnica. Zamieniono mnie, kiedy byłem malutkim dzieckiem. Anioły same przylatują do mnie. One mi właśnie opowiedziały o zamku i o tym, że jestem synem magnata!

Dziewczynka, która słuchała bardzo uważnie, parsknęła nagle śmiechem.

— Słuchajcie, chłopcy! — zawołała. — Przecież on ma źle w głowie. Gdybyście wiedzieli, co mi tu teraz napłótt!

Mały Andersen stał z pochyloną nisko głową. Oczy miał pełne łez. Uważano go za wariata, znęcano się nad nim! Odtąd zaczął unikać dziewczynki.

Chociaż Krystian nie przyjaźnił się z chłopcami, to jednak zawsze stawał w obronie pokrzywdzonych. Karstens, uważnie obserwujący swych uczniów, po-

kochał gorąco małego Andersena. Zapraszał go często do siebie, częstował ciastem, dawał mu kwiaty. Całe życie wspominał Krystian Andersen z czułością swego łagodnego, serdecznego nauczyciela.

W izdebce szewca panował wówczas straszny niedostatek. Matka Krystiana zbierała po okolicznych polach pozostałe po żniwie kłosa. W wyprawach tych towarzyszył jej stale synek.

Pewnego razu zawędrowali do jakiejś bogatej posiadłości. Matka Krystiana szła spokojnie polem, rozmawiając z innymi kobietami zbierającymi kłosa. Nagle chłopiec dostrzegł między drzewami gniewną twarz administratora z wielkim batem w ręku. Złodowaciały z przerażenia chłopiec chwycił matkę za rękę i szepnął:

— Mamo... spójrz... spójrz... on ma bat!

Biedna kobieta zadrżała, upuściła wiązkę kłosów i rzuciła się do ucieczki. Chłopiec pobiegł za nią, ale nogi uginały się pod nim ze strachu. W pewnej chwili zgubił swoje drewniane chodaki. Błady jak śmierć zatrzymał się. Administrator już go doganiał. Chłopiec usłyszał nad głową świst bata... Nagle wyprostował się, podniósł na niegodziwca pełne łez oczy i zapytał cicho:

— Jak śmiesz mnie bić? Przecież Bóg widzi cię!

Ręka z batem opadła. Administrator uśmiechnął się:

— Oho! Jak ty rozprawiasz! Podejdz bliżej. Jak się nazywasz? Jak? Hans Krystian? No, masz, Hansie Krystianie, na cukierki.

Poklepawszy dziecko po twarzy surowy człowiek wsunął mu do ręki pieniądz.

Bez tchu przybiegł Krystian do matki.

— Mamo! — wołał pokazując monetę. — Nie bił mnie wcale! Zobacz, co mi dał!

Widząc wszędzie dokoła siebie ubóstwo chłopiec jakoś nigdy nie zastanawiał się nad nim. Matka kochała go namiętnie i wydawała ostatnie grosze, żeby był porządnie ubrany, jak chłopiec z dostatniej rodziny.

W długie wieczory, po skończonej pracy, Andersen czytywał żonie i synkowi Biblię. Zastanawiając się głęboko nad tym, co przeczytał, starał się przejąć nauką Bożą i drżącym z podniecenia głosem usiłował tłumaczyć żonie tekst Ewangelii. Gdy żona nie rozumiała go, co zdarzało się najczęściej, urywał nagle rozmowę i siedział długo nieruchomy z nisko pochyloną głową.

Dni mijały za dniami. Szewc Andersen smutniał coraz bardziej, coraz bardziej stronił od ludzi. Dręczyło go uczucie zupełnego osamotnienia, niemożność znalezienia zrozumienia wśród najbliższych. Tylko patrząc w jasne oczy syna czuł się spokojny i szczęśliwy...

Tymczasem chłopca pochłonęło całkowicie nowe zainteresowanie. Pewnego razu rodzice poszli z nim do teatru. Odtąd Krystian chodził jak nieprzytomny. Oddałby wszystko w świecie, żeby móc częściej bywać w teatrze! Myślał tak długo, jakby tu sobie poradzić, aż coś wymyślił. Stał na czatach przed bramą swego domku, czekając na roznosiciela

afiszów teatralnych. Gdy roznosiciel nadszedł, chłopiec zbliżył się do niego.

— Panie Junker! — poprosił. — Niech pan będzie tak dobry i pozwoli mi zajrzeć do afisza. Chciałbym wiedzieć, co dziś dają.

— Masz, ale prędko, bo mi się spieszy! Zostało mi jeszcze dużo domów.

— Z przyjemnością pomógłbym panu, panie Junker. Ale... czy nie ma pan zbytecznego afisza? Byłbym panu taki wdzięczny!

— Dobra, chłopcze — rzekł roznosiciel. — Ja ci dam nowy afisz, i to nawet na czerwonym papierze, a ty rozniesiesz mi za to wszystkie afisze w swojej dzielnicy. Zgodna?

— Zgodna, panie Junker, zgodna!

Mały Andersen spełnił z powagą swój obowiązek i wrócił do domu rozpromieniony. Ukrywszy się w kąciku izdebki zaczął chciwie odczytywać afisz. Tytuł sztuki, imiona występujących w niej osób, miejsce akcji — wszystko to układało się w wyobraźni chłopca w oryginalną komedię. Fantazja poddawała akt po akcie, a chłopiec opowiadał je sobie, upajając się własnym pomysłem.

Największym marzeniem biednego szewca było wyjechać z Odense i osiedlić się gdzieś w małym domku na wsi. I oto dowiedział się, że w pewnym majątku potrzebny jest szewc. Poszedł tam i wrócił do domu rozpromieniony. Proponowano mu izdebkę i małą skrawek ziemi pod pastwisko, a prócz tego stała robotę. Proponowano mu raj na ziemi!

— Pomyśl, dziecko, pomyśl! — mówiła do

Krystiana matka. — Będziemy mieszkać na wsi!

Ojciec zacierał ręce z radości.

— A to pierwsze zamówienie, chłopcze! — zawołał potrząsając kawałkiem pięknego jedwabiu. — Pani kazała mi zrobić na próbę parę balowych trzewików. No, a teraz do pracy!

Andersen wziął się z zapałem do wykonania trzewików. Ile miał z nimi kłopotu, ile razy zakładał je na kopyto, jak zastanawiał się nad każdym szwem! Wreszcie trzewiki były gotowe. Andersen postawił je na skrzyni i stanął w pewnej odległości, żeby je lepiej widzieć.

Cała rodzina patrzyła na trzewiczki w modlitewnym skupieniu.

— Kiedy się na nie patrzy — szepnęła z zachwytem szewcowa — to wydaje się, że jeszcze chwila — i pójdą w tan!

Hans Krystian nie powiedział ani słowa. Tak cudnych trzewiczek nie widział jeszcze nigdy w życiu.

— No, komu w drogę, temu czas — rzekł radośnie Andersen. — Niedługo trzeba będzie zbierać się w drogę wszystkim. To dopiero będzie miał nasz chłopak uciechę!

Pani była w domu i kazała wprowadzić szewca do pokoju.

— Pokaż, co tam masz — rzekła cedząc słowa, ledwo skinąwszy głową.

Drżącymi rękoma wyjął Andersen z zawiniątka cudne trzewiczki i postawił je ostrożnie przed panią. Pani spojrzała i poczerwieniała z gniewu.

— Co? To mają być balowe trzewiczki? Bez-

czelność tych ludzi przechodzi wszelkie granice! Zepsuć taki kosztowny materiał! W tej chwili wynoś się stąd!

Szewc zbladł jak płótno. Milcząc wyjął z kieszeni nożyk i pociął nim podeszwy trzewiczków.

— Jeżeli zmarnował się jedwab pani — rzekł głucho — to niech zmarnuje się i moja skóra!

Od tego czasu biedny szewc wpadł w straszne przygnębienie. Nigdzie nie mógł sobie znaleźć miejsca, całymi dniami błądził po lesie. Robota leżała odłogiem... Jedyłą rzeczą, która go interesowała, były gazety. Przynosił je skądś każdego ranka i chciwie przebiegał oczyma długie kolumny druku, a potem strasznie podniecony biegał tam i z powrotem po pokoju.

— Tak, tak — mrucał — to bardzo dobrze... Napoleon... Doskonale!

Jeden za drugim mijały dni, jeden cięższy od drugiego. Pewnego ranka szewc rzekł nie patrząc na żonę:

— Postanowiłem zaciągnąć się do wojska.

— Ty — do wojska? Hansie, opamiętaj się! Bóg z tobą! Pomyśl o rodzinie!

— Tak postanowiłem i basta. Zobaczysz, że wrócę do domu jako oficer. Nie nadaremnie wielbię Napoleona! Jego gwiazda opromieni i moje nędzne życie!

Nie pomogły błagania ani płacz żony. Andersen nie zmienił swego postanowienia. A tu akurat jak na nieszczęście Hans Krystian zachorował na odrę. Biedna kobieta chodziła jak nieprzytomna.

Nastąpił wreszcie straszny dzień, w którym odział żołnierzy miał wyruszyć z miasta, a z nim szewc

Andersen. Było mu nie do zniesienia ciężko. Patrząc rozpalonymi oczyma na żonę i syna starał się umyślnie głośno śpiewać, śmiać się i rozmawiać...

Chłopiec leżał w gorączce, z czerwoną, spuchniętą twarzą. Ojciec objął go gwałtownie i tak mocno przycisnął do piersi, że dziecko krzyknęło.

— Bądź zdrow — rzekł głuchym, rozdygotanym głosem. — Bądź zdrow...

Ręce, którymi poprawił poduszkę chłopca, drżały jak w febrze. Jeszcze raz ucałował syna i wybiegł z izdebki. Żona zanosząc się od płaczu odprowadziła go do rogatek.

Wkrótce zawarto pokój i Andersen wrócił do kraju. Wrócił... Nie był to już jednak dawny Hans Andersen... Chory, wymęczony życiem obozowym, siedział całymi dniami bez ruchu, otulony w płaszcz, w kącie ubogiej izdebki. Drżał cały, a płonące gorączką oczy wlepił nieustannie w jeden punkt. Pewnego ranka zaczął bredzić. Oczy miał szeroko otwarte, ale nie widział nic.

— Do ataku! — krzyczał jak szalony. — Napierać ze wszystkich sił! Na ramię broń! Marsz!

Chory bredził coraz straszniej. Stracił już prawie zupełnie głos i ochrypłym szeptem wydawał rozkazy.

Pobiegnij do znachorki — rzekła płacząc matka do Krystiana. — Zapytaj, czy nie mogłaby poratować ojca.

Znachorka dała chłopcu gałązkę i powiedziała, że pochodzi z drzewa, na którym ukrzyżowany był Chrystus. Błady ze strachu, lecz pełen nadziei wrócił Krystian do domu i opowiedział matce o tajemniczych zaklęciach, które znachorka uczyniła nad gałązką.

Na trzeci dzień Hans Andersen umarł. Był wieczór. Za kominem cykał świerszcz.

— Umarł już! Nie wołaj go! — szepnęła matka do Krystiana. — Zabrała go do siebie Lodowata Dziewica.

Chłopiec drgnął. Spojrzał na matkę przerażony. Minionej zimy mróz pokrył pewnego dnia małe okienka izdebki ślicznym wzorem. Wśród dziwnych, srebrzystych motywów widać było wyraźnie białą sylwetkę kobiety, jakby ulepioną ze śniegu. Miało się wrażenie, że wyciąga przed siebie ramiona.

— Czyś przyszła po mnie? — zapytał wtedy ojciec uśmiechając się smutnie.

Na grobie Andersena babcia zasadziła pachnący krzew róży. Wkrótce krzew rozrósł się tak wspaniale, że gałązki jego okryły cały pagórek, pod którym spoczywał biedny, skrzywdzony przez życie człowiek.

W izdebce Andersenów panowała teraz wielka nędza. Z samego rana wdowa wychodziła z domu na pranie, a wracała dopiero wieczorem, zziębnięta od stania w lodowatej wodzie, w której płókała bieliznę. Chłopiec zostawał w domu samiuteńki.

W izdebce panowała głęboka cisza. Hans Krystian siedział w kącie na podłodze; przed nim stał tekturowy teatr, zrobiony jeszcze przez ojca. Małe, barwne figurki na drewnianych podstawkach miały rozpostarte ramiona. Papierowe dekoracje oznaczały góry, lasy, rzekę, morze... Była tam nawet zasłona ze strzępku czerwonego kretonu. Gdy stroje aktorów nie nadawały się już do użytku, Krystian szył nowe ze

skrzętnie zbieranych skrawków materiału. Miał dużo wolnego czasu — do szkoły już nie chodził.

W sąsiedztwie Andersenów mieszkała wdowa po pastarze Bunkeflod wraz ze szwagierką. Obie kobiety lubiły bardzo szczupłego, jasnowłosego chłopca o mądrej, myślącej twarzyczce i często zapraszały go do siebie. Zazwyczaj siadywały wtedy z robótkami w rękę, a Krystian czytał coś na głos. Tu po raz pierwszy poznał utwory Szekspira. Mimo to, że przekład był marny, przeczytał z zachwytem „Króla Lira“ i „Hamleta“, a potem „wystawił“ te sztuki w swoim tekturowym teatrze. Wreszcie chłopiec zapragnął sam napisać sztukę. Była to rozdzierająca serce tragedia: wszystkie występujące w niej osoby umierały straszną śmiercią. Gdy sztuka była już gotowa, młody autor zaprosił kilka sąsiadek i odczytał im uroczyście swój utwór. Ale sąsiadki wyśmiały go... Z wielkim trudem udało się matce uspokoić obrażonego chłopca.

Obmyślając mowę swych bohaterów, królów i księżniczek Krystian rozumował w następujący sposób:

„Muszę używać jakiegoś obcego języka, ale jakiego? Przecież każde słowo tak niezwykłych osób powinno być niezwykle!“

Chłopiec wygrzebał skądś słownik duńsko-niemiecko-francusko-angielski i wziął się do pracy.

Akt pierwszy: uroczyste wejście króla. Księżniczka zwraca się do niego z następującymi słowami:

— Guten Morgen, mon père. Czy Wasza Królewska Mość dobrze sleeping?

Król odpowiadał jej w podobny sposób — w kilku językach jednocześnie.

Wreszcie matka uznała, że czas już, żeby chłopiec zajął się czymś poważnym. Krystian zaczął pracować w fabryce.

Było tam rojno i gwarno jak w ulu. Mnóstwo robotników i chłopców uwijało się po wielkim gmachu, śmiejąc się, śpiewając, kłócąc się i rozmawiając podniesionymi głosami. Nieśmiałość Krystiana wywołała kpiny wśród nowych kolegów. Chłopcy fabryczni rzucili się na nowicjusza i pobiliby go dotkliwie, gdyby nie wyrwał im się i nie uciekł do domu. Powtórzyło się to samo, co niegdyś w pierwszej szkole: Krystian za nic nie chciał wrócić do fabryki.

A tymczasem biednej wdowie coraz trudniej było pracować. Po długich namysłach zdecydowała się wreszcie wyjść za mąż za młodego szewca. Był to łagodny, spokojny człowiek o szczerzej, uczciwej twarzy i żywych, piwnych oczach. Wszyscy troje zamieszkali w nowym mieszkaniu niedaleko rogatek miejskich.

Krystian lubił chodzić stamtąd nad rzekę koło klasztornej młyna. Gdy zamykano śluzy, cała woda spływała w dół. Chłopiec zbierał wówczas małe rybki, które zostały na mieliźnie, i śpiewał piosenki własnego pomysłu. Wiedział, że ma piękny głos i często marzył o tym, że ten głos przyniesie mu w przyszłości szczęście.

Pewnego razu sąsiadka staruszka powiedziała chłopcu, że pod rzeką Odense leży cesarstwo chińskie. Odtąd Krystian zaczął marzyć o Chinach.

„A może nagle — marzył — księżę chiński,

i to nie zwykły księżę, ale ten najważniejszy, przedostanie się do nas przez dno, wyrzy z wody i powie:

— Mój chłopcze, jak ty ślicznie śpiewasz! Ładniej niż rajski ptak Feniks! Pojedź ze mną. Zawiozę cię do Chin i przedstawię samemu cesarzowi.

I zawiezie mnie rydwanem zaprzężonym w ogniste smoki i da mi dużo, dużo pieniędzy. A ja potem wrócę do kraju i zbuduję wspaniałą pałac“.

Wiść o chłopcu z cudnym głosem doszła do pułkownika Heg-Hulberga. Krystian został wezwany do pułkownika, śpiewał przed nim i deklamował Szekspira.

Pułkownik był wstrząśnięty. Po pewnym czasie wezwał chłopca po raz drugi i rzekł:

— Mówiłem o tobie z księciem Krystianem. Jego Książęca Wysokość życzy sobie, żebym cię przyprowadził do pałacu.

Bajeczny księżę dziecięcych marzeń Krystiana Andersena zjawił się naprawdę!

Chłopiec pobiegł do matki. Stała w rzece, wyzrywając bieliznę sinymi z zimna rękami. Z daleka już zawołał:

— Mamo, Mamo! Księżę zaprosił mnie do pałacu!

Biedna praczka załamała ręce:

— Boże, zlituj się nade mną! Co za bzdury wygaduje ten chłopiec!

Uśmiechnęła się z goryczą, spojrzawszy na stos bielizny.

Z takim ładunkiem na plecach będzie musiała wejść pod górę. A jej synowi pałace w głowie...

— Ale ja mówię prawdę, mamó! Pułkownik zabiera mnie jutro do pałacu!

— Jezu Chryste! — szepnęła praczka. — Co to za chłopiec! Aniołowie Pańscy muszą go mieć w swej opiece!

Po chwili wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że syn szewca jedzie w odwiedziny do księcia.

Następnego dnia Hans Krystian wystrojony w pozbierane wśród sąsiadów odświętne szaty, w nowym jedwabnym krawacie udał się z pułkownikiem do pałacu, pamiętając o wskazówce swego protektora: prosić księcia o możliwość wstąpienia do gimnazjum.

Gdy Hans Krystian wchodził na salę następcy tronu, królewicza duńskiego Krystiana VIII, trząsł się cały jak w febrze. Nie pamiętał potem wcale, co robił, jak śpiewał i deklamował, pamiętał tylko ciepły głos, który go zapytał:

— Czego pragnąłbyś najbardziej, chłopcze?

— Ach, tak bardzo chciałbym wstąpić do gimnazjum! — odpowiedział Andersen.

Książę zamyślił się.

— Zdoności do śpiewu i deklamacji nie są jeszcze oznaką geniuszu — rzekł wreszcie. — Nie wolno zapominać o tym, jak długa i mozolna jest droga wiedzy. Pomógłbym ci chętnie, gdybyś chciał nauczyć się jakiegoś rzemiosła, zostać... no, powiedzmy, tokarzem.

Mały Andersen runął z nieba na ziemię...

Zamiast do gimnazjum wstąpił Hans Krystian za namową matki do szkoły dla ubogich.

Nauka przychodziła mu z łatwością, a opowia-

dania nauczyciela religii dawały szerokie pole do marzeń. Barwne obrazy dawno minionej przeszłości powstawały w wyobraźni chłopca.

Andersen lubił opowiadać kolegom o niezwykłych przygodach, które jakoby mu się przytrafiły. Często uczniowie śmieli się z niego. Życie wydawało się wówczas Krystianowi ciężkie i niesprawiedliwe.

Często przechodził pod oknami krawca Stegmana, zamieszkałego na głównej ulicy miasteczka. Na próżno matka mówiła do Krystiana:

— Popatrz, jak świetnie mu się powodzi! Masz stanowczo zdolności do krawieczyzny: tak ładnie ubierasz swoje kukielki. Byłoby dobrze, gdybyś został uczniem Stegmana!

Krystian miał już jednak ułożony całkiem inny plan. W jego małej skarbonce leżało aż trzynaście dolarów.

Pewnego razu rzekł do matki:

— Mamó! Nie chcę być krawcem. Chcę grać w teatrze.

Tego było już za wiele. Matka wpadła w gniew.

— Tam dopiero pokosztujesz różeg! — zawołała. — Będą cię głodzić, żebyś był lżejszy! Będą cię smarować oliwą, żebyś był giętszy! Nie! Zostaniesz krawcem!

Hans Krystian zadrżał. Próbował matkę przekonać:

— Zdobędę sławę! — mówił głosem pełnym wiary. Pomyśl, ilu sławnych ludzi cierpiało nędzę, zanim się wybili! Torwaldsen był podobno w dzieciństwie zwykłym obdartusem!

Wreszcie nie wytrzymał i rozplakał się.



— Z początku trzeba się porządnie nacierpieć — mówił wśród łkań — a potem jest się sławnym.

— No, dobrze — rzekła matka wzdychając. — Niech znachorka powróży ci z kart i osadu kawy. Jak powie, tak będzie!

Wezwano znachorkę. Jak przez mgłę widział chłopiec jej starczą postać, jakby z niezmiernej oddali dobiegły go jej słowa:

— Nadejdzie dzień — brzmiała wróżba — gdy w Odense zapłonie iluminacja ku czci Krystiana Andersena.

Teraz matka nie sprzeciwiała się już zamiarowi syna. Nie zwracała uwagi na sąsiadów, twierdzących, że nie można puszczać do obcego miasta czternastoletniego chłopca.

Wyjazd Krystiana był postanowiony.

Mniej więcej przed rokiem Piotr Junker, rozpoznawca afiszów teatralnych, zaprowadził chłopca za kulisami. Krystian był zachwycony, zachwyt jego wzrósł jednak jeszcze bardziej, gdy Junker wystarał się dla niego o niemałą rolę statysty. Za kulisami rozmawiano wciąż o teatrze, szczególnie unoszono się nad talentem tancerki Szal.

— Dopnę swego — marzył Krystian — odszukam ją w Kopenhadze, a wraz z nią zdobędę szczęście!

Stary drukarz Heversen, cieszący się w Odense powszechnym szacunkiem, po długich prośbach dał chłopcu list polecający do tancerki, chociaż jej wcale nie znał.

Krystian opuścił Odense. Jechał „na gapę“, bez biletu. Wręczył tylko trzy dolary pocztylionowi. Dro-

ga wydawała mu się nieskończenie długa. W Norbargu wsiadł na okręt, potem znów odbywał podróż w dylizansie.

W ponury, listopadowy poranek dylizans zatrzymał się na wzgórzu Friderinsberg, skąd roztaczał się widok na całą Kopenhagę. Przede wszystkim Andersen udał się do teatru.

— Czy nie życzy sobie pan biletu na dzisiejsze przedstawienie? — zapytał go sprzedawca krążący przed teatrem.

Chłopiec wyciągnął rękę po bilet. Myślał, że poczciwy człowiek chce mu go podarować i zdziwił się bardzo, gdy sprzedawca zwymyślał go.

Umieściwszy rzeczy w taniutkim hoteliku Krystian udał się od razu na poszukiwanie tancerki Szal. Pod drzwiami, za którymi mieszkała królowa jego marzeń, chłopiec ukląkł i zaczął się gorąco modlić. Przechodząca obok służąca wzięła go za żebraka i wsunawszy mu w rękę monetę poszła dalej. Andersena zdumiał jej postępek: wydawało mu się, że w szerokoskrzydłym kapeluszu, z wpuszczonymi w cholewki spodniami wygląda po prostu wytwornie...

Zmieszany wszedł do mieszkania tancerki i podawszy jej list czekał ze spuszczonej oczyma, mnąc w rękach Bogu ducha winny kapelusz.

— Nie znam pana, który to pisał — rzekła tancerka przeczytawszy list.

— Czym mogę panu służyć?

Chłopiec zadrżał.

— Tak kocham teatr! — zawołał. — Tak bym chciał grać w królewskim teatrze!

— Ale jakie role mógłby pan grać?

— Kopciuszka! Chciałbym grać Kopciuszka!  
— odpowiedział z przejęciem Andersen. — Mogę zaraz pokazać... Zdejmę tylko buty, żeby było lżej!

Zanim tancerka zdążyła coś odpowiedzieć, Hans Krystian bez butów, z kapeluszem w ręku stanął na czubkach palców.

Kapelusz zastępował tamburino. Trzymając go wysoko nad głową chłopiec starał się wdzięcznie przeginać, tańczył i śpiewał z zapalem.

Ruchy chłopca były tak komicznie niezdarne, że pani Szal nie zauważyła jego pięknego głosu. Przypuszczając, że ma przed sobą wariata, przeprosiła go wśród tańca i wyprowadziła z mieszkania. Hans Krystian nie domyślając się niczego nasunął kapelusz na oczy i śmiałym krokiem ruszył do dyrektora teatru królewskiego.

Tu znów czekało go niepowodzenie. Obrzuciwszy wzrokiem jego postać dyrektor wycedził:

— Jest pan za chudy na scenę.

— O, niech by mnie tylko przyjęli i dali chociaż sto dolarów pensji, a zobaczy pan, jak się roztyję!

— Bardzo to pięknie — odrzekł dyrektor łodowatym tonem — ale przyjmujemy tylko ludzi do brze przygotowanych i... dobrze wychowanych.

Straszliwe przerażenie i pragnienie śmierci ogarnęło duszę Krystiana. Przybiegłszy do swej nędznej komórki rzucił się na kolana i płacząc zaczął się modlić. Modlitwa pokrzepiła go.

— Trzeba dużo cierpieć, za to potem będzie dobrze — wyszeptał uspokojony.

Owego wieczora dawano w operze „Pawła i Wirginię“. Krystian poszedł do teatru. Gdy nastą-

pił wzruszający moment pożegnania Pawła i Wirgini, nie wytrzymał i rozplakał się.

— Czego płaczesz? — pytały go sąsiadki na galerii. — Nie myśl, że rozstają się naprawdę! Zobaczysz, za chwilę będą się razem kłaniać publiczności!

— Jakie czułe serce ma ten chłopiec! — zawołała jakaś staruszka i wzruszona ofiarowała Krystianowi „kanapkę“. Dar ten był bardzo na czasie, bo chłopiec zdążył się już porządnie wygłodzić. W porywie szczerości rzekł:

— Płakałem, bo scena to moja Wirginia, z którą muszę rozstać się na wieki!

Kobiety podsuszały mu swoje kanapki... Nie rozumiały jego słów.

Następnego dnia zapłacił Krystian rachunek w hotelu. Spojrzał smętnie na jedyny dolar, który mu jeszcze pozostał. Cóż miał czynić? Za nic nie chciał wrócić do Odense, stać się przedmiotem kpin i docinków. Postanowił zostać w Kopenhadze.

Tego samego dnia przeczytał w gazecie ogłoszenie stolarza, który szukał ucznia. Stolarz przyjął Krystiana. Ale tu znów ordynarne żarty i wymysły przeraziły wrażliwego chłopca.

— Co się stało? — zapytał stolarz ujrawszy jego rozpaloną twarz i pełne łez oczy.

— Przyszedłem... podziękować panu... pożegnać się... Nie mogę słuchać... tych rozmów... i w ogóle... — wyjąkał Andersen.

Mimo przekonywań pocziwego stolarza, który zapewniał chłopca, że z czasem przywyknie do wszystkiego, opuścił warsztat.

Znów zaczął wędrować po niegościnnych ulicach obcego miasta, głowiąc się nad tym, z czego żyć.

Los zlitował się wreszcie nad chłopcem. Zajął się nim z początku dyrektor konserwatorium Siboni, a potem, gdy nagle Andersen stracił głos — poeta Huldberg i dyrektor królewskiego teatru — Kollin. Kollin wystarał się dla niego o stypendium gimnazjalne w małym miasteczku Slagelse. Dorosły prawie młodzieniec zasiadł na jednej ławie z małymi chłopcami. Andersen znosił jednak odważnie wszystko, co raniło jego miłość własną, dopóki Kollin nie przeniósł go dla dalszej nauki do Kopenhagi.

Tu wstąpił na uniwersytet. Tu wystawiono w teatrze jego króciutką sztukę, która spodobała się bardzo publiczności i stała się początkiem sławy literackiej Andersena.

Tu zaczęły się po raz pierwszy zjawiać w piśmie wiersze Andersena, które zwróciły na niego uwagę krytyki.

Potem pojawiły się jego znakomite baśnie, które wślawiły nazwisko Andersena na całym świecie, jak długi i szeroki. A w roku 1867, gdy Krystian Andersen miał lat sześćdziesiąt dwa, w małym miasteczku duńskim Odense zapłonęła iluminacja na jego cześć...

**Tomasz Alva Edison**

## OD CZEGO SIĘ ZACZEŁO



Pięcioletni Al miał serdeczną przyjaciółkę — tłąstą, poważną, pocziwą gęś. Jadła mu z ręki życzliwie, łopocąc białymi skrzydłami, gdy tylko na dziedzieńcu mignęły granatowe, prążkowane spodenki.

Pewnego razu wbiegłszy do szopy Al ujrzał dziwną scenę. Matka sadowała gęś w łubiance pełnej jaj.

— Mamo! — zawołał chwytając matkę za suknię. Co robisz? Przecież ona je zgniecie!

Matka odsunęła go łagodnie i posadziła gęś na jajach.

— Co za uparciuch z ciebie — rzekł Al kiwając głową ruchem podpatrzonym u ojca. — Lepszej zabawy nie mogłaś już wymyślić?

Matka uśmiechnęła się i wzięwszy chłopca za rękę wyprowadziła go na dziedziniec.

— Nie przeszkadzaj jej teraz, Al. Ona wysiedzi nam gąsiątka.

Al parsknął pogardliwie: „Co za bujda! Wiesz nie jakieś bajki!”

— A może wysiedzi mi lokomotywę? — kpil patrząc na matkę szyderczo, z ukosa. — To by dopiero była sztuka!

Po tygodniu Al zajrzawszy do łubianki wyciągnął rękę, żeby pogładzić jak zwykle swoją przyjaciółkę. Nagle gęś wyciągnęła długą szyję i klapnąwszy dziobem groźnie zasyczała. Al odskoczył przerażony i zdumiony. Odtąd zaczął rzadziej przychodzić do szopy... i tylko z daleka przyglądał się gęsi.

Gdy po paru dniach ukazał się na progu, była przyjaciółka powitała go tak wściekłym sykiem, że przerażony cofnął się na dziedziniec i czekał, co będzie dalej. W drzwiach szopy... ukazała się gęś. Na jej widok Al aż przysiadł ze zdumienia. Za gęsią i u jej boków toczyły się maleńkie, dziwaczne stworzonka. Z pochyloną nisko głową, zła że aż strach wymięła gęś wraz ze swym orszakiem ostupałego chłopca i dumnie skierowała się ku wrotom.

Oprzytomniawszy Al wpadł do szopy. Zamiast jaj znalazł w łubiance puste skorupki...

Tego samego dnia malec znikł. Szukano go wszędzie. Przeważona matka pobiegła do sąsiadów, nad rzekę — Ala nie było. Wracając z płaczem do domu zajrzała przypadkowo do szopy.

— Nie podchodź! — rozległ się z kąta przestraszony głos Ala. — Wysiaduję gąsiątka!

## PIĘĆ METRÓW KSIĄZEK

Ojciec Ala, Samuel Edison, zatopiony w interesach, mało zajmował się wychowaniem synka. Pewnego razu zapytał żony:

— Co właściwie robi Al? Dlaczego nie widać go z dziećmiakami?

Żona zaprowadziła go nad rzekę. Już z daleka ujrzeli postać malca wbijającego coś energicznie w ziemię.

— Co ty tu robisz? — zapytał zbliżywszy się ojciec.

— Widzisz — odrzekł marszcząc czoło siedmioletni brzdąc — to jest młyn wodny. Od młyna idzie szosa, a tu zbuduję fermę.

Tak było zawsze. Zamiast bawić się z dziećmi Al wolał coś budować, kleić, kopać. Nie miał jednak wcale ponurego usposobienia. Mieszkańcy maleńkiego amerykańskiego miasteczka Milan, w którym mieszkała rodzina Edisonów, lubili bardzo rumianego, zdrowego malca za humor i dźwięczny śpiew.

Bardzo wczesnie nauczył się Al czytać. A wtedy nowa namiętność pochłonięła go całkowicie. zaczytywał się na umór. Matka Ala, mądra, wykształcona kobieta, była nauczycielką, miała sporo książek. Wyniosłszy z domu w tajemnicy książkę, której nie pozwalano mu jeszcze czytać, Al ukryty w jakimś zacisznym kąciku zapominał o Bożym świecie. Jako dziesięcioletni chłopiec znał już więcej książek, niż niejeden dorosły, przeważnie dzieł z dziedziny techniki i przyrodoznawstwa.

Mając lat dwanaście otrzymał Al prawo wstę-

pu do biblioteki miejskiej. Gdy wszedł po raz pierwszy do sali bibliotecznej, niezliczone mnóstwo książek zupełnie go oszołomiło.

— Przeczytam wszystkie — postanowił natychmiast i poprosił o pierwszy tom z dolnej półki.

— Jaką książkę? — zapytał zdziwiony bibliotekarz. — Proszę o tytuł.

— Sam jeszcze nie wiem, jaki ma tytuł. O ta! — odrzekł Al wskazując palcem.

Wzruszywszy ramionami bibliotekarz wydał mu żadaną książkę.

Następnego dnia zwróciwszy przeczytaną książkę Al poprosił o następną książkę z tej samej półki. Potem o trzecią, czwartą, piątą. W ten sposób przeczytał uważnie tyle książek, ile mieściło się na półce bibliotecznej pięciometrowej długości. Były to książki o treści najrozmaitszej, znalazły się wśród nich nawet dzieła Newtona. Al nie opuścił ani jednej stronicy. Po przeczytaniu pięciu metrów książek zrozumiał jednak, że w ten sposób nie nauczy się niczego. Zaczął teraz wybierać książki do czytania, zatrzymując się wyłącznie na dziełach technicznych lub o wysokiej wartości literackiej.

## POD STUKOT KÓŁ

Ojcu Ala zaczęło się źle powodzić. Uważając życie za najlepszą szkołę wezwał syna i rzekł:

— No, przyjacielu, czas już, żebyś zarabiał na swoje utrzymanie.

I wystarał się dlań o pracę kolejowego gaziarza.

Al nie tracił humoru. Otrzymałszy od ojca trochę pieniędzy na pierwsze wydatki, kupił jabłek, rozmaitych słodczy i odważnie zarzucił torbę na plecy.

— Ostatnie wiadomości! Gazety! Pisma! — zabrzmiał w wagonach jego dźwięczny głos.

— Może cukru lodowatego, sir?

Zabrał się do pracy tak zrećnie, że po pewnym czasie przyjął czterech pomocników. Z jednym z nich, Jamesem, bardzo się zaprzyjaźnił. Pewnego razu, siedząc na stopniu wagonu i patrząc w zamyśleniu na uciekające szeregi drzew, rzekł Al do swego towarzysza:

— Jimmy, czy chciałbyś sprzedawać dwa razy więcej gazet?

— Gdzie tam, więcej się nie da! — odparł Jimmy z przekonaniem, uważał bowiem, że Al wyczerpał już wszystkie możliwe środki.

— Zakład?

— Dobra!

Tej samej nocy zawrzała praca.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej prowadziły wówczas wojnę ze Stanami Południowymi. W rozmaitych punktach obsługiwanej przez siebie sieci kolejowej Al polecił swym pomocnikom przygotować wielkie plakaty z nagłówkami depesz wojennych, które przesyłał im telegraficznie natychmiast po otrzymaniu wiadomości z redakcyj. Rano na wszystkich stacjach linii kolejowej wisiały plakaty, przed którymi tłoczyły się tłumy. Gdy zjawili się „chłopcy kolejowi“, zapotrzebowanie okazało się tak wielkie, że na ostatniej stacji zabrakło gazet.

Ałowi jednak i tego było mało. Wiedział już, że każdą rzecz można stale udoskonalać. W ciągu kilku następnych miesięcy oddawał do domu tylko połowę swego zarobku. Resztę wydawał na jakieś tajemnicze cele. W czasie jazdy zaczął znikać nie wiadomo gdzie. Nawet James nie wiedział, gdzie się Al podziewa.

Któregoś dnia, wskoczywszy na jednej ze stacji do przyłączonego wagonu towarowego, James ujrzał w nim Alę bardzo czymś zajętego. Wagon był zasadniczo przeznaczony na palarnię, ale pasażerowie nigdy tam nie wchodzili.

— Co ty tu robisz? — zapytał James zdziwiony. Al jednak wypchnął go natychmiast przez pomost do drugiego wagonu.

Po paru dniach rozdając swym pomocnikom plikę gazet do sprzedania, rzekł Al jakby od niechcenia, patrząc w inną stronę:

— Tę wykrzyknijcie najgłośniej.

— Nowa? — zapytał Bob i rozłożywszy niewielki zadrukowany arkusz przeczytał: „Goniec Kolejowy“.

— A gdzie ją wydają? Nic o niej nie słyszałem — zapytał James.

— Na dole napisane — odrzekł wesoło Al, nie mogąc pohamować uśmiechu triumfu.

Na wskazanym miejscu widniał wyraźny napis: „Pociąg Nr. 5a. Redaktor i wydawca Tomasz Alva Edison“.

Potem Al pokazał swym zdumionym towarzyszom urządzonej przez niego w mrocznym towarowym wagonie najprawdziwszą w świecie drukarnię.

Gazeta rozchodziła się w kilkuset egzemplarzach. Zawierała wiadomości o życiu kolejarzy, o nieszczęśliwych wypadkach, a przede wszystkim wiadomości wojenne. Była to pierwsza w świecie gazeta wydawana w pociągu.

Teraz już Al nie zajmował się sprzedażą gazet. Pod stukot kół krzątał się w swojej drukarni i czytał książki, których zebrał już mnóstwo.

Szczególnie interesował się w tym okresie chemią. W tym samym wagonie urządził sobie coś w rodzaju pracowni chemicznej i zaczął przerabiać doświadczenia opisane w książkach. Doświadczenia udawały się znakomicie. Al zapalał się do nich coraz bardziej.

Pewnego dnia zdarzyło się nieszczęście. Podczas jazdy wskutek gwałtownego wstrząsu przewrócił się i stłukł słoń z fosforem. Fosfor zapalił się. Konduktor wpadłszy do wagonu zagasił pożar, wyrzucił wszystkie skarby Alę, a jego samego zbił tak okrutnie, że przytępił mu słuch na całe życie.

Na najbliższej stacji Al zszedł i wraz z Jamesem zaczął zbierać rozrzucone wzdłuż szyn książki, naczynia i prasę drukarską.

Wypadek ten nie zniechęcił Alę do dalszej pracy. Urządziwszy drukarnię w suterynie, w domu rodziców, zaczął znów wydawać swą gazetę.

Gazeta rozchodziła się świetnie. Alę i tu czekała Alę przykreść.

W jednym z artykułów „zjechał“ pewnego łajdaka, który spotkawszy go potem nad rzeką nie wiele myśląc chwycił za kark i rzucił do wody.

Na szczęście Al był już wtedy roslym, piętnasto-

letnim zuchem, który umiał pływać i wydostał się na brzeg.

## AL WKRACZA NA WŁAŚCIWĄ DROGĘ

W Port-Huron, dokąd przeprowadziła się z Milan rodzina Edisonów, Al rozwinął niezwykłą jak na swój wiek działalność. Wydawał gazetę, urządził w suterynie dość obszerną pracownię, w której zbudował swój pierwszy model maszyny parowej, czytał bez ustanku poważne, naukowe dzieła. Szczególnie zapalił się w owym okresie do telegrafu. Telegraf wydawał mu się szczytem ludzkiego geniuszu. Nakupił mnóstwo książek o budowie telegrafu i jego działaniu i rozczytywał się w nich jak w sensacyjnych powieściach. Z rury od pieca i pustych butelek zbudował Al domowy telegraf i połączył mieszkanie z suteryną, w której mieszkał James. Koledzy zaczęli wymieniać depesze. Telegraf ten nie mógł oczywiście zadowolić Ala, który bezustannie, we śnie i na jawie marzył o pracy przy prawdziwym aparacie telegraficznym.

Al wciąż wtedy jeszcze sprzedawał gazety na kolejach, wybierając godziny, kiedy w obsłudze pociągu nie było konduktora, który tak bardzo dał mu się we znaki.

W pewien pogodny, letni dzień Al wysiadł z pociągu na małej stacyjce, żeby zanieść zamówione przez kogoś książki. Załatwiwszy wszystko co trzeba wrócił na stację i zaczął czekać na następny pociąg.

Hallo, Jo! — zawołał wesoło ujrzawszy znajomego telegrafistę.

— Kiedy będzie pociąg do Port-Huron?

— Poczekaj trochę, zaraz nadjedzie kurier.

Al wyszukiwał sobie teraz znajomych wśród telegrafistów. Siadłszy na ławce gawędził z Jonem. W pewnej chwili usłyszeli ciężkie sapanie nadjeżdżającego pociągu, który zbliżał się bardzo szybko.

— O, kurier — rzekł Jon i spojrzał w stronę szyn.

W tej samej chwili twarz jego pokryła śmiertelna bladość. Zerwał się, z przerażenia wznosił do góry ręce. Z gardła jego wydobył się zduszony jęk.

Al zdziwiony spojrzał w kierunku szyn i jak strzała rzucił się przed siebie.

Potem nie słyszał już nic: ani krzyków, które rozległy się na stacji, ani rozdzierającego serce gwizdka, ani sapania i zgrzytania żelaznego potwora pożerającego chciwie szyny. Pozostał mu sam wzrok. Widział tylko lśniące w słońcu stalowe linie, a między nimi czerwoną sukienkę.

— Żeby tylko zdążyć!

I oto czerwona plamka jest już tuż obok, i różowa, przerażona buzia, i pulchne rączki, i tuż z tyłu potężne sapanie lokomotywy...

Ostatnim wysiłkiem chwycił Al dziecko i przycisnąwszy je do piersi skoczył na drugą stronę. Coś uderzyło go gwałtownie w nogę i straciwszy równowagę upadł na wznak nie wypuszczając dziecka z rąk. Tuż przy jego głowie zahuczał pociąg. Zatrzęśła się ziemia, powietrze rozdarł dziki ryk.

— Cóż mógłbym zrobić? Co mógłbym zrobić dla ciebie? — wołał z twarzą mokrą od łez zawiaadowca, ojciec uratowanego dziecka, trzęsąc Ala za ramiona.



— Jeżeli chcesz... jeżeli chcesz, będę ci całe życie oddawał. dwadzieścia procent mojej pensji... Nie... trzydzieści... —

— Mister Makenzie — rzekł Al nieśmiało — niech mnie pan nauczy pracy telegrafisty!

Po pięciu miesiącach Al zdał egzamin i otrzymał posadę telegrafisty w Port-Huron. Uważał się za najszczęśliwszego człowieka na świecie.

Alva Edison miał wówczas szesnaście lat. Makenzie ani podejrzewał, że wyprowadził na właściwą drogę genialnego wynalazcę.

## MARNY TELEGRAFISTA

Alva Edison okazał się jednak bardzo kiepskim telegrafistą. W ciągu czterech lat zmieniał nieustannie posady. Ścisłej mówiąc: wyrzucano go nieustannie z posad. Czyż zresztą można go było wyrzucić?

Kierownik pewnego biura telegraficznego, chcąc przeszkodzić telegrafistom w drzemce podczas nocnych dyżurów, kazał im przesyłać do siebie telegraficznie w odstępach półgodzinnych umówione słowo „sześć“. Edisonowi sprzykrzyło się wkrótce to zajęcie, które go odrywało od własnej pracy. Połączył więc po prostu aparat telegraficzny z zegarem przy pomocy kółka, które obracało się wraz z wskazówkami, a do samego aparatu dodał jeszcze specjalne urządzenie.

Teraz Alva mógł już spokojnie zajmować się swoimi sprawami. Co pół godziny do surowego szefa biegły depesze:

— Sześć... Sześć... Sześć...

Był to pierwszy wynalazek Edisona w dziedzinie telegrafu. Z czasem zaczęto z niego korzystać w praktyce telegraficznej, na razie jednak oddał Edisonowi niedźwiedzią przysługę. Figiel wyszedł wkrótce na jaw. Młodemu wynalazcy zaproponowano, by okazał swe zdolności gdzie indziej.

Następnym wynalazkiem Alvy był przyrząd, dzięki któremu można było wysyłać jednocześnie dwie rozmaite depesze z dwóch przeciwnych końców przewodów.

W następstwie i ten przyrząd przyjęto z zachwytem, na razie jednak wyśmiano Edisona i znów poproszono go, by zajmował się głupstwami w innych okolicach.

Alvy jednak nie zrażały niepowodzenia. W następnym biurze, do którego się dostał, stłukł podczas doświadczeń chemicznych butlę z kwasem siarkowym. Uszkodzone zostało urządzenie biura i mnóstwo drogich przyrządów, a Edison musiał znów zebrać manatki i powędrować dalej.

Jak włóczęga koczował z miejsca na miejsce. Na jednej z posad dokuczyły mu bardzo karaluchy łązące po ścianach i stole. Edison zastosował wobec nich „surowe represje“.

Umocował na ścianie przed sobą dwa metalowe przewody i naładował je elektrycznością w taki sposób, że gdy karaluch dotknął ich, następowało połączenie dwóch rodzajów elektryczności. Iskra! i oto zamiast karalucha była już tylko wąska smuga dymu. Dowcipny ten pomysł nie wywołał także nic prócz awantury.

Pomiędzy stacjami Sorni i Port-Huron, które oddzielała szeroka rzeka, przerwał się przewód telegraficzny. Naprawić go można było dopiero następnego dnia, a tymczasem na obu stacjach rosły stopy depesz, których w Ameryce posyła się bardzo dużo. Wezwano Edisona, by wymyślił jakąś radę. Jak zwykle, pożartowano sobie z niego, ale w niczym nie przeszkadzano. Niech robi, co chce, zabawa na pewno będzie znakomita!

Wiadomość o nowym pomysle Edisona, którego wszyscy znali jako wspaniałego „kawalarza“, rozszła się lotem błyskawicy. Całe miasteczko zebrało się na brzegu rzeki, na którym niewzruszony Alva zdążył już ustawić najzwyklejszą w świecie lokomotywę kolejową.

— Pełniąca czasowo obowiązki aparatu telegraficznego — przedstawił ją Edison wśród śmiechu i żartów tłum.

Donośnie zabrzmiał pod ręką Alvy gwizdek lokomotywy:

— Tu, tu, tu-u, tu-u, tu-u. Tu, tu-u, tu-u. Tu, tu-tu...

Usłyszawszy ryk lokomotywy i dojrawszy zgromadzony dokoła niej tłum, ludność z przeciwnego brzegu zaczęła także biec nad rzekę.

— Zwariowali, czy co, w tym Port-Huron? — zdumiewano się w Sorni.

Tymczasem lokomotywa skończywszy swoją piosenkę umilkła na chwilę, a potem powtórzyła ją kropka w kropkę tak samo, tymi samymi krótkimi i długimi gwizdkami, z takimi samymi przerwami pomiędzy. I jeszcze raz, i jeszcze raz — zupełnie jakby

chciała wbić do głowy niepojętym słuchaczom jakąś niewyszukaną melodię.

Nagle telegrafista z przeciwnego brzegu zmarszczył brwi i z całej siły trzasnął się ręką po głowie.

— Co za osioł ze mnie! Co za kretyn! — jęknął.

— Co się stało? Dlaczego? — posypały się pytania.

— Przecież ta szelma mówi do nas alfabetem Morse'a! — wykrzyknął zachwycony telegrafista.

Lokomotywa zaczęła znów swoją piosenkę.

— Słuchajcie!

„Hej... tam... wy.. w... Sorni.. Czy... mnie... rozumiecie?“

— Cha-cha-cha! — pokładał się ze śmiechu telegrafista. — Słuchajcie, słuchajcie:

„Hej... tam... wy... smarkacze... z... Sorni... czy... rozumiecie... mnie?“

Gwałtowny wybuch śmiechu zatrzęsł całym brzegiem. Po paru minutach stała tu już także lokomotywa. Zwymyślawszy się siarczyście na wstępie lokomotywy zaczęły urzędową rozmowę. Wkrótce obie stacje były wolne od zaległych depesz.

Edisona chwalono bardzo za sprytny pomysł, a że nie pracował wówczas na żadnej posiadzie, nie miano go skąd wyrzucić. Mógł spokojnie wywrócić swoje kieszenie — już od dwóch tygodni pozostawał bez pracy. Nie miał na kawałek chleba. W takich chwilach, które powtarzały się w życiu jego dość często, Alva wędrował pieszo do jakiegoś miasta. Tam wstępował do jakiegoś nowego biura telegraficznego, by po krótszym lub dłuższym okresie czasu rozstać się

na zawsze z szefem, który nie omieszkał pożegnać go słowami:

— Nigdy nie będzie pan dobrym telegrafistą, przyjacielu. Kto zawraca sobie głowę głupstwami, ten nie może porządnie pracować.

Po sześciu latach smutnych doświadczeń wyniesionych z nieskończonej ilości biur, gdy Alva miał lat dwadzieścia dwa, uśmiechnęło się do niego szczęście. Nareszcie znalazł się mądry człowiek, który od razu go ocenił i obsypał pieniędzmi.

Nie ocenić Edisona było zresztą w tym wypadku rzeczą bardzo trudną.

W jednym z najbardziej ruchliwych nowojorskich towarzystw telegraficznych zepsuł się aparat. Zepsuł się w okresie największego ruchu i to tak fatalnie, że ani rusz — nie można go było naprawić.

Dyrektor darł sobie włosy z głowy: każda minuta przynosiła olbrzymie straty.

Edison akurat zjawił się w biurze w poszukiwaniu posady. W ciągu pół godziny nie tylko naprawił aparat, ale jeszcze z miejsca go udoskonalił.

Wypadek ten stał się początkiem sławy Edisona. Ledwo stanąwszy na nogi wynalazł samopiszący przyrząd telegraficzny, który spowodował prawdziwy przewrót w technice telegraficznej. Stary, ociężały telegraf przestał istnieć. Miejsce jego zajął nowy — dzieło Edisona, tak samo niepodobny do swego poprzednika, jak starzec stojący nad grobem do dziarskiego, pełnego życia młodzieńca.

Wkrótce cały świat dowiedział się, że to nie Edison był kiepskim telegrafistą, lecz kiepski był telegraf czekający na swego Edisona.

Dawniej depesze przesyłano na jednym przewodzie tylko w jedną stronę. Depesze, kierowane w stronę przeciwną musiały albo mieć własny przewód, albo czekać, aż pierwszy będzie wolny. Dzięki wynalazkowi Edisona można już było na jednym przewodzie przyjmować jednocześnie depesze z obu jego krańców. Po to, żeby napisać otrzymaną depeszę, musiał dawniej telegrafista przede wszystkim odcyfrować umowne kropki i kreski, które mu przesłano. Teraz depesza zjawiała się od razu na papierze, napisana literami. Liczba słów nadawanych w ciągu minuty dosięgła trzech tysięcy.

„DZIEŃ DOBRY! JAK SIĘ PAN MA?“

W życiu Edisona zaczął się teraz nowy, wspaniały okres. Przesząpił niewidzialny próg — próg głupoty ludzkiej. Dawniej z powodu wynalazków wyrzucano go zewsząd, pozbawiano chleba. Teraz na wynalazki te czekano z niecierpliwością, zakupując je z góry.

Dyrektor pewnego towarzystwa zapytał Edisona, ile żąda za swe wynalazki.

„Żeby tak pięć tysięcy dolarów“ — pomyślał Edison. — „Ale trzy też warto wziąć“.

— Sam nie wiem... — odrzekł z wahaniem. — Możeby pan wyznaczył cenę.

Dyrektor zmarszczył czoło:

— Czy trzydzieści tysięcy dolarów wystarczy?...

Teraz mógł już Edison oddać się całkowicie umi-

łowanej pracy. Jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej trysnął z jego mózgu potok wynalazków.

— Ależ, młodzieńcze! Nasze drzwi nie zamykają się wcale za panem! — rzekł do Edisona zdumiony kierownik urzędu, w którym Edison rejestrował swoje wynalazki.

Opis wszystkich wynalazków Edisona zajmuje kilka grubych tomów — tyle, co wydanie zbiorowe dzieł niejednego poety. W samym systemie oświetlenia elektrycznego dokonał przeszło tysiąca wynalazków...

W roku 1878 zjawił się w redakcji znanego nowojorskiego dziennika młodzieniec z ciemną czupryną spadającą niesformnie na wysokie czoło.

„Co za gbur! Nawet dzień dobry nie powiedział” — pomyślał rozdrażniony redaktor.

Istotnie, młodzieniec zachowywał się dziwnie. Nie mówiąc ani słowa postawił na stole małą maszynę i pokręcił parę razy przymocowaną do niej rączką. Redaktor wyciągnął właśnie rękę do dzwonka, by kazać wyprowadzić z gabinetu nieproszonego gościa, który najwidoczniej nie był przy zdrowych zmysłach, gdy nagle maszynka powiedziała dobitnie:

— Dzień dobry! Jak się pan ma? Czy zna pan fonograf? To właśnie ja!

Oszołomiony redaktor upadł na krzesło, patrząc z przerażeniem w ostre, przenikliwe oczy, w głębi których czaił się uśmiech triumfu — oczy Alvy Edisona.

Redaktor okazał się jednak mądrym człowiekiem. Przyjął wielki wynalazek z zachwytem — całym inaczej, niż pewien czcigodny paryski akademik.

Gdy na posiedzeniu Paryskiej Akademii Umiejętności jeden z członków po wyczerpującym referacie o wynalazku Edisona nastawił fonograf, mądry akademik zerwał się z fotelu i skoczywszy ku przerażonemu referentowi chwycił go za gardło.

— Nabiera nas, jak pierwszych lepszych głupców! — wrzasnął z wściekłością. — To zwykły brzuchomówca!

Z trudem uspokojono szanownego akademika. Referent nastawił fonograf i wyszedł z sali. Wówczas „mąż nauki” oznajmił po prostu:

— Nie mogę uwierzyć, by nikczemny metal mógł zastąpić szlachetne gardło ludzkie. To jakieś złudzenie dźwiękowe!

Wiadomość o tym, że Edison wynalazł maszynę mówiącą, rozeszła się w mgnieniu oka po Nowym Jorku. Do pracowni wynalazcy, oddalonej o kilka kilometrów od miasta, zaczęły zjeżdżać takie tłumy ciekawych, że dyrekcja kolei musiała uruchomić specjalne pociągi.

Minął rok. W tym samym dzienniku, który doniósł o fonografie, zamieszczono wiadomość tak skóńczenie bałamutną, że redaktoromal nie wyrzucił jej autora. Prawdziwa kaczka dziennikarska! W wzmiance mowa była o tym, że Edison wynalazł światło, które płynie po przewodzie i płonie oślepiająco w małej, okrągłej, szklanej latarce.

Ostatecznie autor wzmianki został na posadzie, a dyrekcja kolei musiała znów uruchomić specjalne pociągi, aby przewieźć do pracowni genialnego wynalazcy tłumy żądne ujrzeć pierwszą lampkę elektrycz-

na. W ciągu jednego dnia przybyło do Edisona trzy tysiące osób.

Następnym wielkim wynalazkiem Edisona był telefon. Co prawda, już przed nim coś niecoś w tej dziedzinie zrobiono, były to jednak nieśmiałe próby pozbawione praktycznego znaczenia. Telefon, z którego dziś korzystamy, zawdzięczamy Edisonowi.

Edison założył także podwaliny pod drugą wielką zdobycz geniuszu ludzkiego, a mianowicie — kino. W r. 1891 zbudował on pierwszy w świecie aparat oddający ruch przy pomocy fotografii.

Wiele zdołał Edison w dziedzinie elektryczności. Zbudował cały system oświetlenia elektrycznego i elektryczną lokomotywę. Sięgnął aż ku gwiazdom — zbudował przyrząd, zwany tazymetrem, przy pomocy którego można określić temperaturę najbardziej oddalonych planet. W roku 1912 zrealizował Edison swoje długoletnie marzenie: przez połączenie fonografu z kinematografem stworzył kino dźwiękowe.

Mózg Edisona nie znał spoczynku. Aż do samej śmierci wznosił bez ustanku, jeden po drugim, stopnie potężnej drabiny, która wiedzie ludzkość do zupełnego zwycięstwa nad siłami przyrody.

## NA NOWE TORY

Zakłady zbudowane przez Edisona w Menlo Park, w pobliżu Nowego Jorku, są jednym z największych dziwów świata.

Zakłady te — to jakby sam mózg ludzki rozebrany na części i zamknięty w nieskończonej ilości najbardziej dokładnych, najbardziej precyzyjnych przy-

borów, maszyn, aparatów. Każda cząstka tego potężnego mózgu spełnia inną, ściśle określoną funkcję. opracowując aż do najdrobniejszych szczegółów to, co jej polecono.

Jeszcze trzydzieści lat temu można było widzieć, jak pośród tej puszczy dziewiczej maszyn uwijał się nerwowo człowiek w poplamionej roboczej bluzie, z pomierzwionymi włosami, brudnymi rękami i gorączkowo błyszczącymi oczyma. To Edison wpadłszy na jakąś myśl popędzał czas, żeby ją ujrzeć jak najszybciej wcieloną — w skomplikowane połączenie jakichś części nowego, nieznanego świata przyrządu. I oto zakręcono ostatnią śrubkę, przyrząd zmontowano i — oślepiające światło ludzkiego geniuszu rozbłysło w tym laboratorium mózgu.

Zdarzało się, że Edison wpadał rano na jakiś pomysł, a wieczorem sprawdzał go już na zupełnie wykończonym, działającym modelu.

— Głowa moja wykonywa teraz trzysta obrotów na minutę — mawiał Edison, ilekroć zapalał się do jakiegoś nowego wynalazku.

Pewnego razu potrzebna mu była jakaś specjalna substancja chemiczna. Sprowadziwszy całą bibliotekę chemiczną z Londynu, Paryża i Nowego Jorku, zamknął się Edison na sześć tygodni w swej pracowni. Tam jadł, tam spał siedząc w fotelu. W ciągu tego czasu przeczytał wszystkie książki, porobił z nich wyciągi, które zajęły gruby tom, i wykonał według nich dwa tysiące doświadczeń. Poszukiwana substancja została znaleziona.

Innym razem biedził się przez sześćdziesiąt godzin bez przerwy nad pewnym wynalazkiem, który

mu się długo nie udawał. Przerwał pracę dopiero wtedy, gdy model zaczął sprawnie działać.

Sam Edison tak opowiada o próbach nad fonografem:

— Przez siedem miesięcy pracowałem po osiemnaście, dwadzieścia godzin na dobę nad jednym jedynym słowem „specia“. Ile razy mówiłem do fonografu: „Specia! Specia! Specia“, tyle razy uparcie odpowiadał: „Pecia! Pecia! Pecia!“ Myślałem, że zwariuję!

W końcu jednak zmusił Edison uparty fonograf do wyraźnego wymówienia ledwo dosłyszalnego dźwięku „s“.

W okresie owym pracował Edison niesłuchanie dużo. Sypiał w pracowni na stole, podłożywszy pod głowę stos książek.

Przez wszystkie lata niezmordowanej pracy geniusz Edisona rósł nie tylko w głąb, ale i wszcz, ogarniając coraz większy zakres działalności ludzkiej. Dziś trudno wskazać dziedzinę, w której nie zostawiłby swych potężnych śladów. Nawet papier woskowany, mający tak szerokie zastosowanie w medycynie, został wprowadzony przez Edisona. Nawet słowa „hallo“, którym zaczyna się rozmowę telefoniczną na całym świecie, on użył po raz pierwszy w takich właśnie okolicznościach. Tysiące drobnych wynalazków Edisona poszły w zapomnienie lub powędrowały w świat pod innym nazwiskiem, jak np. maszyna do pisania — Remington, która nazywa się tak dlatego, że Edison sprzedał ją braciom Remington.

Edison zmarł w r. 1932.

— Nie chcę jeszcze przejść na emeryturę — po-

wiedział na krótko przed śmiercią, kręcąc z uporem siwą głową i patrząc przed siebie jasnoszarymi, niezwykle błyszczącymi oczyma.

Do ostatniej chwili zachował właściwe sobie żartobliwe usposobienie i subtelny dowcip.

Nie ma chyba człowieka, którego by w Ameryce tak kochano i czczono, jak Edisona. Nazywano go tam „wielkim starcem“.

Gdy w rozmowie z Amerykaninem pewien cudzoziemiec wypowiedział uwagę, że pierwszy raz w życiu widzi, by człowieka za życia otaczano tak powszechną miłością, jak Edisona, Amerykanin odparł żywo:

— A czyż mogło być inaczej? Przecież on pchnął cały świat na nowe tory!

K O N I E C .



154424